Powstanie Listopadowe
1830-31

BIBLJOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH
Wydawnictwo tygodniowe

Redaktor i Wydawca
Feliks Gadomski

Rok 1926. Tom 43—44.

Ogólnego zbioru serja III, tom 108—109.

Cena tomu w prenumeracie:
w oprawie . . zł. 2.78

Cena tomu poza prenumeratą:
w oprawie . . zł. 4.40

Redakcja i Administracja
Warszawa, Sienkiewicza 12

BIBLJOTEKA

DZIEŁ WYBOROWYCH

STANISŁAW SZPOTAŃSKI

BEZ SŁOŃCA

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

TOM I.

WYDAWNICTWO BIBLJOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH
WARSZAWA, SIENKIEWICZA, 12.

Sp. Akc. Zakl. Graf. „Drukarnia Polska", Szpitalna 1a.

I.

Róża Znamierowska raz wraz patrzyła na zegar. Piąta. Mrok ciemny zapadł, nie kazała podawać światła. W piecu huczał ogień, rzucając czerwonawordzawy blask na ściany, zawieszone staremi, ciemnemi, miejscami popękanemi portretami. Kwadrans po piątej! Jeszcze nic! Przyłożyła rozpalone czoło do zamarzłej szyby. Nic! Co mi jest? Przecież to dopiero o szóstej. Minuta po minucie płynęła jak wieczność. Duszą by popchnęła nieubłagany czas.

Zabrzmiały trąbki straży pożarnej. Ręce przycisnęła do serca, aby nie wyskoczyło.

— Józef! Józef!

Do pokoju wszedł stary, przygarbiony służący.

— Józefie, — to pali się? — spytała drżącym, łamiącym się głosem.

— A pali się. Na Solcu się zapaliło. Strażaki akurat przejechały. Podać światło?

— Nie.

— Nie trzeba czego pani?

— Nie.

Józef spostrzegł, że krzesła są porozstawiane, przysunął więc je symetrycznie do stołu, poprawił w piecu, upewnił się jeszcze raz, czy czego nie trzeba i wyszedł.

Nadsłuchiwała. Powinno się zacząć, kiedy się pali. Na Solcu, tak, na Solcu. Ale jeszcze niema szóstej. Zaczęli wcześniej. Nie. Cisza. Wskazówki na zegarze posunęły się dalej. Wpół do siódmej.

Co się stało? Co się dzieje? Jeżeli nic, powinienby ktoś przyjść, powiedzieć jej. Schwytani! Szpik ściął się jej w kościach. Niepodobna, aby na pożar na Solcu nikt się nie ruszył. Jezus Marja! Jezus Marja! Stało się! Przepadło wszystko!

Wtem huknęły strzały.

Ach!!

Gruchotały jedne po drugich, jak w bitwie.

Biją się! biją się! Gdzie?!

Do pokoju wpadł Józef, kucharz i pokojowa.

— Proszę pani, coś się dzieje! Strzelają!

Coś się dzieje! Iśćby! Zobaczyć!

— Niech nikt nie wychodzi, — nie — rzekła ostro.

Otworzyła drzwi na balkon, zasłany twardym śniegiem. Owiało ją zimne, szczypiące powietrze.

Wsłuchała się w odgłosy strzałów.

— To od Alei Ujazdowskich, — rzekł Józef.

— Jezusie! Okiennice aby pozamykać! — krzyknęła pokojowa.

— Nie zamykaj, nie trzeba, podaj mi futro.

— Paniby teraz wychodziła!

— Podaj mi futro.

— Pani chce wyjść na ulicę!

— Futro!

Przed domami stały grupki ludzi, zalęknionych, nic nie rozumiejących. Pytała, co się dzieje.

Nie wiedzieli nic. Strzelają w Alejach Ujazdowskich. Ją zatrzymywano i pytano także. Czasami leciał jakiś oficer na koniu, policja gdzieś się podziała, znikła. W niektórych oknach gaszono światła.

Doszła na róg Wareckiej. Od Nowego Świata usłyszała straszliwy krzyk

— Do broni!!

Stanęła.

— Do broni!!

Ku Krakowskiemu Przedmieściu pędził oddział wojskowych z pochylonemi bagnetami. W świetle latarni dojrzała usta zaciśnięte, twarze skrzywione w pasji, oczy utkwione w dal, nabrzękłe, skamieniałe.

— Do broni!! do broni!!

Na czele biegł wysoki, szczupły oficer, z szablą wzniesioną. Poznała: Piotr Wysocki!

Poszła za nimi, ale za chwilę znikli jej z oczu. Słyszała tylko niesiony wiatrem, przeraźliwy ich okrzyk

— Do broni!!

Ulica opustoszała, ktoś uciekał, ktoś wpadał w bramę, zatrzaskując ją za sobą.

Salwa!

To oni strzelają. Do kogo?

Dwa okulbaczone konie gnały bez jeźdźców. Szła w ślad tych strzałów, jak mogła najśpieszniej, zadyszana. Nagle cofnęła się, przerażona: na śniegu leżały dwa trupy w jeneralskich mundurach. Kapelusze im spadły, głowa jednego, zniekształcona potwornie, ciekła krwią z rozłupanej skroni. O sto kroków dalej znowu trup, znowu jenerał. Szabla jakby z dłoni skrwawionej wyrwana leżała opodal, czerwone krople krwi sączyły mu się przez mundur, z piersi i brzucha.

Około kolumny Zygmunta roił się tłum, napływał od Starego Miasta i Powiśla.

Moskale wyrzynają naszych! Napadli na naszych w Ujazdowskich! Chcieli spalić miasto! Konstanty zastrzelony! Nie! Zakłuli go podchorążowie!

Polskie wojska wyszły z koszar! Ktoś widział ciągnące ulicami armaty.

Krzyżujące się pogłoski zlewały się w jeden strumień zbiorowej świadomości, w jedną rzecz pewną, nie ulegającą wątpliwości dla nikogo, przekształcającą się błyskawicznie w powszechną wiarę: Moskale naszych mordują!

Z pogwaru wyrwał się głos donośny, z całych piersi dobyty, głos komendy i orjentacji

— Pod arsenał, obywatele!

Ktoś ze sprzysiężonych. Kto — z głosu nie poznała. Chciała tam się przecisnąć, lecz odrzucona została jak falą. Tłum zakołysał się, ruszył, ten sam głos na przedzie brzmiał

Pod arsenał!!

Pod arsenał! Pod arsenał!! — krzyczano teraz ze wszystkich stron, posuwając się coraz szybciej, przyciągając coraz to nowe grupy. Domieszały się kobiety, nawet dzieci. Ulicą Długą, jak bulgocący, mętny potok, płynęła wielka, ruchoma masa głów.

Mieszkanie Mochnackiego. Czegoś się dowie. Przedarła się, pociągnęła taśmę dzwonka. Nikt nie otwierał. Zapukała gwałtownie. Cisza. Kamienica była jak obumarła, ci, którzy nie wyszli, zamknęli się, ci, którzy nie zamknęli się, byli na mieście.

Przyłączyła się do pochodu, ale znajdując się już teraz daleko w tyle, na sam plac przed arsenał przedostawała się powoli. W blasku jednak pozapalanych na placu pochodni, widziała lśniące bagnety strzegących arsenału wojsk.

Nagle jasną wstęgą błysnął ogień karabinowy. Huk. I jednocześnie straszliwy zgiełk. Z oddali zagrzmiała nowa salwa, jedne po drugich następowały szybkie strzały. W mgnieniu oka ciśnięte na ziemię pochodnie zgasły, tłum zakotłował się, tłoczył, parł przed siebie w przerażeniu, na oślep, krzycząc

Strzelają! Strzelają!!

Chciała zatrzymać się, przedostać się tam. Pchnięto ją, padła na ziemię, uczuła w biodrze silny ból od ciężkiego nadepnięcia okutego buta. Podniosła się z trudem. Strzały cichły. Na horyzoncie za arsenałem ukazała się czerwona łuna. Na jednej z ulic, nie widziała jaka, trupy żołnierzy i koni. Zalegały ulicę gęsto, jakby padali w kupie. Rozpoznała mundury wołyńców.

— Acha! Atakowali arsenał. Ta salwa z pod arsenału — to myśmy strzelali!

Niektórzy byli ciężko ranni, jęczeli w niebogłosy, tu i owdzie w śmiertelnej agonji charczał koń.

Szła tym jęczącym szlakiem. Jakaś ręka chwyciła ją kurczowo za suknię.

Dreszcz ją przebiegł, nachyliła się nad wołyńcem. Leżąc na brzuchu pełzł ku niej, przez szynel ciekła z pleców i osiadała w skrzepach krew. Nie wiedziała co czynić. Bezradnie podsunęła mu garść śniegu pod skronie i usta.

— Weźcie mnie stąd, — błagał.

O kikanaście kroków była otwarta brama. Róża postanowiła tam złożyć rannego. Nie bacząc na jego jęki, opasała go oburącz i wlokła przed siebie. Czołgał się za nią z wysiłkiem. Wciągnęła go w bramę i oparła ramieniem o mur. Nic nadto zrobić nie mogła. Chciała odejść.

— Barynia! — trzymał się kurczowo za poły jej sukni. W oczach malowała mu się niewysłowiona rozpacz, ból i lęk.

Poczuła bezmierną litość, wokół nikogo, ktoby dał pomoc.

Z trudem ściągnęła zeń szynel, odwiązała pałasz, uklękła, z trudem udało się jej zwlec zeń mundur; pod rubachą, niżej łopatki, na zsiniałem jak śliwka ciele krwawiła rana. Podarła chustkę w strzępy, za-

tykała tę ranę, sołdat zacisnął zęby, poddając się opatrunkowi. Ułożyła go teraz bokiem na szynelu, podłożyła zwinięty mundur pod głowę, zdjęła futro i nakryła broczące ciało.

Pojął, że to już wszystko.

— Barynia, wy ruskaja?

— Nie, polka.

— Ja nie winowat!...

Pozostawiła go losowi, jakiejś innej, litościwej duszy i wyszła z bramy. Na sukni miała krew, ręce wymyła w śniegu, poczęła niem ścierać plamy. Musiała wracać do domu, trzęsła się z zimna.

Przeciągały teraz wciąż pod arsenał polskie wojska, znowu roił się tłum. Widziała ludzi, biegnących z bronią, niektórzy strzelali na wiwat. W miarę jak szła przez całe miasto, do siebie, na Szpitalną, przybierało ono charakter nieznany, niesamowity. Latarnie zgasły, głęboką ciemność szarpały błyski dawanych strzałów, na niebie stała łuna. Rozlegały się śpiewy, jakieś pieśni, nic z powstaniem nie mające wspólnego. Czyjeś ramię opasało ją wpół.

— Pójdziemy może razem? Co?

Wyrwała się ze wstrętem. Biła jedenasta. W domu służba pozamykała okiennice, zatarasowała drzwi. Kucharz uzbroił się w zapomnianą, od kilku lat nieużywaną flintę jej męża. Widok Róży bez futra, w sukni pokrwawionej, odebrał im mowę. Opowiedziała im jak było, kazała otworzyć okiennice, oświetlić okna i wywiesić z balkonu chorągiew. Posłuchali z niechęcią.

Po wyjeździe męża i wiadomości o jego śmierci, Róża zmieniła dawną służbę na obecną. Choć to trwało już czas jakiś, tylko stary Józef, ze wsi przyjęty, zżył się z nią i nic w jej życiu nie widział wyjątkowego. Inaczej kucharz i pokojówka. W tej chwili wymienili ze sobą nieznaczne spojrzenia.

Mieli także swoje informacje. Wielki książę nie zabity, lecz ciężko ranny, wojsko polskie stoczyło bitwę pod dowództwem jenerała Chłopickiego, moskale uciekli, złodzieje wydostali się z więzień, grabią i kradną. Kucharz upierał się strażować całą noc z flintą w sieni.

Odprawiła ich, polecając Józefowi przygotować herbatę, mieli się u niej zejść wszyscy, pomyślała, że będą zziębnięci i głodni.

Gwałtowne szarpnięcie dzwonka.

Wpadł Nabielak. Zaledwie zaczął swą opowieść, wszedł Wysocki, po chwili Mochnacki z Bronikowskim i Kozłowskim. Pytali co się dzieje z Kobylańskim i Trzaskowskim, którzy prowadzili młodzież na Belweder, gdzie zapodział się Goszczyński. Urbański i Zaliwski zostali przy wojsku, wojsko całe po stronie powstania.

Nikt nie mówił porządnie, jeden drugiemu wpadał w słowo, ale z chaosu ich krótkich zdań, nerwowych przypominań wrażeń, występował dokładny przebieg wypadków. Józef też stał i słuchał.

Browar na Solcu zapalił się zawcześnie i zgasł za prędko, w ten sposób sygnał zaczęcia chybił. Ta łuna — to od pożaru na Dzikiej. Podpalił Zaliwski. Napad na Belweder zawiódł. Konstanty się skrył. „Trzeba było odchodzić, bo mogliśmy być wzięci — nadciągali kirasjerzy", opowiadał Nabielak. Goszczyński pchnął bagnetem jenerała Gendra, myślał, że to wielki książę. Dopadli też tam Lubowidzkiego. Wysockiemu nie przyszła oczekiwana pomoc, gdy bił się w koszarach z jazdą, wyparł ją, nie zdołał rozbroić, miał tylko stu sześćdziesięciu ludzi. Stanisława Potockiego rozszarpał tłum. Podchorążowie zabili jenerałów Trębickiego, Haukego, Meciszewskiego, Nowickiego, ostatniego przez pomyłkę. Meciszewski strzelił, jechał razem z Haukem, Trębickiego

roznieśli bagnetami z pasji na jenerałów, Czarnecki pod arsenałem rozstrzelał Blumera, który przybiegł buntować mu żołnierzy. Pod arsenałem atakowali wołyńcy, uciekli od pierwszych strzałów. Lud rozbił drzwi w arsenale i rozebrał broń.

Szukano Chłopickiego, aby stanął na czele wojska.

Znalazł go w teatrze Dobrogojski. Chłopicki odmówił.

Było jasne, że plan się nie udał, wykonanie zawiodło. Wielki książe żyje, nieprzyjaciel nie rozbrojony. Jenerałowie pomordowani, — jenerałowie Kościuszkowscy — Potocki i Blumer. To może odwrócić od rewolucji cały kraj. Trębickiego Wysocki nie zdołał obronić, lżył on podchorążych, wyjął pałasz. Wojsko polskie przeszło na stronę powstania, stoi pod bronią. Lud się wysypał. Kilka sklepów rozbitych i składy wódki Nowachowicza, ale naogół spokój.

— Co teraz? — spytał Wysocki.

— Ustanowić rząd! — zawołał Mochnacki. — To, co mówiłem zawsze od początku. Z rządem zacznie się rewolucja! Dotychczas zrobiliśmy tylko burdę! Tak! burdę! Trzeba na rzeczy patrzeć jasno. Poprzewracaliśmy meble w Belwederze.

— No, nie tylko, — przerwał Nabielak.

— Wystrzelaliśmy jenerałów, zamiast rozbroić, wyzwaliśmy do boju moskali!

— Nie pojmuję, dlaczego Konstanty nie uderzył na miasto — zastanowił się Bronikowski.

— Ja nie pojmuję także. To jedyny nasz atut, dzięki temu trzymamy Warszawę w ręku i możemy w tej chwili ogłosić rząd. Biegamy za jenerałami, jak dzieci, błagamy, prosimy, klękamy, ciągniemy za buty, a potem strzelamy w łeb. Trzeba wziąć władzę,

aby było kogo słuchać, aby miał kto rozkazać i ukarać.

— Pan Maurycy ma rację !— zawołała Róża — ma rację!

— Rząd? lecz z kogo? — spytał Wysocki.

— Z nas!

Milczeli.

— Z nas! — powtórzył Mochnacki.

— W tej chwil jest bardzo trudno, — rzekł Kozłowski, — łatwiej było wczoraj. Wszyscy mogą się od nas odwrócić na wiadomość o wystrzelaniu jenerałów, jenerałów Kościuszkowskich! Trzeba człowieka z nazwiskiem, któryby to pokrył, przywrócił zaufanie.

— Jest Czartoryski, Ostrowski, — rzekł Wysocki.

— I któż zaręczy, że od nas władzę przyjmą? — zapytał Mochnacki. — Będzie tak, jak z jenerałami.

— Niepodobna.

— Jestem pewien! Łudziłem się chwilę na Starem Mieście i pod arsenałem, że lud przyjmie postawę taką, która zmusi wszystkich do opowiedzenia się za rewolucją pod grozą teroru i śmierci. Widziałeś, co się dzieje? Lud pije!

— Pije — potwierdził Kozłowski.

— Nie dziwię się, że mieszkańcy tarasują drzwi i gaszą światła, — mówił dalej Mochnacki — gdybym nie był w sprzysiężeniu, schowałbym się także. Nikt nie wie, co się stało. Nie wolno zwlekać! Trzeba ustanowić rząd!

— Kogoby powołać ?— zastanowił się Wysocki.

— Ty jesteś w tej chwili najgłośniejszy, stań ty! — rzekł Mochnacki.

— Mnie nikt z wojskowych nie posłucha, jestem podporucznikiem.

— Gdy staniesz na czele rządu, przestaniesz być podporucznikiem!

— Niepodobna!

— Krzyżanowski by się nie wahał! — krzyknął z gniewem Mochnacki.

Na to nazwisko nastała długa chwila milczenia. Róża podeszła do okna, aby obetrzeć łzy.

— Niech się sejm zbierze i rząd postanowi, — rzekł Wysocki.

— I kto będzie zwoływał sejm? I kto ci zaręczy, że sejm uzna powstanie? Zresztą, należy działać odrazu. Tej nocy jeszcze naczelnicy ruchu powinni być znani Warszawie. Nie chcesz, nie czujesz się na siłach, niech Kozłowski ogłosi się prezesem rządu.

— Lepszy byłby Bronikowski, — wymówił się Kozłowski.

Bronikowski wstrząsnął odmownie głową.

— Postanowić jednak coś trzeba, na żywy Bóg!

— A czy weszlibyście do rządu wszyscy, gdyby ktoś na jego czele stanął? — spytała Róża.

— Tak, — odpowiedzieli zgodnie.

— Więc ogłoście się rządem bez prezesa, prezesa znajdziecie później.

Zawahali się.

— Ogłośmy się rządem, — skorzystał z tego Mochnacki, — i nakłońmy Lelewela.

— Z Lelewelem mówiłem, — oznajmił Wysocki, — był przeciwny zaczęciu powstania.

— Dziś nie o zaczęcie już chodzi, — rzekł Mochnacki.

— Lelewelowi ojciec właśnie umarł, — zafrasował się Bronikowski.

— W każdym razie chodźmy do niego — zdecydował Mochnacki. — Chwila jest taka, że na wszystko zezwala. Jeśli się zgodzi, ogłosimy się odrazu rządem z nim, jako z prezesem, jeśli nie, ogłosimy się bez prezesa. Chodźmy!

Świece dopalały się, świt powlókł szyby.

Na pierwszej zaraz kamienicy ujrzeli nalepiony papier.

Odezwa!

Czytali. Co to jest? Co to znaczy?

U dołu podpisy: Lubecki, Czartoryski, Radziwiłł, Pac, Niemcewicz.

„Najjaśniejszy W. ks. Cesarzewicz wojskom rosyjskim wszelkiego działania zabronił, gdyż rozdwojone umysły Polaków, Polacy sami skojarzyć powinni"...

Rozdwojone umysły!

„Czy Polak we krwi bratniej ma broczyć dłoń swoją?" Wróćcie do porządku i spokojności".

Co oni piszą?! Do kogo to?!

„Wróćcie do porządku i spokojności, a wszelkie uniesienia niech przeminą z nocą, która je pokrywała"...

— Już jest rząd — rzekł chmurnie Mochnacki, — już jest i już powiedział, czego chce. Rozumiecie?! Wiecie teraz, dlaczego Konstanty nie uderzył na Warszawę?!

Nie słyszeli pytania, z wysiłkiem myśli i wzburzonem uczuciem odczytywali poszczególne zdania odezwy.

— My nie powiedzieliśmy nic, — zawołał Mochnacki — i ci potępili nas, ci patrjoci wypróbowani, ojcowie narodu! Konstanty skorzystał z zabicia jenerałów, pojął, że w tem położeniu najlepiej uznać to, co się stało, jako walkę wewnętrzną, nie powstanie przeciwko obcemu panowaniu! Mędrszy on od nich polityk! Niech oszalałych polaków rozsądni polacy ukarzą! Jesteśmy zbrodniarzami! Burzycielami spokoju! Jutro czeka nas szubienica!

Zerwał odezwę i o ziemię ją cisnął.

II.

W pokojach dyktatury tłoczyli się interesanci i petenci. Trzy dni czekał Zdzisław Znamierowski daremnie na posłuchanie i teraz zaledwie dotarł do Krysińskiego, jeneralnego sekretarza dyktatora. W oczach tego człowieka, już leciwego, o haczykowatym nosie i włosach, uczesanych tak, aby zakrywały łysinę, było coś z łaszącego się i gotowego jednocześnie ukąsić psa. Znamierowski od pierwszego wejrzenia poczuł do niego odrazę.

— Pan w jakiej sprawie? — zapytał Krysiński, czyniąc nieokreślony ruch ręką, mogący oznaczać wskazanie krzesła i mogący również nic nie oznaczać.

Znamierowski usiadł.

— Czem mogę służyć? — zapytał uprzejmiej Krysiński.

— Pragnę widzieć dyktatora.

— W jakim celu?

— W celu wytłumaczenia celu mego przybycia.

— Przepraszam pana — pan Znamierowski? Tak?

— Tak.

— Były major wojsk polskich?

— Dlaczego były? Major wojsk polskich.

— Pan jednak nie w służbie?

— Nie byłem w służbie, lecz teraz wchodzę do służby.

— W papierach pańskich — tu Krysiński otworzył leżącą na podorędziu cienką, tekturową teczkę — w pańskiem *dossier* jest zaznaczone: „dezerter".

Znamierowski wstał oblany pąsem.

— Skąd te papiery? — spytał.

— Może to pomyłka, te rzeczy nie są jeszcze zbadane.

— Przyszedłem właśnie, aby dyktatorowi je wyjaśnić.

— Przezemnie przechodzą wszystkie sprawy.

— Czy wojskowe także?

— Wojskowe przechodzą przez kancelarję ministra wojny. Niech pan tam zechce się udać.

— Może pan będzie łaskaw — rzekł z chłodną uprzejmością Znamierowski — zaanonsować mnie dyktatorowi. Dyktator mnie zna.

— Dyktator zna pana?

— Z dawnych czasów, nim wyjechałem do Francji.

— Pan przebywał we Francji?

— We Francji.

Krysiński zastanowił się chwilę.

— Wątpię, aby dyktator pana przyjął, jest bardzo zajęty. W tej chwili konferuje z księciem Czartoryskim. W każdym razie spróbuję. Dziś nie przyjmie pana z pewnością, ale może wyznaczy jaki dzień.

— Bardzo będę panu obowiązany.

— Niech pan raczy zaczekać w salonie.

Znamierowski już pomyślał, że w tym salonie znowu do wieczora czekać będzie, gdy z gabinetu dyktatora wyszedł Czartoryski. Skinął lekko głową porywającemu się na równe nogi Krysińskiemu i szybko przeszedł przez pokój.

Znamierowski zatrzymał się.

— Dyktator zdaje się jest wolny? — rzekł.

— Właśnie, właśnie — odparł Krysiński. — Może ma pan szczęście. Natychmiast tam idę.

Za minutę wrócił.

— Dyktator prosi.

Znamierowski wszedł i po wojskowemu wyprostował się w progu.

Na widok tej wyniosłej postaci żołnierskiej, machinalnie, choć w stroju cywilnym, przybierającej postawę służbową, uśmiech zadowolenia przemknął przez surowe oblicze jenerała Chłopickiego. Na chwi-

lę wlepił w Znamierowskiego głęboko osadzone, daleko patrzące oczy i ruchem głowy przywołał go do siebie.

Znamierowski postąpił parę kroków i wyprostował się znowu.

— To ty, Znamierowski? A gadano, że nie żyjesz. Rad jestem, że nieprawda i że cię widzę. Skądżeś tu się wziął?

— Przyjechałem z Paryża, jenerale.

— Na wiadomość o rewolucji?

— Tak, jenerale.

— I czego chcesz?

— Prosić o przyjęcie mnie z powrotem do wojska.

— Z powrotem? A czegoś ty z wojska uciekał?

— Jenerale!...

— Wiem, wiem, zamieszany byłeś w to głupie Towarzystwo Patrjotyczne. Gdyby było wszystko w porządku, powinienbym cię aresztować za dezercję, ale porządku nijakiego niema. Błaznom, których należałoby postawić pod mur, muszę dawać awanse. Zresztą — dodał z ironją — jakżeż takiego bohatera takiego konspiranta, co cierpiał za ojczyznę, brać na odwach.

— Ja za ojczyznę nie cierpiałem, jenerale — odparł żywo Znamierowski.

— Boś drapnął.

— Gdybym nie drapnął, teżbym nie cierpiał.

— Więc cóż tu opowiadano? Nie byłeś w Towarzystwie Patrjotycznem?

— Byłem jednym z nic nieznaczących jego członków.

— To wszystko jedno. Tchórz cię obleciał. Nie mogłeś przeczuć, że ta awantura tak się skończy. I miałeś rację, bo na dobrą sprawę, powinieneś był

z kompanami dać gardło. Wojsko nie ma prawa robić rewolucji! Rozumiesz?!

— Rozumiem, jenerale.

— Więc czegoś ją robił?

— Ja jej nie robiłem, jenerale.

— Wiem, robili ją inni, szaleńcy, którym przyśniło się, że są Napoleonami. Co wolno Bonapartemu, tego nie wolno Krzyżanowskim i Łukasińskim! Rozumiesz?!

A gdy Znamierowski nie odpowiedział, zapytał

— Czegoś tu przyszedł?

— Aby służyć pod rozkazami jenerała.

— Pod mojemi rozkazami? Nie masz to innych rozkazodawców? Nie masz Lelewela?

— Nie znam Lelewela, jenerale.

— Nie znasz Lelewela?

— Nie.

— Słowo oficera?

— Ja nigdy nie kłamię, jenerale.

— Nigdy nie kłamiesz? Gdzie takiej sztuki się nauczyłeś, tutaj bo wszyscy łżą. No, ale krótko. Chcesz wejść do wojska?

— Tak, jenerale.

— Co robiłeś w Paryżu?

Znamierowski się zaciął. Nie była to pora, aby opowiadać swoje życie, w świetle czego dopiero odpowiedź na zadane pytanie stałaby się zrozumiała. Osoba dyktatora do zwierzeń takich się nie nadawała. Chłopicki czekał, w oczach błysła mu nieufność. Wtedy Znamierowski rzekł w trzech słowach, ostro

— Byłem kowalem, jenerale.

— Kowalem?!

— Tak.

— W takiej byłeś biedzie? Nie miałeś z czego żyć? Nie nadsyłano ci pomocy z domu? Przecież ty byłeś człowiek bogaty!

— Niech jenerał uwolni mnie od szczegółowych wyjaśnień, które byłyby zbyt długie i zaczepiałyby o moje sprawy rodzinne. Dość, że nie czyniłem nic takiego, co nie pozwoliłoby mi nosić dzisiaj szlifów.

— Pewnie! Dlaczegóżby kowal nie mógł być oficerem. Ale to nie bardzo pasowało do twojego urodzenia i stanowiska.

— Jenerale, urodzenie nie daje prawa do stanowiska, kwestja nawet, czy je daje do życia. Zdobywa się je dopiero przez czynny w niem udział, czego pierwszym warunkiem jest praca, taka czy inna wytwórczość na rzecz dobra publicznego.

Chłopicki oparł się o fotel i bacznie spojrzał na Znamierowskiego.

Ten odgadł jego myśli i rzekł

— Niech się jenerał nie niepokoi, ja mam zmysły w porządku.

— Przez chwilę o tem wątpiłem — zaśmiał się Chłopicki — ale co z ciebie się stało? Co za idee! Idee francuskich filozofów! Znam to, znam! Nie ma prawa do życia, kto nic nie wytwarza. Sambym się na to pisał! Tu nikt nie wytwarza, tu każdy urzęduje! Od kiedy jestem dyktatorem wydaje mi się, że Polska powstała, aby polacy urzędowali, dygnitarzowali: ministrzy, zastępcy ministrów, zastępcy zastępców ministrów, szefowie kancelarji, zastępcy szefów kancelarji, radcy, doradcy radców, sekretarze jeneralni, sekretarze szczegółowi!...

Wpadł w pyszny humor.

— To oni nie mają prawa do życia? Sambym się na to pisał! Konie kuł, ażeby mieć prawo do życia! Ty byłeś majorem?

— Tak, jenerale.

— Chciałbyś awansu? Za dezercję należy ci się awans, teraz takie czasy.

— Nie, jenerale, jak jenerał rozkaże, będę prostym żołnierzem.

— Dobrze, że masz takie intencje, ale nie dam ci takiego rozkazu. Bierz swą dawną rangę. To ty byłeś w Paryżu — Chłopicki nabrał ochoty do gawędy — kiedy wybuchła tutaj rewolucja?

— Tak, jenerale.

— Cóż tam mówiono?

We drzwiach ukazał się Krysiński.

— Co?! — krzyknął Chłopicki.

— Zastępca ministra spraw wewnętrznych, hr. Łubieński czeka.

— Niech się każe w czekaniu zastąpić komu innemu. Nie przyjmę. No? Czego jeszcze?!

— Są jeszcze do podpisania te papiery...

— Jakie papiery?

— Nominacje...

Zabieraj mi się z temi nominacjami i nie właź, dopóki nie zawołam!

Krysiński cofnął się przerażony.

— Wiesz, po co on wszedł? Ażeby zmiarkować, co z tobą mówię. Podsłuchują mnie. A on jeszcze lepszy od innych. Więc co mówiono o rewolucji w Paryżu?

Co mówiono w kołach urzędowych i politycznych Znamierowski nie wiedział, mógł dać tylko obraz manifestacji ulicznych.

— Manifestacje! Z tego nie przyjdzie nam nic. Nam trzeba efektywnej pomocy. Na nią nigdzie rachować nie można. Tu wszystkim się zdaje, że o własnych siłach pokonamy armję rosyjską. O tem niema mowy! Prowadzę układy z cesarzem. Nie dopuściłem, aby uczyniono cokolwiek, coby postawiło mnie w niemożności prowadzenia układów. Wysłałem do Petersburga Lubeckiego i Jezierskiego. Żądam gwarancji konstytucyjnych i wycofania rosyj-

skich wojsk z Polski. Nic więcej. To już byłoby dużo. Jeśli cesarz odmówi, trzeba się bić i poledz.

— Losy wojny są niepewne — rzekł Znamierowski.

— Pewne jest, że mamy trzydzieści siedem tysięcy a moskale sto pięćdziesiąt. To tylko jest pewne. O tem nie myślał nikt z zaczynających rewolucję. O czem oni myśleli? Powiedz!

— Nie byłem tutaj, jenerale, w sprawach tych nie brałem udziału i przybyłem tutaj niedawno. Jeśli przedsięwzięciu temu brakowało na początku rozważnej myśli, to dziś przynajmniej musi mieć ono właściwy kierunek, skoro je dalej prowadzi jenerał.

To bez intencji pochlebstwa powiedziane pochlebstwo ujęło Chłopickiego. Wstał i chodząc po pokoju mówił

— Niech więc mnie słuchają, niech zdadzą wszystko na moją głowę. Tuszę, że układy doprowadzę pomyślnie do końca.

Nagle zatrzymał się.

— Chciałbym mieć cię przy sobie — rzekł. — Zrobiłeś głupstwo, ale nie szukałeś w niem karjery. Inny nie powiedziałby mi, że podkuwał w Paryżu konie, tylko chwaliłby się stosunkami i miałby pretensję, abym go tam posłał na ambasadora. Mam tu takich amatorów, jak ty to mówisz? — Co nie przyczyniają się do wytwórczości powszechnej. — Roześmiał się. — Potrzebuję ludzi, którym mógłbym wierzyć, którzyby mieli oko na łgarzów i nicponiów. Cobyś mógł robić? — Uderzył się w czoło. — Będziesz moim adjutantem! I zbadasz mi papiery, zabrane z kancelarji wielkiego księcia. Chcę mieć dokładną listę tych kanalji, które dziś udają patrjotów.

— Jenerale, nie marzyłem o tem.

— Wiem, że nie marzyłeś. Ty bywałeś u Wąsowiczowej? Ja cię tam spotykałem.

— Bywałem.

— Bądź u niej dziś wieczorem, jako mój adjutant. Ja tam przybędę. Trzeba, abyś odzyskał rangę w towarzystwie, należną twemu stanowisku i urodzeniu.

Znamierowski skłonił się.

— Krysiński! — krzyknął Chłopicki.

We drzwiach już stał sekretarz jeneralny.

— Oddać majorowi Znamierowskiemu, mojemu adjutantowi, papiery z tajnej kancelarji wielkiego księcia.

— Tak, panie dyktatorze — rzekł posłusznie Krysiński.

— Płaszcz!

Krysiński włożył płaszcz na Chłopickiego, przykląkł, obciągnął poły.

Znamierowski opuścił zafrasowany apartamenty dyktatury. Zaszczytne stanowisko wprowadzało go w niemały kłopot. Z innemi planami opuszczał Paryż. Myślał, że oczom ludzkim zginie w zgiełku niezwłocznej wojny, marzył, że kiedyś, jeśli nie padnie, ujrzy Różę. Tymczasem cała Warszawa znać będzie adjutanta dyktatora. Jak odpowiadać na ciekawe pytania? Jak tłumaczyć pogłoskę o swej śmierci? Zrozumiał, że musi przedewszystkiem zobaczyć Różę, że ona o jego pojawieniu się musi wiedzieć przed innymi.

Do dziś omijał ulicę, na której stał jego kiedyś dom. Serce mu biło.

Otworzył mu drzwi nowy, nieznany lokaj. Róży nie zastał, wrócił po godzinie, nie zastał jej znowu. Musiał odłożyć zobaczenie jej do drugiego dnia, trzeba było wydostać mundur, pałasz, nie miał chwili do stracenia. Przed ósmą był gotów i stanął opodal bramy pałacyku, zamieszkanego przez Wąsowiczową. Widział, jak zajechało parę pojazdów i weszło

kilka nieznanych mu osób. Wybiła już dziewiąta, gdy w ogromnych saniach, powożonych przez żołnierza, przybył Chłopicki.

Znamierowski skoczył, aby mu pomóc wysiąść. Chłopicki uśmiechnął się

— Już w mundurze, na służbie, czekasz, bardzo dobrze — rzekł.

W ogromnej, futrami zarzuconej sieni służba zdejmowała z nich płaszcze. Wąsowiczowa wybiegła na spotkanie dyktatora.

— Dyktator! dyktator! — zawołała, wyciągając ręce.

Była to kobieta wysoka, tęga, o dobrym uśmiechu. Mimo wieku, suknię miała mocno wydekoltowaną, ciemno-pąsową, aksamitną, od której odbijały dwa sznury białych pereł.

Ze zdumieniem spojrzała na Znamierowskiego.

—Nie poznajesz go pani? Pan major Znamierowski, mój adjutant.

— Pan Znamierowski? Czy być może?!

— Sądziła pani, że nie żyję — rzekł Znamierowski, uprzedzając pytanie i całując ją w rękę .

— No, bo przecież...

— Żyje, żyje... Schował się w Paryżu, lecz na wieść o rewolucji wrócił i stawił się u mnie po rozkazy.

Wąsowiczowa rozpromieniała.

— Stawił się u dyktatora!

Zdziwienie nie ustępowało jednak z jej oczu. W salonie było rojno. Na widok Chłopickiego wszyscy powstali z miejsc.

Znamierowski nikogo nie znał. Jakiś młody człowiek zaczął mu tłumaczyć stanowisko Austrji i Prus względem powstania. Miał doskonałe informacje, zdarzyło mu się rozmawiać z konsulem pruskim Schmidtem. Rozmowę powtarzał szczegółowo,

cytował słowa Schmidta i swoje jakoby niezmiernie zręczne, dyplomatyczne pytania i odpowiedzi. Mniemał, że byłoby dobrze, aby powiadomiony został o tem dyktator, gotów był nawet prosić w tym celu o audjencję.

— Cóż to? nie poznaje mnie pan? Parczewska.

— Jakżebym ośmielił się nie poznać!

— Oczom własnym nie wierzyłam! Wąsowiczowa mnie objaśniła. Pierwszy raz widzę człowieka zmartwychwstałego — Piotrowina! Będzie się pan nazywał teraz Piotrowinem.

— Bodaj cię, babo, djabli wzięli! — zaklął w duchu Znamierowski.

— Co tu łez za panem warszawianki wylały, rzępoliła Parczewska, ale tajemnica dochowana była święcie, — spojrzała na niego z pod oka, podejrzliwie, — Róża ani pisnęła! Jaka to musiała dla niej być radość, wyobrażam sobie! Poznaje pan swoją Warszawę?

— Poznaję, łaskawa pani.

— A zmieniło się wszystko do gruntu, przewróciło się wszystko do góry nogami, już nie jęczymy pod obcem jarzmem. Czy będzie wojna?

— Zanosi się na nią.

— Nie wierzę, aby cesarz, polski król, nie uznał naszych praw. Pojechali do niego Lubecki i Jezierski, ludzie rozsądni, oni wszystko potrafią należycie mu przedstawić. Raz prawdy się dowie! A jeśli będzie wojna, to dyktator zwycięży, serce mi mówi, że zwycięży.

— I ja o tem nie wątpię.

— Wierzę swoim przeczuciom, nigdy mnie przeczucia nie zawodzą. Jak wchodziłam tutaj, byłam pewna, że zobaczę coś nadzwyczajnego i nie zawiodłam się.

— Cóż nadzwyczajnego zobaczyła pani?

— Pana! Dobry sobie! Ale pan mnie nie poznał. Postarzałam się?

Znamierowski spojrzał na nią. Zdawało mu się, że miała niegdyś trochę siwych włosów, teraz nie znać ich było wcale.

— Odmłodniała pani raczej — rzekł.

— Odmłodniałam? Komplemencista!

Uderzyła go wachlarzem po ramieniu.

— A dlaczego Róży z panem niema? — spytała słodko.

— Jestem z dyktatorem służbowo, jako adjutant.

— Ach, te obowiązki! Najczulsze potrzeby serca trzeba im poświęcić! Pan wie naturalnie, że Róża pośród dam najzapaleńszą jest w Warszawie klubistką!

— Nie wiem.

— Nie wie pan? U niej bywa Lelewel, Mochnacki...

— Mochnacki? Ten literat?

— Literat?! Dziś to wielka figura! Sam chciał zostać dyktatorem, knuł na dyktatora zamachy. Wielkie musi mieć do pana zaufanie dyktator, jeśli pomimo to...

— Ja żołnierz jestem.

— No, naturalnie. Wszyscy wiemy, że Różę unosi egzaltacja patrjotyczna, **mais il ne faut jamais exagerer.** Ale tu jest ktoś z jej przyjaciół, pan Czajkowski, przybył z kresów na odgłos rewolucji.

Nim Znamierowski się spostrzegł, przywołała Czajkowskiego.

— Nie znacie się? Pan major Znamierowski z Paryża. Co się pan tak dziwi? Nogi pod nim się chwieją! Cha! cha! cha! No, naturalnie. Piotrowina ujrzał! Mąż Róży! Nie jest wdową nasza Róża! Nie! Gadajcie z sobą o polityce. Ja odchodzę, bo powie-

dzą, że romansuję z majorem. Co tu plotek w tej Warszawie!.... ach, Boże!

Czajkowski nie wiedział jak wszcząć rozmowę, nie wiele więcej dowcipu miał Znamierowski. Wreszcie rzekł:

— Pan podobno z kresów?

— Z kresów.

— Na wiadomość o powstaniu?

— Nie, do Warszawy przybyłem znacznie dawniej, tu mnie wypadki zastały. A pan? pan.. mówiono...

— Cóż mówiono?

— Że pan z powodu podejrzeń Wielkiego Księcia wyjechał do Paryża.

— Istotnie, byłem w Paryżu.

— I że pan tam...

— Umarł — dokończył Znamierowski.

— Wszyscy byli pewni...

— Jak pan widzi, niczego nie można być pewnym.

Wtem usłyszał szeptem wymówione swoje nazwisko, poczuł, że stał się przedmiotem ogólnego zainteresowania, raz wraz chwytał czyjeś spojrzenie. Chłopicki z kilku mężczyznami siedział w bocznym buduarze, paląc cygaro. Z jego odejściem powróciła przerwana swoboda, gwar i szmer flirtów.

Roznoszono herbatę.

Róża! Ona!... Czy nie ćmi mu się w oczach? Ona!

Weszła do salonu w jasnej sukni, uśmiechnięta, podchodzono do niej, witając się.

Wzruszenie gardło mu ścisnęło, a jednocześnie myśl uderzyła do głowy, co będzie, jeśli z nim się nie porozumie. Jutro niestworzone historje obiegać będą Warszawę. Co robić? Zbliżyć się? A jeśli krzyknie? Jeśli zemdleje? Bał się, aby go nie spostrzegła, a przykuł się do niej wzrokiem. Była olśniewająco piękna, piękniejsza niż przed laty. W ru-

chu, w podniesieniu głowy miała nieznaną mu dawniej pewność i śmiałość. Obejrzała się wokół, szukając Wąsowiczowej i tu ich oczy się spotkały. Skamieniała. Znamierowski dojrzał sam jeden błyskawicę przerażenia, zmieniającą na chwilę jej rysy, usta jej się skrzywiły, oczy ściemniały. Ochłonęła, oprzytomniała. Poczuł, że nikt nie dowie się, aby nie wiedziała o jego powrocie. Miał nieprzezwyciężoną chęć podejść teraz do niej i nieprzezwyciężoną bezwładność. Wziął odstawioną filiżankę z herbatą. Ktoś do niego coś mówił, on coś odpowiadał, nagle zobaczył zbliżającą się Różę.

— Wyjdźmy — rzekła, jakby nie rozstawali się nigdy.

— Nie mogę — odpowiedział tym samym tonem, jestem z dyktatorem.

— Gdzieby można mówić spokojnie? — rozejrzała się po sali.

Uratowała ich Wąsowiczowa. Czy odgadła, czy instynktem wiedziona, podeszła uśmiechnięta, rozważna.

— Pan tak zajęty służbą, że żonę przypadkiem spotyka u przyjaciół. Idźcie do pokoju stołowego, tam nikogo niema, gdy dyktator będzie odjeżdżał, przyjdę po pana.

Zostali sami.

Teraz na twarz wystąpiły jej płomienie.

— Nie myślałaś, że mnie spotkasz — rzekł Znamierowski.

— Kto mnie zawiadomił, że umarłeś?

— Ja sam.

— Dlaczego? — spytała gniewnie.

— Abyś łatwiej mogła o mnie zapomnieć, aby rzeczywistość, której pragnęłaś, stała ci się chociaż złudzeniem.

— Ja nie pragnęłam twej śmierci!

— A wtedy?

— Wtedy byłam uniesiona, chodziło mi o twój honor. Dowiedziawszy się, że nie żyjesz, mogłam była wyjść zamąż — zaśmiała się szyderczo.

Zbladł, ale rzekł chłodno

— Nie byłbym ci szczęścia zakłócił.

— Wiem, że byłoby ci to obojętne.

— Nie — zaprzeczył.

— Nie wyzbyłeś się galanterji.

— Ty jesteś zawsze dla mnie tem, czem byłaś — odparł, nie podejmując wyzwania.

Przycisnęła dłoń do czoła, jakby uspokajając zrywającą się w sobie burzę.

— Co robiłeś w Paryżu? Z czego żyłeś?

— A no, żyłem tak, jak żyją ludzie.

— Grałeś w karty?

— Nie, żyłem z pracy.

Zdało jej się, że drwi z niej.

— Może nie zaczynalibyśmy rozmowy od żartów — rzekła.

Pochylił głowę i z pod brwi spojrzał na nią. Przez usta przewinął mu się pobłażliwy uśmiech.

— Nie żartuję, żyłem z pracy i bodaj, nigdy nie byłem tak szczęśliwy.

— Dlaczego porzuciłeś to szczęście, jeśli wolno wiedzieć?

— Wybuchła rewolucja, spodziewałem się wojny z Rosją.

— A tu przyszedłeś, aby mnie niby przypadkowo spotkać, przerazić!

— Nie wiedziałem, że tutaj będziesz. Przyszedłem, bo kazał mi przyjść dyktator. Gdy mianował mnie adjutantem, przewidziałem, że mogę spotkać cię w towarzystwie, więc właśnie, ażeby cię nie przerazić, byłem dziś u ciebie.

— To ty byłeś u mnie?

— Dwa razy.
— Jesteś adjutantem dyktatora?
— Tak.
Zastanowiła się, coś rodziło się w jej umyśle.
— Gdzie mieszkasz?
— Na mieście.
— Masz swój dom, należy do ciebie, ja w każdej chwili mogę ustąpić.
— Dziękuję, dom mi nie jest potrzebny.
— Nie poznaję cię — rzekła.
— Ty zmieniłaś się mało.
— Naprawdę?
— Wypiękniałaś.
— Dziękuję.
Zamilkli.
— Więc jesteś adjutantem Chłopickiego? — zapytała powtórnie.
— Jak ci powiedziałem.
— Odkąd?
— Od dzisiaj.
— Czy Chłopicki myśli o wojnie? — zagadnęła żywo.
— Jeśli z negocjacjami się nie powiedzie, to naturalnie musi być wojna.
— Jakie stawia warunki?
Już chciał odpowiedzieć, gdy przypomniał sobie, co o stosunkach Róży mówiła Parczewska.
— Raz z nim zaledwie mówiłem — rzekł wymijająco.
— Czy będziemy widywać się z sobą? — spytała.
— To zależy od ciebie.
— Nie myśl, że nie jestem kontenta, że żyjesz.
— Wierzę.
Weszła Wąsowiczowa.
— Dyktator odjeżdża — rzekła.

Tłoczono się koło Chłopickiego, mężczyźni starali się, aby zauważył ich ukłon, aby podał rękę. Niebawem Róża wymknęła się, nikt na nią nie czekał, szła szybko. Dopędził ją Czajkowski.

— Nie zauważyłem, jak pani wyszła, a przyszedłem umyślnie, aby panią odprowadzić, dziś u pani się zbieramy.

— Pamiętam, boję się, żeśmy się zapóźnili. Niepodobna było wyjść przed Chłopickim.

Czajkowskiego dręczyło pytanie, którego nie śmiał wyrzec.

— Poznał pan mego męża? — spytała, odgadując je Róża.

— Poznałem i wyznam, że nie pojmuję.

— Pan wie, że był w Towarzystwie patrjotycznem?

— Wiem.

— Obawiając się aresztowania, wyjechał do Paryża i przyjaciele, aby zatrzeć ślady, podali wiadomość o jego śmierci. Gdy zaczęła się rewolucja, naturalnie, powrócił. O, już jesteśmy !

— Wszyscy panowie już są — rzekł, odbierając futra Józef.

Byli to Lelewel, Mochnacki, Gurowski, Nabielak, Kozłowski i Goszczyński.

— Nareszcie, — rzekł, wstając Lelewel. — Widziała pani dyktatora?

— Widziałam.

— Mówiła pani z nim?

— Nie.

— A z Wąsowiczową?

— Także nie. Tam zresztą obawiają się cokolwiek mi powiedzieć!

— Spodziewam się — rzekł Mochnacki.

— Odniosłam jednak wrażenie, że Chłopicki, je-

śli negocjacje mu się nie powiodą, przed wojną się nie cofnie.

— Co pani dało to wrażenie? — spytał Lelewel.

— Rozmowa z jego adjutantem.

— Kto nim jest?

— Mój mąż.

Lelewelowi słowa zamarły w otworzonych napół ustach. Mochnacki odwrócił się szybko na krześle, Kozłowski uderzył palcami w stół, jakby potwierdzając jakieś swoje przypuszczenia, Nabielak szukał wyjaśnienia w oczach Goszczyńskiego, którego te dać mu nie umiały.

Róża powtórzyła to, co powiedziała przed chwilą Czajkowskiemu.

Zrozumieli, że jeśli w słowach jej nie zawierała się cała prawda, to pragnęła, aby za całą prawdę były przyjęte.

Lelewel zamyślił się, chciał jeszcze coś wiedzieć.

— Mimo spotkania męża, nie zapomniałaś o nas dzisiaj, kochana przyjaciółko.

Zrozumiała także.

— Mój mąż jest na służbie i tak zajęty, że w domu może być zaledwie gościem.

— Dawny członek Towarzystwa Patrjotycznego — rzekł Mochnacki — powinienby należeć do nas.

— Niemożliwe, wojskowy i adjutant dyktatora. Gdy pytałam, jakie stawia warunki Chłopicki, nie chciał odpowiedzieć, a może naprawdę nie wiedział.

— Otóż najważniejsza, że tych warunków nie znamy — rzekł Lelewel.

— Ja je znam — zaprzeczył Mochnacki.

Lelewel wzruszył ramionami.

— Prezes wzrusza ramionami — żachnął się Mochnacki, — a przecież te warunki widzi każdy, kto śledzi bieg wypadków. Konstantego z wojskiem wypuścił Chłopicki. Kto mu pozwolił? Rada Admini-

stracyjna, rząd narodowy! Nas, nas, którzy zaczęliśmy powstanie, nikt o radę nie pytał! Gadać z nami nie chciano! I teraz nie chcą! Te słowa, które czytaliśmy, gdyśmy ztąd 29 listopada od pani wyszli — pamiętasz Kozłowski? — te słowa „niech wszystkie uniesienia przeminą z nocą, która je pokrywała", pozostały dla nich święte, niewzruszone! Ani jedno z naszych wymagań w warunkach Chłopickiego nie jest uwzględnione — głowę daję! Kto mówi o uorganizowaniu powstań na kresach, w prowincjach zabranych?! Kto?! Czajkowski! A z Czajkowskim kto gada?! Nikt!

— Nikt — potwierdził Czajkowski.

— Nie wierzę ja w to — ciągnął Mochnacki — aby Chłopicki podawał warunki takie, których nieprzyjęcie pociągnęłoby wojnę. Wtedy gotowałby wojska! Uzbrajałby! Warunki stawia takie, aby Mikołaj je przyjął! Gwarancje konstytucyjne i amnestja, nic nadto!

— A jeśli i tych warunków Mikołaj nie przyjmie? — spytała Róża.

— To nie będzie ani konstytucji, ani amnestji. Precz z tą dyktaturą!

— Precz z dyktaturą! — krzyknął Gurowski.

— Co postawisz na jej miejsce? — spytał Mochnackiego Lelewel.

— Nasampierw trzeba ją zwalić.

— Jak?

— Przez rewolucję. Umieliśmy wygnać Konstantego, a nie poradzilibyśmy Chłopickiemu?

— Z Chłopickim trudniej — rzekł Nabielak — weń patrzy wszystko, jak w ewangelję. Niepojęte, jaki ten człowiek urok wywiera.

— Trzeba ludziom oczy otworzyć! — zawołał Gurowski.

— Jak? — zapytał znowu Lelewel.

— Po to właśnie zebraliśmy się — odpowiedział Mochnacki. — Należy utworzyć klub rewolucyjny, uorganizować mityngi w Warszawie. Powiemy czego chcemy my, a czego Chłopicki, zobaczymy, za kim opowie się wojsko i lud.

— Jeszcze zawcześnie, jeszcze nic nie grozi — rzekł Lelewel. — Pozwólmy rozwinąć się rzeczom. Jeśli jest tak, jak wywodzi Mochnacki, naród z czasem przejrzy sam i sam zrozumie za kim słuszność. Jeśli jest inaczej, zepsujemy Chłopickiemu działanie. Nie czyńmy przed czasem.

— Profesorze! — zawołał Mochnacki — na zegarze dziejowym wskazówki przeskakują godziny.

— Ja podzielam zdanie Maurycego — rzekł Gurowski.

— Byle nie powtórzyło się to, czego już raz byliśmy świadkami—zasumował się Goszczyński, Mochnacki gadał, a lud chciał go rozszarpać.

— Nie lud, lecz akademicy — poprawił go Nabielak.

— Więc zakładamy klub, czy nie? — spytał Mochnacki.

— Dyktator nigdy nie pozwoli—odparł Lelewel.

— Nie będziemy go się pytali — odgrażał się Gurowski.

— Nie możemy dawać teraz pozoru Rosji, że między nami a Chłopickim jest waśń — przestrzegł Goszczyński.

— Tak jest — przytaknął Nabielak.

— Spytać się go musimy — rzekła Róża — i według mnie od tego należy zacząć.

— Dlaczego? — spytał Kozłowski.

— Dlatego, aby się zdeklarował.

— Jak to pani rozumie?

— Wyślijmy deputację do Chłopickiego. Niech idą pan Lelewel, pan Mochnacki, pan Gurowski, niech

mu powiedzą, że chcą założyć klub. Klub ten, wytłómaczą mu, będzie służyć dla poparcia jego żądań przed Mikołajem, aby Mikołaj wiedział, że za dyktatorem stoi cały lud. Udacie, że warunki znacie, że nie pytacie nawet o nie, bo nie mogą być inne, jak przyłączenie prowincji zabranych, rozciągnięcie na nie konstytucji, wycofanie rosyjskiego wojska, uwolnienie wszystkich więźniów, uwiezionych do Rosji. Zobaczymy, co powie Chłopicki. Jestem przekonana, że pan Maurycy ma rację, że to wszystko Chłopickiemu nie w głowie, lecz niech to wyjawi, niech wyzna, że o tem nawet nie marzy. Wtedy wyjdziemy na ulicę, wtedy nie powie nam nikt, że budzimy próżne podejrzenia, bo mieć będziemy deklarację dyktatora, bo odpowiemy, że wiemy od niego samego czego chce i czego żąda.

— To jest dobrze pomyślane — rzekł Kozłowski. Mochnacki skinął głową z uznaniem.

—Nie trzeba także mniemać, jak Nabielak—mówił Kozłowski — aby popularność Chłopickiego nie była zachwiana. Wierzy się w niego jako w żołnierza jak w przyszłego wodza i tem on stoi. Coraz mniej wierzy się w polityka i dyktatora. Ba, na tę dyktaturę ludziska nawet sarkają. Figury, kręcące się koło Chłopickiego, znane są i nikt nie ma do nich zaufania. Ciemne postacie owi Krysińscy i inni. Te rzeczy też trzeba dobrze zbadać. Interesy robią!

— Wiesz o tem? — spytał Mochnacki.

— Jeszczeby! Wzięli oni w pacht rewolucję i dyktatora. Rewolucja też może być interesem. Ba, nawet dobrym interesem! Tworzą się urzędy, posady, bądź co bądź, czyni się i obstalunki dla armji, istnieje także to, co przedtem było. Oni też są rewolucjoniści w swoim rodzaju, chcieliby aby rewolucja przeszła w stan chroniczny, aby wiecznie trwała. A mądrzy, przezorni, asekurują się na wszystkie strony, wysługują się dawnym stronnikom Moskwy, ażeby mieć pro-

tekcję i rekomendację na wszelki wypadek. Ażeby Polska utrzymała się, to im nawet nie w głowie, o tem wcale nie myślą. Dziś złapać co się da, a jutro zachować, co udało się złapać dzisiaj. Oto ich program polityczny.

— A jeśli Chłopicki — przerwał refleksję Kozłowskiego Goszczyński — nie da pozwolenia na założenie klubu, ale nie da zarazem swoich powodów?

— To założymy klub bez pozwolenia — odparł Gurowski — i zużytkujemy wszystkie bezcenne wiadomości Kozłowskiego.

— Jest jeszcze jedna alternatywa, w którą zresztą mało wierzę, że Chłopicki na klub przyzwoli — rzekł Lelewel.

— Wtedy dobrze! wtedy jest z nami! — zawołała Róża.

— Nie, może przyzwolić, a nie być z nami. Wolność zdań jest dopuszczona i każdy mieć może inne zdanie.

— Przenikam myśl Lelewela — rzekł Mochnacki— może pozwolić i czekać na pozór, aby klub rozpędzić! Na pozór zrozumiały. W takiem zgromadzeniu awantura jest łatwa. Ktoś zapłacony wykrzyknie rzecz, budzącą powszechne oburzenie, kompromituje nas i Chłopicki klub zamyka. Ale nie! Taki polityk on nie jest! Daleko mu do tego! Postąpi, jak mówiła pani Róża, zdeklaruje się.

— I ja tak sądzę — rzekł Lelewel.

— Na razie należy wygotować petycję o założenie klubu i wypisać nasze żądania.

— Pani ma rozum męża stanu — rzekł, żegnając się.

Róża pozostała sama. Wszystkie myśli i uczucia, przygłuszone chwilowo polityczną dyskusją, uderzyły jej do głowy, jak wachlarz roztoczyły się przed nią ubiegłe zdarzenia. Widziała siebie, gdy podawała

mężowi nabity pistolet, wtedy gdy powrócił od wielkiego ks. Konstantego, i widziała wyraz jego oczu. I Krzyżanowskiego ostatniego dnia przed aresztowaniem. Czy on wróci? Kiedy wróci? Czy ta rewolucja, do której przystała, w którą złożyła całą swą duszę, przyniesie mu ratunek? Znamierowski już wrócił, znowu stoi przed nią, jak żywy wyrzut. Jakaś daleka radość szła na nią, że żyje, a jednocześnie skurcz chwytał jej serce na myśl, że wszystko napowrót z grobu wspomnień żywem powstaje.

— Jakie życie ciężkie, jakie ciężkie! — jęknęła.

III.

Fala dawnych czasów biła w Znamierowskiego. Z każdego kąta pokoju witał go wspomnieniem jakiś sprzęt, przypominał jakieś zdarzenie, zaginione, zdawałoby się,nazawsze w pamięci.

— Zobacz swój pokój — rzekła Róża. — Widzisz, nic się nie zmieniło.

Spojrzał na nią z rozczuleniem.

Nad łóżkiem, zasłanem czarną aksamitną kapą, wisiała na jelenich rogach strzelba, szabla, torba myśliwska, biała skóra niedźwiedzia rozciągała się na podłodze.

— Psa tylko niema, Trezora, zdechł.

— Co mu się stało? — spytał Znamierowski.

Zdechł niedługo po twoim wyjeździe.

Znamierowski zdjął strzelbę, była zardzewiała, szabla z trudnością wychodziła z pochwy.

W pokoju stołowym huczał ogień. Róża, nie przywołując nikogo, przyrządzała herbatę.

Znamierowski patrzył na nią w zamyśleniu, była, jak niegdyś, prosta i cicha.

— Różo, — rzekł.

Odwróciła się z uśmiechem.

— Co?

— Czy ty naprawdę miałaś mnie za takiego... za takiego łotra?

Ja ciebie? Co ci do głowy przychodzi?

— Za takiego, któremu nie pozostaje nic innego, jak strzelić sobie w łeb?

Wargi jej zbielały i oczy zaszkliły się czarnym połyskiem, jak zawsze, kiedy była w gniewie, lub wzruszeniu.

— Nie mówmy o tem.

Właśnie mówmy. Tę przerwaną przed kilku laty rozmowę musimy dokończyć. Dokończmy ją dzisiaj. Przecież ja dla tego wyjechałem z Polski.

— Dlatego?

— A ty myślałaś, że dlaczego?

— Ja myślałam, nie gniewaj się, ty byłeś zawsze nieopamiętany, myślałam, że może poradził ci to wielki książę.

— Nie, Różo. Wyjechałem dlatego, że chciałaś mojej śmierci.

— Dlatego? dlatego?

— Jakżeż mogłem pozostać, jeśli człowiekowi najbliższemu stałem się tak wstrętny,że pragnął mojej śmierci.

— Czyż ja ci byłam człowiekiem najbliższym?

— A któż?

— Miałeś tyle romansów.

— Ech—machnął ręką—grałem także w karty.

— Nie, rzekła poważnie — nie miałam cię za takiego, jak powiedziałeś. Miałam cię za człowieka popędów, lekkomyślnego, nie zdającego sobie sprawy z wagi słów, nieopanowanego, gotowego narazić swój honor, wszystko z tego powodu. Zdawało mi się czasem, że jesteś z tych mężów, co mogą żonę przegrać w karty.

— Różo!

— A tak. I to, co wtedy powiedziałam, to w uniesieniu przeciw tej lekkomyślności.

— Ja nie taję, że postąpiłem niegodziwie.

— Nie niegodziwie, lekkomyślnie. Mało kto wiedział wówczas czem groziły, czem były te zwierzenia przed Konstantym. To był wilk, który, gdy chciał, przybierał postać jagnięcia. Ludzie mniej prości, wytrawniejsi niż ty, wówczas mu ufali. Tak samo zaufał mu Prądzyński.

— Prądzyński?

— Prądzyński i zupełnie tak samo, jak ty. Uwierzył w dobre uczucia, w łaskawość tego łotra. Ty na niczyją głowę nie ściągnąłeś przynajmniej nieszczęścia.

— Nie? powiedz!

— Nie, te kilka osób, które wyjawiłeś, nie miały znaczenia, nawet, o ile wiem, nikogo z nich nie aresztowano.

— Tak, prawda. W tej sprawie tylko Krzyżanowski zapłacił ciężko. Na ile lat on poszedł?

— Na całe życie — rzekła głucho.

— Straszne! Wolałbym nie żyć! Gdzie siedzi?

— Nikt nie wie, podobno już jest na Syberji.

— Czy wie chociaż, że tu jest rewolucja, że może przynieść mu wolność?

— Jakże może wiedzieć.

— Wiesz, Różo, miałem postanowienie nie powracania nigdy, lecz gdy dowiedziałem się, że się zaczęło, godziny nie mogłem wytrzymać. Jest w człowieku coś dziwnego, głos krwi, czy... bo ja wiem co! Nigdy nie byłem zapalonym patrjotą, do tych spraw należałem z przypadku, dla towarzystwa, naprawdę nie należałem do nich wcale, ale kiedy ten robotnik w Paryżu mi powiedział: **„tu ne sais donc pas? Revolution en Pologne! A bas Nico-**

las!“ jak piorun we mnie trzasnął, uspokoić się nie mogłem, że nie jestem w Warszawie.

— Jakże miałeś nie przyjechać, jesteś oficerem. Wolno ci było nie służyć pod Konstantym, ale nie wolno było nie służyć teraz. Nigdy nie myślałam, abyś postąpił inaczej.

— Nie myślałaś?

— Nie. No, naturalnie, nie myślałabym, gdybym wiedziała, że żyjesz. Co za szaleństwo!

Była tak poruszona, że głowę oparła mu o ramię. Uciekł od świata, gdy mu się zdawało, że go nazawsze od siebie odtrąciła.

Nagle wyprostowała się blada.

— Co ci jest, Różo?

— Nic, nic...

Nie chciał jednak zmienić trybu życia, utrzymywać się inaczej, jak z żołdu. Przywykł do pewnych rzeczy, do pewnych twardych warunków. Zdawało mu się, że gdyby je opuścił, toby się w nim zaczął nowy upadek moralny. Zresztą teraz rewolucja. Aby wytłomaczyć to swoje postanowienie, rzekł

— Widzisz, Różo, zdziwaczałem.

IV.

Opędzanie swych potrzeb jedynie pensją oficerską sprawiło, że Znamierowski, mimo ciągłego przebywania z dyktatorem, nietylko znajdował się poza zamkniętem kołem interesów prywatnych, złączonych z powstaniem, lecz nie mógł ich nawet poznać i przeniknąć. Nie przenikał ich także Chłopicki. Coś przeczuwał, czegoś się domyślał, ale nic nie wiedział dokładnie. Wzbudziwszy w sobie instynktowne zaufanie do Znamierowskiego, sądził, że on pozna i powiadomi go o rzeczach, o których dowiadywał się tylko

z plotek. Na to jednak nie wystarczało być uczciwym i miłować prawdę, trzeba było jeszcze przebywać na mieście, zapraszać i przyjmować zaproszenia, żyć na równej stopie majątkowej z tymi dygnitarzami kancelaryjnymi, którzy podzielili między siebie dyrekcję spraw biurowych.

Trzech ich — Krysiński, Hübner i Halpert byli najdalej wyciągniętemi mackami przeróżnych spekulantów, aferzystów, bankierów, prezesów towarzystw oszczędności, komisji żywności, zarządców szpitalów i lazaretów, obsadzali, w myśl ich interesów, stanowiska w administracji państwowej, wyłudzali nominacje od Chłopickiego, bogacili się w oczach.

Rano, przed wszystkimi urzędnikami, przybywał do kancelarji Krysiński, za nim wsuwali się Halpert i Hübner. Hübner, który kierował się na fachowego dyplomatę i potrafił po powstaniu zostać podsekretarzem legacji rosyjskiej w Wiedniu, wyglądał jak wychudzony i zdegenerowany długim pobytem w menażerji drapieżny ptak. Głowę miał kompletnie łysą, spiczastą u wierzchołka, twarz wąską, o nosie cienkim, wyciągniętym, oczy blado-niebieskie, zaczerwienione, wyćwiczone tak, że nigdy uczuć ani myśli nie zdradzały. W przeciwieństwie do niego Halpert, późniejszy urzędnik pruski we Wrocławiu, był bryłą tłuszczu, o głowie okrągłej, włosach gęstych, oczach wypukłych, orzechowych, twardych, kłócących się z szerokim, jowialnym uśmiechem. Gdy we trzech stanęli około stołu i nachylili się ku sobie w szepcie poufnej rozmowy, tworzyli obraz fizycznej syntezy egoizmu, przechodzącego w okrucieństwo, obłudy, podstępu i chciwości.

Krysiński, Halpert i Hübner radzili nad ważną sprawą.

Osławiony wiceprezydent Lubowidzki, skłuty bagnetami przez podchorążych w Belwederze, uciekł ze

szpitala wojskowego, gdzie leczył się pod strażą. Trzeba było osłonić potężnych wspólników i sprawę zamazać.

Rozmowę przerwało im przybycie Chłopickiego. Krysiński porwał tekę i wbiegł za nim do gabinetu.

— No i co tam? — spytał Chłopicki.

— Lubowidzki... — zaczął Krysiński.

— Wiem, uciekł. Jednego błazna mniej! Jest coś ważniejszego. Przyszła do mnie, do mieszkania, deputacja. Mochnacki, Nabielak, Kozłowski. Mochnacki odczytał mi petycję o założeniu klubu rewolucyjnego. Patrz!

— Co za bezczelność! do mieszkania! — oburzył się Krysiński. — I co pan dyktator?

— Z początku chciałem wygnać precz, ale pomyślałem, że dam im odpowiedź lepszą. Wziąłem petycję, przyrzekłem, że rozważą i dam odpowiedź. Ja im dam odpowiedź! Będą mieli odpowiedź!

Krysiński, nie wiedząc jeszcze, jaka ta odpowiedź będzie, aprobował ją pełnem uwielbienia spojrzeniem.

— Przygotujesz dla Lewela pokój na górze, biorę go pod areszt.

— Lelewela?

— Lelewela! Ja im dam odpowiedź! On jest autorem tej petycji, choć w deputacji się nie pokazał. Poślesz po Lelewela, ażeby mi się tu zaraz stawił. Niech mi go wprowadzi Znamierowski.

— To pan Znamierowski może dałby wiadomość, czy Lelewel brał udział w tej sprawie — rzekł Krysiński.

— Znamierowski?

— Jego żona jest w bliskich stosunkach z Lelewelem i klubistami.

— Wiem, ale on w tem nie ma nic. Jakby coś wiedział, toby mi powiedział sam.

— Z pewnością — wycofał się Krysiński z pozy-

cji — to kryształowy człowiek, pan dyktator ma dziwne czucie do ludzi.

Gdy Krysiński wydał nakazane rozporządzenie, wsunęli się do niego Halpert i Hübner.

— I co?!

— Lelewel pod klucz — szepnął z lubością. — Lubowidzki z pod klucza, a Lelewel pod klucz. — Zatarł ręce. — Sam pan adjutant Znamierowski przyprowadzi go za brodę, sam pan adjutant Znamierowski. Będziemy mieli widok! No!

— Znasz ty dobrze tego Znamierowskiego?—spytał Hübner.

— On ma tu — odparł Krysiński, stukając się w czoło. — Wiecie, że on nie... — nachylił się do ucha Halpertowi i Hübnerowi.

Zatoczyli się od śmiechu.

— Kto go przy żonie zastępuje? — spytał Halpert.

— Lelewel.

W tej chwili spoważnieli i zesztywnieli, do gabinetu dyktatora, poprzedzając Znamierowskiego, szedł Lelewel.

— Dyktator czeka, kilkakrotnie dowiadywał się o pana profesora — rzekł, witając go Krysiński.

— A cóż tam się stało? Cóż tam się stało takiego?

— Nie wiem. Po rozmowie z dyktatorem poproszę pana profesora o chwileczkę czasu dla przedstawienia raportów o stanie szkolnictwa.

— Dobrze, dobrze.

Gdy Lelewel wszedł do Chłopickiego, Hübner przysiadł w kucki i wystawił za nim język, Halpert podniósł poły surduta i wykonał łuk w kierunku drzwi, Krysiński wyrzucał kolanem w górę i czynił gest ręką, jakby brał kogoś za kołnierz. Bawili się przedziwnie.

— A, pan profesor!... — rzekł przeciągle od biurka Chłopicki.

— Słyszę, że dyktator mnie szuka.

Znamierowski stanął w progu, podtrzymując pałasz, wyciągnięty jak struna.

Więc ten mały człowieczek o zapadłej piersi, rozczochranych włosach i brodzie, to on! żywe natchnienie rewolucji, wódz demagogów! Więc ten cienki, piskliwy prawie głos grzmi na trybunie! Więc te poczciwe, przemęczone pracą oczy ciskają błyskawice. Przyglądał się ciekawie, budzącemu lęk w pałacach i bogatych domach, strasznemu Lelewelowi.

Chłopicki wstał i wziąwszy papier ze stołu, podsunął go pod same oczy Lelewela.

— Znasz to?

Lelewel przyjrzał się, przeczytał i skinął głową potakująco.

— Znam.

— Przyznajesz się?

— Przyznaję.

— Ty to pisałeś?

— Nie.

— A kto?

— Pewnie Mochnacki, to jest styl Mochnackiego.

— Mieszasz się pan w odpowiedziach! — huknął Chłopicki. — Skoro znasz, toś czytał, skoroś czytał, to ci pokazano, skoro ci pokazano, to powiedziano ci, kto pisał.

— Zupełnie inna jest logika tej sprawy — odparł Lelewel. — Jeśli dyktator pozwoli, to mu wytłumaczę.

— Gadaj pan!

— Urodziła się myśl...

— Gdzie się urodziła? W jakich głowach takie myśli się rodzą?

— Nie wiem w czyjej głowie początek to wzięło, dość, że u tych, którzy dyktatorowi petycję tę wręczyli, powstał zamiar założenia klubu politycznego. Mnie z tem się zwierzono.

— Zwierzono mu się! Proszę! Zwierzono mu się!

— Sądząc, że dyktatorowi myśl ta z jakichkolwiek powodów jest niedogodna, nastawałem, aby ją jaknajprędzej w formie tego oto podania ujawniono. Pragnąłem bowiem, aby dyktator wiedział co się dzieje i nie doznał jakowych przeszkód w swoich zamysłach politycznych.

— Panie profesorze — rzekł Chłopicki, — mnie ta rzecz przedstawia się prościej i jaśniej. Pan jesteś duszą tego knowania, pan jesteś autorem tego papieru, pan chciałeś, abym zakazał utworzenia klubu. Otóż ja nietylko zakazuję, ale i aresztuję pana!

— Pan dyktator mnie aresztuje?

— Aresztuję cię!

— Czy dyktator nie postępuje nieprzezornie? Raczejbym radził, aby dyktator tego nie robił.

Lelewel mówił tak, jakby chodziło o trzecią osobę.

— Dlaczego?

— Bo krok dyktatora obudzić gotów poruszenie wśród młodzieży i ludu. Ja rewolucji nie przywodzę i związków tajnych nie mam, lecz posiadam zaufanie ogólne, z którego owszem korzystam, aby umysły przywodzić do umiarkowania i uśmierzać zapędy zbyt gorące. Kiedy się ujawni, a nie ujawnić się nie może, że jestem z rozkazu dyktatora aresztowany, dyktator stać się może przedmiotem wybuchów i napaści.

— Nie obawiam ja się tego, — rzekł Chłopicki.

— Niech dyktator pamięta, że przestrzegałem i że na sumienie swoje tego rozporządzenia nie biorę.

— Ja je biorę na swoje.

— Jeśli to więc nieodwołalna wola dyktatora, to choć zdanie mam odmienne, będę jej posłuszny. Dokąd mam się udać?

— Zaprowadzi cię major Znamierowski.

— Ach, to pan major Znamierowski! Bardzo szczęśliwy jestem z poznania pan majora — i Lelewel

skłonił się uprzejmie Znamierowskiemu.—Gdzie to?— zapytał.

— Tu, na górze pokój dla pana profesora przygotowany.

Przed pokojem owym stało dwóch żołnierzy z karabinami. Gdy Znamierowski żegnał Lelewela, ten go przywołał i szepnął mu do ucha

—Mój majorze, daj znać swej żonie o tem, co widziałeś.

— Panie profesorze, — rzekł Znamierowski, — nie mogę! Niech pan profesor zechce mi wybaczyć.

W tej chwili wpadł Krysiński.

— Tu zimno! — zawołał. — Kto ten pokój przygotował?! Trzeba napalić! Czy pan profesor po obiedzie?

— Jeszcze nie.

— Co pan profesor zadysponuje?

— Ja zadowolnię się byle czem.

Lelewel znalazł jednak sposób, aby dowiedziano się o jego aresztowaniu. Zaledwie Znamierowski powrócił do domu, usłyszał pukanie do drzwi. Zdziwił się, nikt go bowiem nie odwiedzał, otworzył i ujrzał Różę.

— Przyszłam zobaczyć, jak mieszkasz, — rzekła, podając mu obydwie ręce i policzki do ucałowania.

Uradował się i wzruszył.

— Jak widzisz, wcale dobrze, — rzekł.

Rozejrzała się po mieszkaniu.

— Nikogo przyjmować tu nie możesz.

— Nikogo też nie przyjmuję.

— Dwa pokoje tylko.

— W Paryżu mieszkałem w jednym.

Na stole leżał Nowy Testament, wzięła książkę i przewracając machinalnie kartki, spytała

— Co Chłopickiemu strzeliło do głowy, by aresztować Lelewela?

— Już wiesz o tem?

Cała Warszawa o niczem innem nie mówi.

— Jakże to się szybko rozeszło, od aresztowania nie upłynęło więcej, niż trzy godziny, rzekł Znamierowski.

— Byłeś przy tem?

— Sam go odprowadziłem do pokoju, gdzie Krysiński kazał napalić, przynieść buljon, kapłona, kawę i likier.

— Lecz tam straż stoi.

— Stoi, mogłaby nie stać, ale tak wypada z reguły. Prosił on mnie, aby zawiadomić cię o tem aresztowaniu, lecz odmówiłem.

— Dlaczego?

— Kiedy jestem adjutantem Chłopickiego, nie mogę być adjutantem waszego klubu.

— A moim być nie chcesz? — uśmiechnęła się zalotnie.

Zmięszał się.

— Gdybyś miał do mnie więcej zaufania, niejedno dałoby się naprawić. Naprzykład z tem aresztowaniem. Daję ci słowo, że Lelewel nie winien.

— Tak wyglądało z jego tłomaczenia.

— Jak się tłomaczył?

Znamierowski nie spostrzegłszy się, powtórzył rozmowę Lelewela z Chłopickim.

— Nie wygląda on mi wcale na rewolucjonistę, skończył. Cokolwiek mówicie o Chłopickim, bardziej bym jemu ufał, jako mężowi politycznemu, niż temu profesorowi.

On ma wielki wpływ na umysły — rzekła, i zamyśliwszy się, dodała. — Nie sądź, że my jesteśmy przeciwko Chłopickiemu. Jesteśmy przeciwko jego systemowi. Chłopicki czeka, a Rosja się gotuje. Czy tego nie widzisz?

— Choćbym widział, nic nie poradzę. — Wiem

jedno, mam to głębokie przekonanie, że jeśli Mikołaj warunki odrzuci, Chłopicki pójdzie w bój, a jedyny to pośród nas wódz i jenerał. Nie można zaufania do niego podważać. Codzień czeka się na odpowiedź z Petersburga. Czekało się dotąd, czekajmy dalej cierpliwie. Tego zdania jest, zdaje się, i pan profesor Lelewel.

— Dlaczego więc Chłopicki go aresztował?

— I ja myślę, że uczynił niepotrzebnie. Lecz to skończy się na niczem. Może pan Lelewel zjadł już obiad i przechadza się po Warszawie.

— Tak myślisz?

— No może jeszcze pod osłoną bagnetów się prześpi, lecz, że dłużej niż do jutra, siedzieć nie będzie, jestem pewny.

— Z czego wnosisz?

— Z tego, że Krysiński kazał mu przynieść kapłona.

— Dobrze powiedziane — roześmiała się i zajrzawszy mu w oczy, rzekła,

— Przypomniałeś mi się zupełnie taki, jaki byłeś dawniej.

Odtąd odwiedzała go częściej, widywał ją prawie codzień i myślał, że wraca jego szczęście małżeńskie.

V.

Znamierowski badał papiery, zabrane z kancelarji W. Księcia. Były to pliki posznurowanych i ponumerowanych foljałów, zawierających doniesienia policji, przepisane kaligraficznie, biurowo, oraz brudne, ordynarne, ołówkiem czynione meldunki o podsłuchanych rozmowach i zauważonych spotkaniach. Świstki te dołączano do opracowanych już sprawozdań zmięte, z odciskami plugawych palców, miej-

scami trudne do odczytania, miejscami wyraźniejsze, tak jak wyszły z kieszeni szpiegów.

Odkładając jeden obwolut po drugim, Znamierowski spostrzegł teczkę z napisem: **Sprawa Krzyżanowskiego.** Otworzył ją z ciekawością.

Podpułkownik Seweryn Krzyżanowski śledzony był starannie oddawna. Za jego plecami znajdował się zawsze ajent, zapisujący skrzętnie każdy jego krok, każde spotkanie, biorący pod obserwację każdy dom, w którym przebywał. Nagle Znamierowski na świstku papieru, opatrzonym numerem porządkowym, przeczytał:

„Krzyżanowski ma romans z żoną majora Zdzisława Znamierowskiego. Spotykają się nietylko na mieście u znajomych, lecz Znamierowska bywa także u niego w mieszkaniu. Przyszła tam dzisiaj wieczorem o szóstej, wyszła o ósmej".

Blady, nachylił się nad drugim numerem porządkowym.

„Krzyżanowski i Znamierowska odbyli wczoraj wycieczkę konną do miejscowości za Warszawą. Zatrzymali się w oberży, gdzie podali się za małżeństwo".

Trzeci numer porządkowy:

„Korzystając z nieobecności męża w Warszawie, Znamierowska cały wieczór spędziła w mieszkaniu Krzyżanowskiego, powróciła do domu późną nocą".

— Kalumnja! — syknął.

Gorączka uderzyła mu do skroni, czerwone płaty przesłaniały oczy.

— „Kalumnja"! — powtarzał, aby zagłuszyć głos drugi, wołający naprzekór pragnieniom: „prawda"!

Papiery znalezione przy rewizji u Krzyżanowskiego. W tym zbiorze pierwszy fascykuł.

Listy Róży Znamierowskiej.

Znamierowski odsunął się od stołu. Nie przeczyta tych listów, skradnie te dokumenty zniszczy te nikczemne donosy. Uczyniłby tak, gdyby im nie wierzył, toteż postanowienie to rodziło się w nim tylko przez autosuggestję, że nie wierzy.

Listy Róży Znamierowskiej... bił go w twarz napis.

— Panie majorze, do dyktatora! Natychmiast! — zawołał od progu oficer łącznikowy.

Znamierowski rzucił **dossier** do biurka, zatrzasnął szufladę.

— Udaj się zaraz do księcia Czartoryskiego i przywieź go z sobą — rzekł Chłopicki i, zwróciwszy się do Krysińskiego

— Sprowadź mi tu członków deputacji sejmowej — Ledóchowskiego i Dembowskiego.

Wybiegli.

A Chłopicki, założywszy w tył ręce, chodził wszerz i wzdłuż po gabinecie, zbliżał się do biurka, odczytywał leżący na nim papier i chodził znowu.

Pierwszy przybył Czartoryski.

— Czytaj, książę! Odpowiedź od cesarza!

Książę Adam usiadł w fotelu i zaczął czytać pismo wolno, w skupieniu. W rysach jego nie było znać wzruszenia, nabrały one chłodnego wyrazu uczonego, obserwującego i analizującego zjawisko.

Chłopicki przyglądał mu się niespokojnie.

Weszli Ledóchowski i Dembowski.

— List od cesarza — powiadomił Chłopicki.

— Lubecki wrócił?

— Nie, został w Petersburgu, odpowiedź przywiózł umyślny wysłaniec Wyleżyński.

— I cóż?!

— Niech wam książę powie.

Czartoryski odłożył pismo i rzekł

— Król — dawał ostatni raz ten tytuł Mikołajowi — dziękuje dyktatorowi za okazaną wierność i utrzymanie porządku, a następnie oświadcza, że warunków przyjmować nie będzie i obietnic czynić nie może, tylko żąda, aby mu zdać się na łaskę i niełaskę.

— Tak — potwierdził Chłopicki.

— Co dyktator teraz zamierza? — spytał Czartoryski.

— A książę?

— Pragnąłbym nasamprzód poznać zdanie dyktatora.

— Mojem zdaniem, należy dalej prowadzić układy.

— Droga do układów zamknięta.

— Spróbujmy ich za pośrednictwem dworu pruskiego.

Czartoryski wstrząsnął przecząco głową.

— Konsul Schmidt tę drogę wskazuje? — zapytał.

— Tak — odrzekł Chłopicki.

— Przez kogo? Przez Krysińskiego?

Rumieniec gniewu pokrył policzki Chłopickiego.

— A czego książę chcesz?! Wojny?!

— Wojna jest nieunikniona — odparł Czartoryski.

— To ją wasan prowadź! — krzyknął Chłopicki — ja prowadzić jej nie będę!

Ledóchowski i Dembowski osłupieli. Czartoryski ani drgnął.

— Wojna jest nieunikniona — powtórzył.

— Układów tych nie należało prowadzić wcale — podniósł głos Ledochowski — należało odrazu gotować się do wojny.

— Nie — zaprzeczył Czartoryski — układy należało prowadzić i należało prowadzić je głośno,

a do wojny trzeba było gotować się cicho. Układy potrzebne były dla Europy, dla przekonania jej, że chcieliśmy uniknąć przelewu krwi. Nie sprzeciwiałem ja się tym układom, chociaż wiedziałem, jaki skutek wezmą. Nasze dyplomatyczne racje wymagały, aby Mikołaj wydał nam wojnę, a nie my jemu. Mikołaj to uczynił.

— Mikołaj wydał wojnę?! — spytał Chłopicki.

— A cóż innego? — na pytanie pytaniem odpowiedział Czartoryski i mówił dalej: — Przypuśćmy, że ja, my wszyscy podzielamy zdanie pana dyktatora o nierówności sił i niepewności zwycięstwa. Rzeczy jednak zaszły tak daleko, że już ich cofnąć nie można. Mikołaj wie to doskonale, chce nas zgnieść i na prowincję Rosji obrócić. Inaczej furtkęby jakąś zostawił, a nie zostawił żadnej.

— Książę to widzisz i o wojnie mówisz? — zapytał Chłopicki.

— Widzę i o wojnie mówię, — odparł Czartoryski. — Usuwając się od niej, umywając ręce, ratujemy siebie, ale nie naród, tylko siebie — rozumie pan dyktator? Rzeczy zadaleko zaszły. Nas już niktby nie słuchał i ja nikomu nie radziłbym zdawać się na łaskę i niełaskę. Wojna jest nieunikniona. Mikołaj to wie, wie, że jeżeli my jej nie podejmiemy, to podejmą ją inni, klubiści, ludzie niedoświadczeni, nieopatrzni. Jeśli dyktator na czele wojska nie stanie, to stanie jakiś młody oficer. Wówczas łatwo będzie dyplomacji rosyjskiej przedstawić zagranicy, że to nie Polska tylko frakcja z Rosją walczy. Tego pozoru dawać nie należy. Stało się. Ja tego wybuchu nie pragnąłem, wraz z Lubeckim przekładałem w. księciu, aby stłumił go zaraz. Ale się stało. Wojna będzie i interesem naszym nie jest jej unikać. Z tego, co zaszło, Mikołaj już dziś skorzysta, aby te resztki, które z konstytucji zostałv, odjąć. Dziś ro-

zum polityczny jedną tylko rzecz wskazuje: skoro wojna jest, stanąć do niej wszystkim i tym sposobem szanse zwycięstwa wojskowego, czy politycznego stworzyć.

— Szans niema żadnych — odparł Chłopicki, — mam wojska trzydzieści siedem tysięcy i na dwanaście dni żywności.

— Jakto? — rzekł Dembowski — w Polsce zabrakłoby żywności? Z mojej małej wioski wysłało się do Modlina pięćset funtów sucharów.

—Słyszałem ja już o tych sucharach Dembowskiego. Jeśli Dembowski sądzi, że nie zabraknie żywności, to niech sam będzie dyktatorem! Ja nim być nie chcę! Ja mam dowodzić trzydziestu siedmiu tysiącami przeciw stu pięćdziesięciu?! Muszę przegrać, a gdy przegram, ogłoszą mnie zdrajcą! Kościuszkę nazwanoby zdrajcą, gdyby do niewoli nie dostał się pod Maciejowicami.

— Nazwisko dyktatora jest tak potężne, że na jego wezwanie kto żyw stanie pod bronią. Szeregi uzupełnią się kosynierami — rzekł Ledóchowski.

— To komenderuj sobie swoimi kosynierami, ja dowodzić nimi nie będę!

— Dyktator nie bierze zupełnie pod uwagę poważnych argumentów księcia, — zapalał się Ledóchowski.

Chłopicki zaperzył się, żyły na karku mu nabrzmiały, twarz stała się karmazynowa.

— Jeśli młodzików sumienia uwalniają od przysięgi, — krzyknął, wygrażając pięścią, — ja monarsze wierny pozostanę! Władzę powierzoną miałem dla niedopuszczenia do anarchji, i tę natychmiast składam!

— Wiadomość tę przyjmujemy z żalem, — rzekł Czartoryski, — lecz mamy nadzieję, że dyktator

część władzy zachowa, że nie porzuci dowództwa nad wojskiem.

— Szelmą będę, jeśli dowództwo przyjmę. Szelmą będę!

W najwyższem uniesieniu grzmotnął pięścią w stół. Ledóchowski zakipiał.

— Kiedy dyktator dowodzić nie chcesz, to bić się będziesz musiał jako prosty żołnierz, bo Polakiem jesteś!

— Będę się bił jako prosty żołnierz! — krzyknął w furji Chłopicki, — będę się bił! Ale ty się będziesz bił razem ze mną! Czekaj Ledóchowski, ja ci tego nigdy nie zapomnę!

I kopnął w drzwi z taką siłą, że jedna połcwa z trzaskiem wyleciała.

Deputacja wstała.

— Czekaj Ledóchowski! Nigdy ci tego nie zapomnę!

Gdy wyszli, padł na sofę, dostał ataku apoplektycznego. Sprowadzono doktora Wolfa. Ten krew puścił, kazał się choremu położyć do łóżka, poczem wziął pod ramię Znamierowskiego i rzekł

— Niech pan powie księciu, że ja, lekarz i przyjaciel jenerała przestrzegam, aby mu czynności ważnych nie powierzać, cierpi on bowiem na coś w rodzaju pomieszania zmysłów.

Chłopicki na pomieszanie zmysłów nie cierpiał, lecz nie umiał z rozgrywających się wypadków wprowadzić w siebie siły je ożywiającej, zajmował stanowisko przedmiotowe, zewnętrzne. Myśl jego obracała się około dwóch pozycji — liczby armji polskiej i liczby armji rosyjskiej. Refleksje, nawet tak pozytywne jak księcia Adama, nie były dlań dostępne. Te dwie liczby, sto pięćdziesiąt tysięcy i trzydzieści siedem tysięcy, zamknęły jego umysł przed wszelkiemi politycznemi planami. Każdego, kto myślał

inaczej, miał za warjata i polemizować nawet z nim nie chciał, jako z człowiekiem niepoczytalnym.

Zrozumiał to Znamierowski, siedząc przy jego łóżku. Chłopicki klnąc, szarpiąc kołdrę, szaleńcami, błaznami, durniami mienił wszystkich, mających inne zdanie od niego.

Znamierowski wiedział, że dyktatura skończona i bał się, że nazajutrz nie będzie już mógł wyjąć z biurka papierów Krzyżanowskiego. To też, gdy Chłopicki go puścił, pośpieszył do kancelarji. Była już późna noc.

Zapalił światło i wyjął papiery. Tak, były to listy Róży, jej pismo, jej podpis, podpisywała się „Róża".

Donosy nie były fałszywe.

Więc ta kobieta? Co za nikczemność! Chwycił się za rozpaloną głowę. Więc, gdy mu podawała nabity pistolet, to nie dlatego, że zdradził, że wydał, ale aby go z drogi sobie usunąć, aby połączyć się z Krzyżanowskim. Listy świadczyły o miłości gorącej, namiętnej .

Pojął.

Do rewolucji przystała, bo w niej widziała ratunek dla Krzyżanowskiego. Do niego przychodziła, bo chciała wydobyć dla użytku klubu tajemnice państwowe. Tak! tak!

Była przy nim szpiegiem i wrogiem, kiedy on myślał!... Pierwsze jej uczucie gniewu i zawodu, gdy go spotkała u Wąsowiczowej, było prawdziwe. Później opamiętała się, wykalkulowała, że może stać się dla jej celów pożyteczny. Jaki fałsz! jaka obłuda! Przypominał sobie każdy ruch jej, każde jej spojrzenie i zdawało mu się, że leci w przepaść bez dna.

Los nie oszczędził mu prawdy, oszczędził mu jednak, że listy te nie dostały się w ręce Krysińskiego, Hübnera lub kogo innego.

Zabrał całą tekę.

W mundurze rzucił się na łóżko, nie zasnął, leżał w osłupieniu do rana. Na nowo przeżuwał wszystkie wspomnienia, z żelazną logiką zestawiał fakty i wrażenia, świadczące o nikczemności Róży. „Chciała, żebym skończył życie jako zdrajca, aby połączyć się z amantem". Było mu tak źle, że czuł ciężar własnego ciała.

— A ty nic nie wiesz, że sejm ogłosił detronizację Mikołaja! — zawołała, wbiegając do pokoju Róża. — Na wniosek Ledóchowskiego! Pierwszy położył podpis Czartoryski. Detronizacja! Wojna!

Nie wiedział, lecz było mu to wszystko jedno.

— Co ci jest? — spytała z niepokojem, kładąc mu rękę na głowie.

— Nic.

— Jakto nic? Coś ci jest jednak!

Podał jej tekę.

— Zobacz, — rzekł.

— Cóż to jest?

— Twoje listy do Krzyżanowskiego, znalazłem je w tajnych papierach w. księcia, które mi kazał zbadać dyktator.

Głos złamał się jej w gardle.

— Czytałeś? — spytała wreszcie.

— Czytałem. Czytałem także zapiski o was tajnych agentów. Byliście śledzeni dobrze.

I nagle burza się w nim zerwała.

— Chciałaś, abym się zabił! Kiedy podawałaś mi pistolet, jako zdrajcy dla ratowania honoru, chciałaś, żebym usunął się wam z drogi, żebym sobie w łeb strzelił z uczuciem spełnionej podłości, byle wyście mogli!...

Powiedział wyraz brutalny, obelżywy.

Teraz w jej oczach błysło przerażenie, krzyk protestu.

— Nieprawda!

— Prawda! O, ty mi już nic nie mów! Na wszystkie pytania odpowiedziałem sobie, na wszystkie! Od wczoraj! Nie myśl, że oburzam się na jakąś twoją zdradę. Niczem ona wobec tego, co później! Chciałaś wmówić we mnie podłość, żebym z podłością w duszy zginął. A potem tu w Warszawie udawałaś przyjaźń, czułość, żeby mnie szpiegować, żeby przezemnie informować swych przyjaciół! Szpiegowałaś mnie! Powiedz, że nieprawda!

— Prawda — odpowiedziała, istotnie chciałam przez ciebie wiedzieć, co dzieje się w dyktaturze.

— I dlatego udawałaś!... Masz te listy, daruję ci te papiery.

Odsunęła je.

— Myśl o mnie co chcesz, ale pragnę, abyś wiedział jedno. Konstanty zagroził Krzyżanowskiemu ogłoszeniem tych listów, jeśli nie podpisze zeznań, które zaprowadziły go, wiesz dokąd, a mogły zaprowadzić na szubienicę. Dlatego poznałeś je dopiero teraz, bo mogłeś je był poznać wcześniej, z druku.

Nie słuchając, chwycił tekę i z pasją cisnął ją do pieca. Gdy się odwrócił, Róży nie było już w pokoju.

Na ulicy ruch panował niebywały, wydzierano sobie gazety, wszędzie słychać było „detronizacja!"

Przez Krakowskie Przedmieście ciągnął tłum, na jego czele szli Lelewel, Mochnacki, klubiści...

— Wojna! — pomyślał Znamierowski z ulgą, — wojna!

VI.

Na Pradze, w głównej kwaterze naczelnego wodza ks. Michała Radziwiłła, tłoczyła się ciżba oficerów i adjutantów. Wśród nich adjutanci Chłopickie-

go — Hauke, syn zabitego w listopadowej nocy jenerała, młodziutki Wodzyński i Zdzisław Znamierowski. Rozmawiali szeptem, bo za zamkniętemi drzwiami toczyła się w tej chwili narada między Radziwiłłem, Chłopickim i pułkownikiem Prądzyńskim.

Szarzał świt.

Chłopicki, schylony nad mapą, tłumaczył:

— Żymirski wysunął się zadaleko. Będzie musiał cofnąć się i zająć pozycję tutaj. Pogoń rosyjska rozpocznie bitwę.

Spojrzał na zegarek.

— Ta linja, — mówił, wodząc palcem po mapie, — to nasza naturalna linja obronna. Pólkole bagien, stąd od Saskiej Kępy przez pola Zasławskie, Gocław, olszynę grochowską i dalej przez Kawęczyn, Ząbki, Drewnicę, Brzeziny aż do Białołęki i lasów tarchomińskich — to nasza linja obronna! W tem miejscu przecinają się wszystkie drogi od wschodu i północy ku Warszawie. Patrzcie! Łączą się one tu około olszynowego lasu przy tej karczmie w Grochowie. Ten las to klucz pozycji. Stoimy jak w fortecy między temi bagnami nadwiślańskiemi a temi trzęsawiskami od Kawęczyna do Brzezin. Dybicz nie będzie mógł się rozwinąć. Naprzód bijemy w Rosena, ciągnie od Kawęczyna, potem w główne kolumny Dybicza i Pahlena.

— Traktem augustowskim maszeruje Szachowski, — rzekł Prądzyński.

— Tak, — potwierdził Chłopicki — wstrzymamy go pod Białołęką. Co książę na to?

Pytanie postawione było jedynie dla formy, przez uprzejmość. Radziwiłł przyjął nominalne dowództwo, bo jemu tylko ofiarował się służyć radą Chłopicki. Jak całe wojsko nie jego, tak i on nie siebie, lecz Chłopickiego miał za naczelnego wodza. Pytania, które musiał potwierdzać, plany, z którymi nie mógł dyskutować, wprowadzały go w kłopot. Na pięk-

nej, szlachetnej jego twarzy malował się smutek i przygnębienie.

— Plan wydaje mi się doskonały, — rzekł jednak.

— Jedyny — odparł Chłopicki. — Książę zostaniesz więc tutaj kwaterą, będziesz komunikował się z rządem i otrzymywał raporty. Ja już jadę.

Spojrzał znowu na zegarek.

Narzucił płaszcz i naciągając rękawice wyszedł, za nim podążyli oficerowie. Z konia odwrócił głowę. Ukłonem wojskowym żegnał go Radziwiłł, wtedy spostrzegłszy zapomnienie, ściągnął cugle i długo salutował naczelnego wodza.

Ruszyli rysią. Po świeżej odwilży wziął mróz, powłoką lodu scisnął topiele i bajora, miejscami leżał twardniejący ponownie śnieg. Ogromna, nawet wiatrem nie przerywana cisza unosiła się polami, słychać było tylko uderzenia kopyt końskich o grudę. Przybyli do pierwszych postoi wojsk, szarzały one już teraz jak oko sięgło. Szron posrebrzył armaty, mundury i karabiny.

Chłopicki nie odpowiadał na okrzyki, wzrok jego bystry leciał w dal ku wzgórzom Miłosny, ku dywizji Szembeka.

Przybyli do karczmy grochowskiej, przeznaczonej na kwaterę. Nie wszedł do środka, lecz z konia przyjmował raporty od oczekujących oficerów. Wziął lunetę, gwar umilkł, szepty ścichły, dusza wodza popłynęła na bojowiska.

Z lasów na wzgórzach wyłoniły się wojska. Cała dywizja. Chłopicki skinął na Prądzyńskiego, dał rozkazy i w tejże chwili schyleni na końskich grzywach pomknęli adjutanci. To Żymirski się cofał.

Za nim wyjrzały nagle z lasu szeroką linją rosyjskie bataljony. Na oko można było obliczyć, że jest ich przynajmniej trzy dywizje.

— Cała awangarda armji rzekł Chłopicki do Prądzyńskiego. — Tak to Sacken potwierdził Prądzyński.

Piechota wysypała się na szosę, na lewo od niej pięćdziesiąt szwadronów jazdy szykowało się naprzeciw prawego polskiego skrzydła. Straszliwa, ogłuszająca kanonada, w huczące piekło przemieniła ciche przed godziną pola.

— Zetrą Żymirskiego, jeśli Szembek nie pośpie szy — rzekł Chłopicki.

Ale Szembek już szedł.

Zwinąwszy swe kolumny strzeleckie do ataku posuwał się szybko naprzód. Widać w dali, jak Żymirski staje, jak łączy się z nim Szembek, jak ich baterje ustawione pośrodku palą żywym ogniem w przednią straż rosyjskiej armji.

— Atakują! -- zawołał nagle Prądzyński

Drżący podniósł się na strzemionach, lunety nie odrywał od oczu.

Polacy przeszli do walki na bagnety. Wpadają na szosę, uderzają na piechotę rosyjską. Roznoszą pierwsze bataljony, wrzynają się w drugie.

— Wzięli baterję!

Szosa jest wolna ,na całej linji pierzcha rosyjska konnica i piechota. Gnają za nią .Ale teraz wielkie nowe masy wroga rozwijają się w szyk bojowy, dostrzedz można jak formują się na prawem skrzydle przed Żymirskim i za Szembekiem.

— Powinni się cofnąć.

— Cofną się, — odpowiedział spokojnie Chłopicki.

Istotnie cofają się w porządku, strzelając. Co innego zajmuje Chłopickiego. Cały ten korpus ciśnie się teraz na Łubieńskiego. Ma on za sobą bagna gocławskie i jedyną wąską drogę odwrotu do Wawra. Jeśli nie zyska miejsca, wrzucony będzie na trzęsawiska.

Pięćdziesiąt szwadronów jazdy rusza do szarży na jego dwanaście szwadronów. Z boku idzie piechota.

— Gdzie Milberg?

— Tam! — wskazał ręką Prądzyński.

Na następującą piechotę zrywają się ułani.

— Jenerale... — chce coś rzec Prądzyński.

— Czekać! wiem! — odparł Chłopicki opryskliwie.

Przygląda się zapamiętałej szarży ułańskiej, straszliwej furji dobytych pałaszy. Zdaje się, że nic ostać im się nie zdoła. Ale są jak kroplą w morzu, bici w boki, tracą naczelny szwadron, słabną, cofają się. Piechota i jazda rosyjska idzie naprzód.

Wtedy Chłopicki uderzył konia i pomknął jak wicher do grenadjerów Milberga. Za nim cały sztab.

Wskazał szpadą na następującego wroga.

— Naprzód! Na waszych bagnetach spoczęły losy narodu!

— Naprzód!

Prowadzi sam.

Ogromny entuzjazm wstąpił w szeregi.

— Niech żyje Chłopicki!

Ruszyli ławą w milczeniu. Mijają cofające się szwadrony ułanów, zasłaniają je żelaznym murem bagnetów, formują się w czworobok.

Wprost na nich pędzi teraz jazda.

Puszczają ją na pół strzału.

— Ognia!

Gdyby sto piorunów spadło nagle z nieba nie sprawiłyby w pułkach Sackena i Łopuchina takiego spustoszenia jak te celne, z blizka, z zimną krwią dawane strzały. Z poza rozproszonego dymu widać było wyrwy czynione w rosyjskich szwadronach. Krzyk, rżenie koni mieszały się z nieustannym hukiem karabinowego ognia. Rzucili się do ucieczki, tratując swoją własną za sobą stojącą piechotę.

— Na bagnety!!

Teraz można dokończyć, piechotę tę trzeba znieść.

— Na bagnety!!

Pierwszy raz Znamierowski spotkał się oko w oko z wrogiem. Wszystkie udręki własne przeobraziły się w nim w jedną pasję. Stukrotna siła wstąpiła w ciało, unosząc się na strzemionach, siekł z ramienia, w kupę. Straszliwy krzyk ludzki, jaki się słyszy tylko przy pchnięciach bagnetem, wydał mu się czemś materjalnem, czemś zagradzającem drogę. Rąbał jegrów i ich wrzask. Dostrzegł, że Wodzyński słania się na koniu, że mu pałasz wypada z ręki. Wtedy pierwszego jegra ciął tak, że mózg prysnął. Koń go poniósł oszalały. Usłyszał warczenie bębnów. To Chłopicki ściągał zwycięski pułk ku wawerskim wzgórzom.

Nieprzyjaciel się cofnął.

Strzały z obydwóch stron padały nieregularne, rzadkie, nie czyniąc wielkiej szkody. Była godzina czwarta, przeciągały ambulanse, zbierając rannych, roznoszono żywność z wozów przybyłych z Warszawy.

Znamierowski położył się przy biwaku. Był śmiertelnie znużony. Zmęczenie zabiło w nim wszelką możność myślenia i czucia, powieki ciążyły, ale sen nie zlatywał. Oczy miał pełne bitwy i uszy pełne huku. W stronę Olszyny wzmagał się ogień i z niej raz poraz padały strzały. Na ciemnem niebie wyiskrzyły się gwiazdy.

Trzeba już iść do Chłopickiego. Podniósł się ociężale. Tysiące ognisk świeciło w obozie rosyjskim, można z nich było odgadnąć stanowiska armji wydatnie oznaczone. Sama ich ilość wskazywała na wielkie, przeważające siły wroga. Niechby to polało się na Warszawę! Nowa rzeź Pragi!

Licząc pęki świateł, szedł machinalnie w ich stronę. Coraz częściej natykał się na trupy zastygłe, wykrzywione rzeźbą mrozu. Broń w kozłach! Gdzież się zapuścił?! Aż przed linję rosyjskich tyraljerów. Zawrócił się pośpiesznie.

— Stój! Kto idiot?!

Wyjął krucicę, wściekły na siebie.

Wtem za ramiona chwyciły go dziesiątki rąk. Nie mógł wystrzelić, ani dobyć szabli, wykręcono mu w tył ręce, odebrano broń. Wzięto go w środek i kazano iść naprzód. Przy ogniskach grzali się żołnierze, wielu pozawijanych w szynele spało.

Prowadzący go feldfebel zaczął rozmowę.

— Ciężka była bitwa, — rzekł, i spytał: Wami dowodzi Chłopicki?

— Tak

— Dzielny wódz, ale nie podoła Dybiczowi.

— Ejże!

— Nie podoła! Patrzcie! — wskazał na morze ognisk.

— Chłopicki napoleoński jenerał, — odparł Znamierowski.

— I Napoleon nie wziął Moskwy.

— My nie bierzemy Moskwy, jeno wy chcecie wziąć Warszawę.

— Bo przynależy do naszego cara.

— Jakimże prawem?

— Przecie on wasz król.

— Już nie, sejm go złożył.

— Nikt nie ma prawa składać swego króla.

— U nas sejm stanowi prawa.

— Buntowniczy wyście naród, — u was same pany, i u nas są pany, a car dla nich car.

— Bo ich.

— Bo naród inny, w Boga wierzy.

— My także wierzymy w Boga.

— Kto cara nie miłuje, w Boga nie wierzy, — zamknął z głębokiem przekonaniem dyskusję feldfebel.

Kto w tym namiocie stoi? — zapytał Znamierowski, wskazując na szałas z pali i gałęzi, przed którym paliła się wielka watra.

— Brat cesarza, wielki książę Konstanty Pawłowicz.

— Konstanty Pawłowicz?!

— On sam, wasz książę. Ot, przed ogniem stoi.

W istocie przed ogniem stał, grzejąc się, wielki książę Konstanty. Znamierowski go poznał. Musieli przejść obok.

Konstanty obejrzał się.

— Co to?! — krzyknął.

— Jeńca wiedziemy, wasza wysokość, polski oficer.

— Jakżeście go wzięli?

— Na przeszpiegi się zapuścił, przed samą naszą straż.

— Jak się zwie?

— Jak się zwiecie? — powtórzył pytanie feldfebel.

— Znamierowski wymienił swoje nazwisko.

— Jak?!... — zapytał po raz drugi Konstanty i zbliżył się. Choć nie widział Znamierowskiego kilka lat, poznał go odrazu.

— Wprowadźcie go do namiotu i zaczekajcie — rzekł. — Broni nie ma?

Aczkolwiek broń mu odjęli, obszukali go jeszcze dla pewności.

Znamierowski i Konstanty zostali sami, patrząc na siebie długo, bez słowa.

Milczenie przerwał Konstanty.

— I czego wy chcecie? — spytał.

— Czyż to jest tajne, w. ks. mości?
— Żebyśmy poszli sobie precz?! Prawda?!
— Nieinaczej.
— Jakże to chcecie osiągnąć?
Znamierowski w odpowiedzi wyciągnął rękę w kierunku polskiego obozu.

— Ja wiem, wy jesteście narodem szalonym, ja was znam! Czy wy zdajecie sobie sprawę, co ściągacie sobie na głowę? Nie wiecie kim jest cesarz Mikołaj! To nie Aleksander I! Panie Znamierowski, jestem kontent, że pana widzę. Pan w ostatnich czasach nie był w Warszawie, nie chciał pan służyć pod memi rozkazami i skrył się pan za granicę. Nie posądzałem pana o to, ale pan pamięta, że zawsze na pana byłem łaskaw, pamięta pan, jak obszedłem się z panem, gdy dowiedziałem się, że pan należy do Towarzystwa Patrjotycznego?

— Pamiętam, w. ks. mość!

— Widzi pan, niejednokrotnie dawałem dowód takiej przyjaźni polakom...

W Znamierowskiego wstąpił gniew.

— W. ks. mość — rzekł — niejednokrotnie polacy mieli sposobność przekonać się, co ona była warta. Ja osobiście miałem sposobność przekonać się także.

I poczuł, że zawiele powiedział. Nie będzie przecież tu mówił o romansach swojej żony.

W. książe spojrzał na niego zdziwiony.

— A pan, jak? Kalumnję jakąś na mnie przed panem rzucono. Dlatego pan może opuścił Warszawę? Daję panu słowo honoru, nic przeciw panu nie przedsiębrałem. Widzisz pan, kalumnji takich było pełno, oszczerstw, gadań. A prawdy nie znał nikt! Wiesz pan, jaka była prawda?
— Nie, mości książę.

Konstanty nachylił się prawie do ucha Znamierowskiego.

— Prawda była ta, — ja to mówię jak dawny pański wódz, mówię to do polskiego oficera, — prawda była ta, że cesarz... Pan nie zna cesarza! Prawda była ta, że cesarz... Cesarz czekał tylko na to, co wyście zrobili. Spełniliście tylko jego marzenia — tak! Jednego nie dopełniliście tylko — jednego! Wiesz czego?!... Że nie zabiliście mnie!

Był blady, w brudnem świetle, chwiejącego się od wiatru dmącego w szałas kaganka, czerwone i sine plamy wystąpiły mu na policzki.

— Nie zrobiliście wszystkiego! Nie zabiliście mnie! Nie udało się wam! Wtedy do sprawiedliwego gniewu obrażonego monarchy dołączyłby jeszcze braterski ból. Tak, panie Znamierowski, braterski ból. Jemu jeszcze braterskiego bólu potrzeba! Ja jestem tu na to, abym padł z waszej ręki, aby on miał braterski ból! Ale ja w bitwie udziału nie biorę, stoję i patrzę. Powiedz pan swoim, że ja udziału w bitwie nie biorę.

— Ach, on chce mnie puścić — odetchnął Znamierowski.

— Ja znałem tę prawdę. Pan myślisz, że ja nie znam mego brata?

— Któż go może znać lepiej, niż w. ks. mość!

— Widzisz! Ja go znałem, ja wiedziałem na co on czeka! Onby wam z Rosji nasłał Łukasińskich i Krzyżanowskich, gdyby mógł i gdybyście swoich nie mieli! To ja też ich dlatego w kajdany, do lochu! Łukasińskiego na łańcuchu za sobą do Rosji prowadzić kazałem, bo to on zrobił!

— Jakiekolwiek były intencje w. ks. mości — rzekł Znamierowski — to właśnie tego naród polski waszej książęcej mości nie daruje i nie przebaczy.

— Bo szalony jest!

— W. ks. mość, nie czas już na wymówki i zobopólne żale. Rachujmy się na polach grochowskich.

— Bijecie się jak lwy! Dybicz myślał, że was jednem uderzeniem zdruzgoce. Mówiłem, że nie. Przekonał się!

— W. ks. mość znał nas lepiej, niż Dybicz.

— Kontent jestem, panie Znamierowski, że pana widzę, widzimy się ostatni raz.

— Wróży mi śmierć w. ks. mość?

— Nie wróżę panu śmierci.

— W. ks. mość udziału przecie w bitwie nie bierze.

— Udziału w bitwie nie biorę, ale widzimy się ostatni raz... Widzimy się ostatni raz. Czuję, że Warszawy już nie zobaczę. Pamiętaj, pan, panie Znamierowski, będziesz jeszcze żałował, będziecie jeszcze żałowali mnie. Idź pan. Wolno pana puszczam. Idź pan i powiedz pan tam, że ja udziału w bitwie nie biorę!

— Dziękuję w. ks. mości.

Konstanty oczy miał błędne, okręcając się w płaszcz drżał.

— Idź pan. Jutro będzie bitwa? Czekacie na jutro bitwy?

— Tak, w. ks. mość.

— Ja jestem tu, abym poległ, aby cesarz był sam. Tak, panie Znamierowski!...

Tą samą drogą, z tymi samymi sołdatami i feldfeblem wracał Znamierowski do polskiego obozu. Oddano mu broń.

Idąc już sam, jeszcze niezbyt oddalony od rosyjskiego frontu, dojrzał w ciemnościach dwie postacie na koniach. „Ktoś z naszych oficerów" pomyślał. Jeden, bardzo wysoki, siedział na siodle nieporuszenie, drugi niższy żywo coś przekładał, jak

widać było z ruchu ręki, wskazującej na nieprzyjacielski obóz. Zbliżywszy się Znamierowski rozpoznał Chłopickiego i Prądzyńskiego. Obaj spostrzegłszy posuwającą się w mroku sylwetę, wyjęli pistolety z olster.

— To ja! Znamierowski!

— Ach to ty! — rzekł Chłopicki — zadaleko się zapuszczasz.

Znamierowski nie wyznał swej przygody, stanął koło Chłopickiego i słuchał jak Prądzyński, opierając się na opowiadaniach jeńców, obliczał i wskazywał rozkład nieprzyjacielskich wojsk.

*

* *

Dopiero o ósmej zaczęła się bitwa.

Rosjanie, nauczeni doświadczeniem dnia poprzedniego, nie szli odrazu do ataku. Przez cztery godziny, sto dział, ustawionych na stoku wzgórz, ogromnym półkręgiem grzmiało w Olszynę. Sądząc, że już polacy osłabieni są dostatecznie, dziesięć tysięcy piechoty zbiegło w ściśniętych kolumnach z pagórków na równinę. Mimo istnej kartaczowej zamieci polskich baterji, ścieląc drogę trupem, szli uparcie naprzód, aż do brzegu lasu. Ale w boju bohaterskim wygnali ich stamtąd obrońcy Olszynki. Wygnali, rozbili, złamali. Piechota uciekła w nieładzie, ścigana przez ogień armatni, uciekała jazda, szarżująca na baterje.

Radosny dźwięk trąb wieścił zwycięstwo. Żołnierza, rwącego się do pościgu, wstrzymali oficerowie. Miejscowość i szczupłość sił nie pozwalała wyjść z zakrytych stanowisk na odsłonioną płaszczyznę, ostrzeliwaną przez sto dział. Grzmiały, osłaniając odwrót, chowający się w lasy.

Wtem przed frontem rosyjskim powiała biała chorągiew, żądano trzygodzinnego zawieszenia broni dla pogrzebania poległych.

Minęły trzy godziny, pola zaległa cisza, ani jednym nie przerwana strzałem, noc upłynęła w spokoju. Zaczął go się lękać żołnierz.

Dlaczego stoimy? Czemu nie uderzamy? Możnaby skończyć zupełnem zwycięstwem. Może zaczęły się układy. Nic z nich dobrego nie będzie.

To, co niepokoiło żołnierzy, zajmowało także oficerów. W umyśle Prądzyńskiego zaczął tworzyć się plan, zdawało mu się — prosty i jedyny.

Stał wpatrzony w obóz rosyjski. Ktoś uderzył go po ramieniu.

Pułkownik Rybiński, wskazując na bagna zastowskie, rzekł

— Wepchnąć ich tam.

Prądzyński rozjaśnił się.

— O tem samem myślisz — rzekł. — Położenie jest takie, jak pod Hochkirchen.

Wyłożył swój plan, wskazywał jak na dłoni, że można znieść całą armję Dybicza.

Rybiński słuchał olśniony.

— Czułem ja to — rzekł — ale nie umiałem tak objaśnić jak ty.

Prądzyński uśmiechnął się. Wierzył w swój genjusz strategiczny.

— Chodźmy z tem do Chłopickiego.

— Pośle nas do djabła — odparł Rybiński.

— Idź sam do Radziwiłła — poradził Prądzyński.

— Nie zrozumie i każe przedstawić rzecz Chłopickiemu.

Spojrzeli na siebie niepewni.

Prądzyński chciał, aby szli razem do Chłopickiego. Rybiński się wahał, bo nie był oficerem sztabowym, wreszcie uległ namowom.

U Chłopickiego zastali Radziwiłła, w izbie byli także Znamierowski i Hauke.

Prądzyński był tak zajęty swą myślą, że bez wstępu rozłożył mapę i zaczął wykładać swój plan, tłumacząc jak to on i Rybiński, zastanowiwszy się nad rozkładem wojsk rosyjskich, zrozumieli, że nadarzyła się okazja znieść je odrazu.

Ta niezręczność popsuła wszystko.

Chłopicki zmarszczył gniewnie brwi i krzyknął na Rybińskiego.

— A wasan czego tu chcesz?! Przyszedłeś wasan dawać rady naczelnemu wodzowi?! Naczelny wódz od wasana rad nie potrzebuje! Wynoś mi się stąd wasan i wracaj do pułku!

— Możeby wysłuchać pułkownika Prądzyńskiego — rzekł po wyjściu Rybińskiego Radziwiłł.

— Nie potrzeba! Dla mnie zawieszenie broni jest korzystne, konieczne nawet!

Prądzyński miał zdanie przeciwne, ale odezwać się już nie śmiał, milczał.

Spokój się przedłużał, wzmocniono obronne stanowisko pod Olszynką, fortyfikowano Pragę.

Żołnierz instynktem czuł, że nadchodzi dzień wielkiej rozprawy, że błahe były ubiegłe boje wobec tego, który płynąć zdał się powietrzem. Instynkt i przeczucie żołnierza świadomością stawało się w oficerach. Rozumieli, że nieprzyjaciel wytęży teraz wszystkie siły, aby złamać polski front i wejść tryumfalnie do Warszawy, że taki musi być plan rosyjskiego wodza, że walka, która teraz nastąpi, będzie ostateczna, na śmierć i życie, że po wieczne czasy przejdzie do historji, zapłodni podania i legendy.

Oczekiwanie było nieznośne, wyczerpujące nerwy i ducha.

Znamierowski tęsknił do tego boju. W huku dział, w zmaganiu się bitewnem opuszczała go męka wewnętrzna. Nie myślał. Zmęczenie fizyczne przy-

nosiło mu taki wypoczynek, jak sen. Wszystkie wspomnienia, przeżycia, dręczące pytania leciały w zaświat. Z ocknieniem wracały znowu, szarpiąc duszę na strzępy i szerząc w niej zamęt.

Wyobraził sobie, że leży na polu rażony kulą. Krew płynie, on nie czuje już nic. Śmierć przyszła w owej chwili, gdy go nie toczył robak wewnętrzny, gdy miał w sobie jasność zupełną. Z jasnością tą odszedł szczęśliwy.

Zamyślił się nad śmiercią. Była mu tak bliska jak nigdy. Dziś, jutro, za godzinę może go otoczyć płomiennem ramieniem, tchnąc na niego tym żarem, co rozstrzaskuje granaty i rozpala wnętrza dział. Co pożera jej ogień? Co zostawia? I czy cokolwiek zostawia?

Jeżeli zostawia, to chyba to, co nie opuszcza go w żadnej chwili, co jest zawsze z nim. Nie jest to nic z tego, nad czem boleje, ani z czego się raduje. Gdy szedł z Chłopickim w tłum wroga, gdy rąbał z ramienia na odlew, gdy niósł go koń, nie wiedział ani o Róży, ani o jej zdradzie, ani o Krzyżanowskim, nic o tem wszystkiem, co jak gniazdo wężów w nim syczy, gdy leży przy biwaku. To więc nie zostaje, to jest jakieś znikome, płochliwe, jak stado gołębi, strząsa to z siebie jednym odruchem płynąca z głębin nieznanych dziwna moc. Nie zostaje nic, co według każdego stanowi treść życia.

Stary dziwak Chłopicki, ciskający się o byle co w pasji w swoim gabinecie, tu ma postać i spokój archanioła. Inny jest jego gniew i jego dobroć. Z niego też coś zleciało. Z każdego coś zlatuje po tej i tamtej stronie. Dlatego idą w takim szale — wyswobodzeni.

To jest właśnie bój.

Co zostaje?

Znamierowski nie mógł uchwycić tego umysłem,

ale wiedział, że nie jego żal, ani nawet nie jego miłość do Róży.

I wtedy zastanowił się nad nią, nad sobą i Krzyżanowskim.

To był człowiek honoru, pomyślał o nim bezstronnie po raz pierwszy. Róża nie miałaby go za jednego z tych mężczyzn, którzy mogą żonę przegrać w karty. Krzyżanowski dobrej jej sławy nie przegrał. Ha, jeśli wojna skończy się pomyślnie i Krzyżanowski uwolniony będzie, niech należą do siebie. On, jeśli nie legnie, wróci do Francji i nikomu szczęścia nie zamąci. Nie chciałby tylko, aby Róża, jeśliby na tych polach na wieki pozostał, sądziła, że zginął z żalem do niej i gniewem. Chciałby jeszcze zobaczyć Różę.

Nastręczyła się ku temu niebawem okazja, Chłopicki posłał go z listami do Rządu Narodowego.

Wyjechawszy poza obóz, Znamierowski znalazł się na drodze, zapełnionej pojazdami i pieszymi. Kto żyw, ciągnął jaknajbliżej pola bitwy. Ludzie poznając adjutanta, oglądali się ciekawie.

Była odwilż, błoto obryzgiwało mu buty do kolan. Z radością spostrzegł, że lód puszcza na Wiśle. Warszawa, przez krótki czas, jak jej nie widział, wydała się zmieniona, w niektórych kościołach, choć dzień był powszedni, odprawiały się nabożeństwa.

Stanął przed Pałacem Namistnikowskim. Zsiadł z konia i tak jak stał, schlapany błotem, przy szabli, w płaszczu, w jednem miejscu od kuli dziurawym, szedł na pokoje rządu.

Na jego powitanie podniósł się woźny.

— Do kogo?

— Do rządu.

— Kogo mam zameldować? To trzeba do sekretarza.

— Ruszaj no waszeć! Adjutant jenerała Chłopickiego!

Na te słowa woźny zebrał nogi. Nie czekając aż go zaanonsuje, wszedł za nim, nie dał się zatrzymać sekretarzowi i sam otworzył drzwi. W pokoju, do którego wtargnął, siedzieli Cartoryski, Barzykowski i Lelewel.

Czartoryski na jego widok wstał natychmiast z fotelu.

— Dobrze, że do samego księcia odrazu trafiam — rzekł Znamierowski. — Oto listy od jenerała.

Czartoryski odczytał pismo.

— Oczekujecie walnej bitwy? —

— Lada chwila.

— Jaki duch w wojsku?

— Najlepszy.

— Sejm — rzekł Barzykowski — nie wiem, czy pan wiesz o tem, sejm przeznaczył dla obrońców ojczyzny dziesięć miljonów złp. w dobrach narodowych, w jednej połowie dla oficerów, w drugiej dla żołnierzy. Mamy właśnie udać się do obozu, aby was zawiadomić o tym akcie narodowej wdzięczności.

Wszyscy trzej patrzyli na Znamierowskiego, ciekawi wrażenia.

— Teraz niczego nie potrzebujemy, prócz chleba i wódki — rzekł.

— Jenerał mi to samo pisze — potwierdził Czartoryski — lecz żywności wam nie brak?

— Nie, ale to przecież czterdzieści tysięcy w boju!

— Straty duże?

— Do trzech tysięcy.

— A nieprzyjaciela?

— Liczymy do siedmiu tysięcy.

— Panie majorze — zagadnął Lelewel — jakie jest usposobienie jeńców?

Znamierowski nie zrozumiał pytania.

— Jeńcy rosyjscy powinni stać się awangardą rewolucji w Rosji — wyjaśnił Lelewel. — należy pracować nad ich uświadomieniem. Niech pojmą, że ta wojna niesie nietylko nam wolność, ale i im.

— Panie profesorze — odparł Znamierowski — u nas na zakładanie szkół nie ma miejsca, ani nauczycieli. Posyłano tam pono, jakieś chorągiewki z takim właśnie napisem: „Za waszą i naszą wolność", czy coś tam takiego. Ale oni przecież czytać nie umieją. A choćby umieli! Łatwe byłoby wojowanie, gdyby się frazesami biło nieprzyjaciela. Najlepszy gębacz byłby najlepszym jenerałem.

Czartoryski się roześmiał, Lelewel zaczerwienił.

— Pan major nie docenia wagi propagandy.

— Nawet nie wiem, co to jest.

— Panie majorze — rzekł Czartoryski — jenerał mi pisze, że pan możesz zostać do jutra. Dla mnie to bardzo dogodne, bo muszę członkom rządu list jenerała zakomunikować, a pana będę miał przyjemność widzieć u siebie wieczorem.

Znamierowski spojrzał mimowolnie na mundur.

— Niech się pan nie krępuje — rzekł, spostrzegłszy to Czartoryski—wiadoma rzecz, że w gali tam nie chodzicie. Najpiękniejszy to strój, jaki pan możesz włożyć. Ale pan żonaty?

— Tak.

— Więc z żoną proszę.

Znamierowscy taili swój stosunek wzajemny przed światem. Pomagał im do tego przerwany bieg normalnego życia, zdarzyły się jednak okoliczności kłopotliwe. Zaproszenie ks. Czartoryskiego spadło nie w porę. Znamierowski Róży nie widział od owej chwili, gdy spalił jej listy do Krzyżanow-

skiego, chciał ją zobaczyć przed oczekiwaną wielką bitwą, aby wiedziała ,że jeśli zginie, to bez żalu do niej, a jeśli życie w tej wojnie zachowa, to kraj ponownie opuści. Tymczasem został stworzony pozór, jakby przyjechał, aby ją zabrać do Czartoryskich.

— Nie powiem o tem zaproszeniu nic — postanowił. — Wytłómaczyć się nie będzie trudno, może nawet nie zauważą.

— Jezus Marja! to pan! — zawołał Józef, przypadając mu do rąk. — Pani cały dzień płacze, żadnej wieści. Dom trzęsie się od strzałów, wszystko tu słyszymy!

— Pan! pan! — wołał, biegnąc do Róży.

Józef, jak cała służba, wiedział, że pan musiał przed prześladowaniem skryć się do Francji i podać się za umarłego, że teraz, gdy powrócił, w domu mieszkać nie mógł z powodu obowiązków służbowych. Przybycie Znamierowskiego, którego dłuższy czas nie widział, utwierdziło go w przekonaniu o mylnem przypuszczeniu pokojówki, „że państwo z sobą nie żyją".

Róża cały dzień płacze. Znamierowski zaciął zęby. Nie za nim, ani nie nad niepewnością losów powstania. Dochodzący tu huk armat to dla niej walka o wolność dla Krzyżanowskiego. Uczucia, powstałe na polach grochowskich, zbladły.

Róża, ujrzawszy go, wyciągnęła mimowoli ręce. Była zmizerowana, powieki miała podbite. Pocałował ją ceremonjalnie w rękę z galanterją światowego mężczyzny, witającego damę.

Józef odbierał płaszcz.

— Dziura! — zawołał — od kuli!

— A od kuli.

— Gdzie? — spytała drżącym głosem Róża.

— A tu! widzi pani! Koło samego serca!

— Jezus, Marja! — załamała z przerażeniem ręce.

— Tu jest przecież drugi płaszcz — mówił Józef — ten trzeba schować na pamiątkę. I mundur jest, musi się pan przebrać, jak pan wygląda!

— A to dobrze — rzekł Znamierowski — bo właśnie przyjechałem z tem, zwrócił się do Róży, aby zabrać cię na wieczór do Czartoryskich. Czartoryski nas prosi.

Przed chwilą postanowił nic o tem zaproszeniu nie wspominać, teraz je podał za jedyny powód przybycia.

Józef wniósł tacę z winem i zastawą.

— Kazałem zrobić obiad, pan pewno nie po obiedzie. Tu bieda, panie, wielu rzeczy brak.

Znamierowski wypił chciwie szklankę wina.

— Zmęczony jesteś?

— Trochę.

Straszne, obelżywe słowa, wyrzeczone ostatnim razem, stały między nimi, jak szyldwachy, nie przepuszczając nic.

— I chcesz jechać na ten wieczór?

— Muszę, zaproszenie prezydenta rządu, nie naznaczył mi innego czasu, może tam mi odda odpowiedź dla Chłopickiego.

— To z listami od Chłopickiego przyjechałeś?

— Tak.

— Jakie jest położenie na froncie? — zapytała nieśmiało

— Trzymamy się.

— Więc ja mam także jechać?

— Czartoryski prosił.

— Muszę się ubrać.

— Ubierz się.

Przebrał się także, zjadł przyniesiony przez Józefa obiad. W cieple pokoju, po zaspokojeniu

głodu, naszło nań straszliwe znużenie. Trzymał się siłą woli, aby nie paść gdziekolwiek, tak jak stał, i nie zasnąć bez pamięci.

Róża wróciła w sukni wieczorowej.

— No, bywaj zdrów — uścisnął całującego go po rękach Józefa.

Zatrzymał się na progu i rzucił wzrokiem po mieszkaniu.

Zrozumiała, że się żegnał. Teraz, gdyby nie obecność Józefa, powiedzieliby sobie może wszystko.

Chwila wielkiego wzruszenia minęła, przeszła. W powozie Znamierowski milczał. Przypomniał sobie, jak z nią tak jeździł przed kilku laty, wtedy, gdy romansowała z Krzyżanowskim.

Weszli w blask świateł.

— Państwo Znamierowscy! — anonsował stentorowym głosem lokaj.

— Pan marszałek Ostrowski! — usłyszeli za sobą.

— Hrabia Zamoyski!

Do Róży podeszła księżna Czartoryska. Z prostotą i serdecznością prawie, uprowadziła ją ze sobą.

— Pani u nas poraz pierwszy, a tak chciałam panią poznać. Wiem, pani nie podziela jakoby naszych przekonań, ale czyż teraz nie łączy nas wszystkich jedno przekonanie, jedna idea. —

W salonach był cały świat warszawski, wszyscy, prócz Lelewela, członkowie rządu: Barzykowski, Wincenty Niemojowski, Teofil Morawski, ministrowie...

— A to pan gdzie złapał? — zapytał Znamierowski Władysława Zamoyskiego, dotykając jego ręki, zawieszonej na temblaku.

— Pod Dobrem.

— Nie mógł więc pan przyjść z Skrzyneckim pod Wawer.

— Nie mogłem, lecz to już się goi. Kula nie zadrasnęła kości.

Zaczęli czysto wojskową rozmowę.

Zamoyski wysoko cenił Skrzyneckiego, to samo myślał o nim Znamierowski.

— Jest to jeden z najzdolniejszych jenerałów — rzekł.

— Jeśli po Chłopickim nie najzdolniejszy — odpowiedział Zamoyski. — Człowiek stosunkowo młody, a już ma za sobą ładną przeszłość. Wszystko zawdzięcza sobie. Pochodzi, o ile wiem, z Galicji z niezamożnej szlachty, od dziecka poświęcił się wojskowości. Odznaczył się on niepoślednio pod Arcis sur Aube. Przebył wielkie kampanje. W r. 1812 był kapitanem grenadjerów 16 pułku, pułkiem tym dowodził Konstanty Czartoryski...

W środku salonu rozległo się grube chrząknięcie, które wszystkich oczy zwróciło w tę stronę.

Wysoki, piękny mężczyzna, ozdobiony lekko siwiejącym, nie modnym w owych czasach wąsem, przykładając jedną rękę do serca, a drugą podnosząc w górę, dawał znak, że chce mówić.

Uciszono się. Zaczął:

„Już w gruzach leżą Maurów posady!"

— Kto to jest? — spytał Znamierowski.

— Imć Nagolewski — odparł Zamoyski. — Prosi go się dla zabawy, pięknie deklamuje.

— Bardzo pięknie.

Rozmawiali dalej szeptem.

„Hiszpan pod miastem zatknął sztandary,
Jutro do szturmu uderzy".

— Źle dobrał swoje poezje, — rzekł Znamierowski.

— Nieszczególnie — potwierdził Zamoyski i wypytywał o szczegóły pierwszej grochowskiej bitwy.

„Był to Almanzor, król muzułmanów.
Rzucił bezpieczne ukrycie!"

Do rozmawiających przystąpił Czartoryski.

— Przedstawię pana — szepnął, ujmując Znamierowskiego pod ramię — hrabinie Łubieńskiej, da jej pan wiadomości o mężu.

— Żona jenerała?

— Tak.

Znamierowski stanął przed przecudną, słynną z swej urody hrabiną Łubieńską. W ukłonie jego dostrzegła hołd, złożony swej piękności, uśmiechnęła się wdzięcznie i wskazała mu fotel obok.

Zaczął opowieść o niebezpieczeństwie, w jakiem znajdował się jej mąż, o ataku, którym osobiście dowodził Chłopicki. Jej wielkie, czarne, aksamitne oczy brały ogień z tej relacji.

— Pan był wtedy przy jenerale Chłopickim?

— Byłem — wyznał chętnie — i w kilku słowach opowiedział ten fragment bitwy,

„Swoich zwycięzców chce zostać bratem,
Wassalem obcej korony!"

Kręgielne kule deklamacji potoczyły się do ich nóg.

— Nie ma pan pojęcia, co działo się podczas tych bitew w Warszawie — mówiła Łubieńska — wszystkie nasze serca były przy was, nie czuliście ich pewnie.

— Pani hrabino, kiedyż polski żołnierz nie czuje serca warszawianek — wrócił Znamierowskiemu nastrój dobrych czasów.

„Almanzor wszystkich wzajemnie witał,
Wodza najczulej uścisnął.

Objął za szyję za ręce chwytał,
Na ustach jego zawisnął".

— Cóż on wyrabia? — roześmiała się, patrząc jak Nagolewski wykonywał ruchy, pokazujące obejmowanie w uścisku, wyciągnął szyję, zwisając komuś niewidzialnemu na ustach.

— Aktor znakomity — rzekł Znamierowski, ale nie pragnąłbym, aby mi na ustach zawisł.

— Wyznam, że i ja nie.

Roześmieli się serdecznie.

— Patrz pan! patrz pan! — dotknęła mu ręką szlify.

Nagolewski, przyklęknąwszy na ziemi, oczy wywrócił, wyciągnął dygocące, jak w konwulsjach ramiona:

„A wtem osłabnął, padł na kolana,
Ale rękami drżącemi,
Wiążąc swój zawój u nóg hiszpana,
Ciągnął się za nim po ziemi!"

— Brawo! brawo!! brawo!!

Nagolewski podniósł się, obejrzał dokoła, kokietując pięknemi oczami zebranych.

„Spojrzał dokoła wszystkich zadziwił!"

— Pan do Warszawy na długo? — spytała Łubieńska.

— Prawdopodobnie dziś jeszcze wrócę do obozu.

„Pocałowaniem wszczepiłem w duszę
Jad, co was będzie pożerać!"

— Ach, mój Boże, żeby on tak nie krzyczał.

— Nic dziwnego, gdy o takich pocałunkach mówi.

— Wy tam, jak widzę, w obozie dowcipu nie tracicie.

— Pani nie traci o nas łaskawej opinji.

— My mamy dla was uwielbienie, niech pan wierzy.

— Nie równa się ono naszemu.

„Wy tak musicie umierać!"

— O, Boże!

— Czy nam on takie losy przepowiada?

— Niech pan tak nie mówi.

„Chciałby uściśnieniem wiecznem
Wszystkich hiszpanów przykuć do łona".

— Toby nas jedno pocieszyło w złej doli, gdyby go ktoś inny zastąpił, oczywiście.

— Niech pan wróci do swego opowiadania, ciekawsze, jak ta poezja, skończył pan, jak pana koń poniósł — kąciki jej ust drgnęły nieznacznie.

— Skończyłem, jak koń wracać nie chciał, mimo komendy do odwrotu.

— Kiedy oczekujecie głównej bitwy? — spytała poważnie.

— Oczekujemy jej ciągle, może nastąpić jutro.

— Jutro?!

„Z gór Alpuhary nim się wywlekli,
Reszta ich wojska poległa".

— Brawo! brawo!! brawo!! — rozległy się rzęsiste oklaski.

Zachęcony niemi Nagolewski otarł batystową, haftowaną chustką zroszone czoło, wystawił pierś i zagrzmiał:

„Tak to przed laty mścili się Maurowie!"

— Kiedyż on skończy?... — rzekła Łubieńska.

— Chciałbym, aby mówił najdłużej — odparł Znamierowski.

— Tak podoba się panu ta deklamacja?

— Pozwala mi ona pozycji nie zdawać.

— Czy pozycji głosy trąb bronią?

— Na to one są, aby dodawać odwagi.

— Na odwadze wam chyba nie zbywa.

— Najmężniejszemu jej czasem braknie.

„Precz mi z tą lutnią — zerwała się struna!"

— Słyszy pan?

„Nie będzie pieśni, ale się spodziewam,
Że kiedyś będą!!..."

— Słyszy pani?

Spojrzała nań skośnie. Ten śliczny, wysoki major, należał z pewnością do najśmielszych ludzi, jakich znała. Śmiałości takiej nie nabrał na polach grochowskich...

„I drżące usta piana mu okryła,
I zasnął..."

— Widzi pan, już...

„Rycerze chwilę w zadumaniu stali..."

— Widzi pani, jeszcze nie.

— My się tu bawimy, a wy tam...

— Niech pani nie czyni sobie wyrzutów, jeśli się nie smucimy, to dowód, że wierzymy w zwycięstwo.

— Wierzymy, nie może być inaczej! Ten raut urządzony właśnie dla uczczenia ostatniego boju. Pierwszy to raz u Czartoryskich w tym roku...

„Co znaczy mistrza dziwaczna ballada.
Każdy w domysłach nadaremnie bada!"

Skłonił się, dając znak, że skończył.

— Brawo! brawo!! brawo!!

Przyjmował podziękowania i podszedł do nich

— Całuję rączki pani hrabiny.

— Dziękujemy, dziękujemy, prawdziwą ucztę nam pan wyprawił. Panowie się nie znacie? Pan major Znamierowski.

Lokaj podniósł tacę z winem.

Jeśli Znamierowski rozmawiał sam na sam z Łubieńską, to tylko dzięki deklamacji Nagolewskiego. Teraz spieszono do niej zewsząd, otoczono ją. Rad nie rad musiał „zdać pozycję". Nagolewski go się uczepił.

— Pan major najlepszą wybrał sobie cząstkę w tym salonie, hm... — chrząknął. — Wszystkie teraz macie przywileje. A dawno pan nie widział naszej bogini?

— Dziś dopiero hrabinę Łubieńską poznałem.

— Dziś dopiero? Gdzieżeś pan się chował?! Cud! To pan nie wiesz pewnie, że do niej sam cesarz nieboszczyk się zalecał. Odpaliła, słowo honoru! Nie wiesz pan?!

— Nie wiem — odparł cierpko Znamierowski.

— Święta kobieta, co rzadko się zdarza przy takiej urodzie, słowo honoru! Ludzie mówią, że tam coś było, wielka, wzniosła miłość, nieszczęśliwa — wywrócił oczy — do tego Krzyżanowskiego, co to, wiesz pan?

— Do kogo?

Znamierowskiemu wydało się, że się przesłyszał.

— Do pułkownika Krzyżanowskiego, wiesz pan, tego spiskowca, co go do Rosji wywieźli... Książę pana szuka.

Rzeczywiście do Znamierowskiego podszedł Czartoryski.

Zabrał go z sobą do gabinetu, oddał listy do Chłopickiego. Rozmowa przeciągnęła się dobre pół godziny, niebawem po niej trzeba było odjeżdżać.

— Więc Róża miała rywalkę.

Opuścił go nastrój zabawy, gdy tylko wyszli na dziedziniec. Kto wie, czy nie ostatni raz się bawił.

— Rozmazuję się, do djabła! — zaklął w duchu.

Powóz ruszył.

— Różo, chciałem ci powiedzieć... — zaciął się.

— Co?

— Chciałem ci powiedzieć, że gdybym nie wrócił, to nie myśl, że z jakimś żalem lub gniewem... Nie! Połącz się z Krzyżanowskim, gdy będzie wolny ,więcej wart odemnie. Jeśli nie zginę, wrócę do Francji, nie stanę wam na przeszkodzie.

Chwyciła go za rękę.

— Zdzisław! — krzyknęła — to nieprawda!

— Co nieprawda?

— To, co powiedziałeś mi wtedy, wtedy, przy tych listach...

— Dajmy temu spokój — rzekł posępnie — nie mówmy o tem.

I po chwili spytał:

— Znasz hrabinę Łubieńską?

— Znam.

Przybyli na miejsce.

— No, żegnam cię, Różo. Nie myślę, aby mi się stało co złego, czy tam dobrego — bo ja wiem...

Uścisnął ją.

Nie wszedł do domu, kazał podać konia i skoczył na siodło.

Noc była piękna, choć ciemna. Latarń na ulicach nie zapalono. Uderzył konia ostrogą i pognał cwałem. Podkowy tętniły po bruku przycichłego miasta. Przejechał przez most, przez srebrną wstęgę

Wisły, wpadł w czarne pola, tysiącem świateł błysnął przed nim polski obóz, a dalej drugi — rosyjski.

VII.

Równo ze świtem obydwie armje stały w szyku bojowym. Nad polami unosiły się mgły ranne i dymy gasnących ognisk. Po jednej stronie feldmarszałek Dybicz, po drugiej jenerał Chłopicki objeżdżał szeregi. Nie zaczynano jednak bitwy. Chłopicki wrócił do kwatery i odbierał raporty od oficerów, badających stanowiska armji nieprzyjacielskiej. Były też same, co za ostatniej potrzeby, przed czterema dniami, 21 lutego.

Zdala, jak pomruk ciągnącej burzy, zagrzmiały działa.

To Szachowski atakował pod Białołęką, zagradzającego mu połączenie się z głównemi siłami, Krukowieckiego.

Chłopicki wyszedł przed dom.

Na spienionym koniu pędził Prądzyński. Nie zsiadając z siodła, począł coś mówić, gdy słowa przerwał mu huk, kula działowa uderzyła w kwaterę i w mgnieniu oka dwieście armat szalało na całej linji.

— Walą w Olszynkę.

Tam żołnierz, chroniąc się za drzewa, położył się na wilgotnej ziemi z karabinem w garści, zasypywały go łamane przez kule gałęzie. W zewnętrznym rowie, trzymając nagi pałasz w ręku, stał jenerał Żymirski, koło niego Bogusławski i Mycielski. Czekali na atak piechoty. Przeklęte oczekiwanie! Łatwiej iść by było w ten potop ognia i żelaza i paść co do jednego, niż ginąć w bezczynności. Od czasu

do czasu baterje polskie demontowały jakieś działo rosyjskie, ale natychmiast zastępowało je nowe.

Leżąc na grzywie, nadleciał Haukę, zarył konia przed Żymirskim.

— Jenerale, rozkaz od jenerała Chłopickiego, abyś jenerał do ostatniego człowieka bronił tej pozycji!

— Niepotrzebnieś pan się fatygował — odrzekł Żymirski.

Hauke miał wracać, gdy dostrzegł poruszający się w dali las bagnetów. Został.

Wśród nieustannego huku dział, wielkie, zbite masy piechoty rosyjskiej posuwały się na Olszynkę. Mimo morderczego ognia baterji polskich, kolumny jej płynęły naprzód, tylne hufce wypełniały luki wybite w przodowych, na miejsce stu zabitych wchodziły tysiące, depcąc po własnych trupach, doszły do Olszynki.

Wtedy z lasu, z ziemi, z pod powalonych pni, potrzaskanych gałęzi zerwała się przyczajona burza. Kto żył, wstał. Runęli.

Rów wypełniły ciała. Rannych przywalały trupy, gniotąc je i dusząc, na trupy padali ranni. Rów rósł w krwawy wał, jęczeniem i przeraźliwym krzykiem, wyciem okropnem wołał o ratunek do Boga.

Mycielski przerzucił pałasz do lewej ręki, prawa mu zwisła, oczy zalewała krew, osiadała na włosach, padł... Zerwał się ostatnim, przedzgonnym wysiłkiem z ramionami wzniesionemi w górę, brocząc krwią, jak purpurowy, w boju chwiejący się sztandar

— Żołnierze naprzód!! Naprzód żołnierze!!

Już nie żył, nim padł powtórnie, na wieki.

Cofa się jedna dywizja rosyjska, cofa się część drugiej... Na ten widok cała rosyjska piechota, wszystkie rezerwy, idą na Olszynkę. Tupot czter-

dziestu tysięcy sołdatów, „hura!" czterdziestu tysięcy ust przygłusza sam huk armat.

Żymirski przywołał Haukego.

— Jedź do jenerała, obowiązek swój spełniliśmy...

Za chwilę powalił się, rażony kulą.

Już nie było siły do oporu, polacy cofali się z Olszynki, zajmował ją nieprzyjaciel.

Chłopicki stał ponad szosą, przy drzewie, zsiadł z konia i palił cygaro. Grono sztabowe, dla jakiego takiego zabezpieczenia, schroniło się z końmi do rowów.

Hauke zdał raport.

Chłopicki słuchał pogodnie, czekał na tę chwilę, przewidywał ją, przeczuł, miał w ręku zwycięstwo. Ale gdzie Krukowiecki? Bitwa pod Białołęką od trzech godzin się skończyła, powinien już być, posłał mu rozkazy. Bez rozkazów powinienby już być! Jeśli ma serce poczciwego żołnierza, to słyszy, jak go towarzysze broni każdym strzałem działowym wymownie wołają.

Nadjechał, wysłany do Krukowieckiego, Znamierowski.

— No co?! Gdzie Krukowiecki?! Idzie?!

— Nie, — odparł z konia Znamierowski.

Był trupio blady, oczy miał błędne, w gorączce.

— Jakto nie?! — nie dowierzał swym uszom Chłopicki.

— Nie ma rozkazu od naczelnego wodza, od Radziwiłła.

Chłopicki zaczerwienił się, ale opanował się w tej chwili, przywołał adjutanta Walewskiego

— Jedź do Radziwiłła, niech da rozkaz temu... — zaklął po żołniersku.

Wydał rozkaz oficerom.

Mimo nieprzybycia Krukowieckiego, zwycięstwo wydało mu się pewne. W tę zmęczoną atakiem na Olszynkę piechotę teraz uderzy. Jenerał Skrzynecki, stojący w rezerwie, poprowadzi atak na lewy kraniec Olszynki, on sam poprowadzi na prawy, Prądzyński z brygadą strzelecką od frontu, korpus jazdy Łubieńskiego użyty zostanie na końcu.

Uderzono w bębny.

Skrzynecki na czele trzech pułków wpada na czternastą dywizję rosyjską, przewraca ją, przepędza za Olszynkę, wybiegając z lasku bije w dywizję piętnastą, rozgramia i bezładne tłumy gna na stoki Dąbrowej Góry. Chłopicki zastępy swoje prowadzi na trzecią dywizję, wysuwającą się z Olszynki ku Grochowu. Dwa konie pod nim zabite, sam jest lekko ranny, ale już się przedarli przez krzyżowy ogień dział i w ataku huraganowym skoczyli na nieprzyjaciela. Rosjanie nie dotrzymali kroku, pierzchnęli, sformowali się powtórnie. Uderza po raz drugi, jegrzy uciekają w popłochu ku lasom.

Armja rosyjska w jednej połowie rozbita, w drugiej przerażona i zmieszana, trzeba ją rozproszyć. Zwycięstwo zaczęte, trzeba go dokonać!

Już czas na jazdę Łubieńskiego, jeszcze nie przyszedł. Niema chwili do stracenia!

Jenerałowie rosyjscy wstrzymują pierzchające dywizje, sprawiają je nanowo, szykują na froncie nietkniętych grenadjerów, a Łubieńskiego niema!

Wracają jeden po drugim wysłani do niego adjutanci.

Jednemu powiedział że Chłopicki ma przy sobie oddział konnicy, on więc nie jest potrzebny; drugiemu, że Chłopicki całe życie służył w piechocie, więc nie zna się na użyciu jazdy; trzeciemu, że korpusu swego na pewną zgubę narażać nie może;

czwartemu, że jenerała Chłopickiego nie zna i tylko naczelnego wodza rozkazy spełniać będzie.

Dawne kaprysy Chłopickiego, humory nieobliczalne odbierają mu teraz zwycięstwo — jemu i Polsce. Czemuż nie chciał także formalnie a nie w rzeczywistości tylko być wodzem naczelnym. Czemuż być nim nie chciał z ciała także, a nie tylko z ducha.

Pojedzie do Łubieńskiego sam, przed frontem w łeb mu strzeli i korpus jego przyprowadzi.

Zdał komendę jenerałowi Milbergowi, wziął z sobą Znamierowskiego i Haukego, pognali galopem. Wtem koń Chłopickiego przewrócił się, trafiony granatem, granat w nim pękł, koń i jeździec zniknęli w kłębach dymu.

Adjutanci dobyli go z pod konia, obie nogi zdawał się mieć zdruzgotane.

Skrzyknęli kilkunastu żołnierzy, zrobili nosze z karabinów, złożyli na nich wodza.

Chłopicki przywołał wzrokiem Haukego.

— Daj znać Prądzyńskiemu.

Żołnierze podnieśli nosze i szli powoli krok za krokiem w kierunku ambulansów.

— Nie widzisz, co się dzieje? — spytał Cłopicki z wysiłkiem Znamierowskiego.

Znamierowski widział, ale nie powiedział. Ogromna baterja rozwijała się na prawem skrzydle rosyjskiem, demontowała baterje polskie, raziła lasek olszynowy.

Horyzont tonął w dymie, oświetlony jasnemi wstęgami karabinowego ognia, czerwonemi snopami pękających granatów.

Ziemia i niebo trzęsły się od huku dział.

Wpijając ostrogi w boki końskie, wichrem przyleciał Prądzyński. Nachylił się nad Chłopickim.

— Dowództwo bitwy oddaję Skrzyneckiemu — rzekł Chłopicki.

— Jakie polecenie pan jenerał zanieść mu każe?

— Co tam się dzieje?

— Biorą Olszynkę.

— Powiedz mu, aby uderzył wszystkiemi siłami i ją wydarł. Niech Radziwiłł da rozkaz Łubieńskiemu...

Zbladł z bólu, nie mógł mówić więcej

— Jadę, jenerale — rzekł, salutując go Prądzyński.

Szli dalej, ręce im opadły ze znużenia, nogi się uginały. Każdy błysk ognia mógł pożreć ich wszystkich, pola zaścielały trupy i ranni.

Kiedy minęli linję bojową, mrok już zapadł.

Doszli do ambulansów.

Na wieść, że Chłopicki ranny, przybiegło kilku lekarzy, zrobiono pierwszy opatrunek i złożono go ostrożnie.

Chłopicki wyciągnął rękę do Znamierowskiego.

— Dziękuję — rzekł — i wskazując na żołnierzy — przedstaw ich do krzyża.

Łzy im ciekły po policzkach.

— Będziecie mi tu beczeć — burknął.

Wtedy z płaczem przypadli do niego, całując mu ręce i płaszcz.

Ambulans ruszył, napili się wódki i wzięli karabiny na ramię.

Zaledwie weszli napowrót w sferę ognia, Znamierowski zachwiał się i zemdlał; trafił go odprysk granata.

— Ano to teraz trzeba adjutanta — rzekł jeden z żołnierzy.

Zrobili ponownie nosze, złożyli go na tych samych karabinach i ponieśli tą samą drogą.

Na czele uszykowanej dywizji, na wzgórzach piasczystych, naprzeciw Olszynki, stał na rosłym

koniu, górujący wyniosłą postawą, jenerał Skrzynecki. Szal błękitny koło szyi udrapowany, podnosił jego wygląd piękny i malowniczy.

— Z postaci wódz imponujący — pomyślał, dojeżdżając, Prądzyński.

— Jenerałowi Chłopicki porucza dowództwo — rzekł salutując.

Uśmiech ukontentowania przeleciał przez twarz Skrzyneckiego.

— I poleca, abyś jenerał wszystkiemi siłami na Olszynkę uderzył.

Skrzynecki sposępniał.

— A gdzież tam o tem myśleć! — odparł. — Patrzaj, co się dzieje!

Wskazał na posuwające się masy rosyjskich bataljonów.

— Jakiż jest plan jenerała? — zagadnął ciekawie Prądzyński.

— Odwrót, mon cher.

Skrzynecki lubił mówić po francusku.

— Cofniemy się w porządku, na dzisiaj dosyć, wojsko zmęczone, wszyscy dowódcy bataljonów wybici.

Walka na różnych punktach wciąż trwała, ale bezładna i chaotyczna. Dowódcy, pozbawieni kierunku, nie znając ogólnego planu, improwizowali go sami, każdy dla siebie.

Tak ich chwytały rozkazy do odwrotu. Zapadła noc.

Armja rosyjska zajmowała opuszczane pozycje, polska cofała się na Pragę, działa jej grzmiały, zasłaniając odwrót i kończąc bitwę.

VIII.

Znamierowski otworzył oczy. Pamiętał jak wracał z żołnierzami po odniesieniu do ambulansu Chłopickiego, potem jak sam ocknął się ranny w ambulansie, potem nie wiedział nic. Leżał w łóżku obandażowany, stał przy nim jakiś mężczyzna w białym fartuchu i w takim samym fartuchu, w kornecie szarytka. „Szpital" zrozumiał.

— Gdzie jestem? — spytał.

— W Warszawie w szpitalu, — odparł lekarz.

— Przywieziono mnie z pod Grochowa?

— Tak.

— Jenerał Chłopicki?

— Żyje, niech się pan nie niepokoi.

— Jaki koniec wzięła bitwa?

— Cofnęliśmy się w porządku.

— Nieprzyjaciel pod miastem?

— Rozłożył obóz za Pragą, no proszę pamiętać o sobie.

Szarytka włożyła mu rękę pod głowę i wlała do ust jakiegoś napoju.

— Chłopicki ciężko ranny?

— Ciężko — odparł lekarz — lecz niebezpieczeństwa niema.

— Kto wziął dowództwo?

— Jenerał Skrzynecki już mianowany wodzem naczelnym.

Znamierowski zamknął oczy i zasnął. Obudził się w nocy, pokój oświecało słabe światło, na krześle, przy łóżku siedziała ta sama szarytka. W znużeniu tępym wzrokiem patrzyła przed siebie, dostrzegłszy, że nie śpi, drgnęła nerwowo.

— Nie trzeba czego? — spytała cichym, piersiowym głosem.

— Pić.

Podniosła mu szklankę do ust, spojrzał wyraźniej.

— Dawno tu jestem?

— Czwarty dzień.

— Ranny jestem ciężko?

— Kawałek granatu dostał się pod same płuca.

— Kto mnie operował?

— Lekarz, z którym pan mówił, doktór Brzeziński.

— Kiedy będę mógł wstać?

— Jeszcze nie prędko, jeszcze o tem nie można myśleć.

Chciał się poruszyć i krzyknął.

— Widzi pan, trzeba zmienić opatrunek.

Powstała i odchyliła kołdrę.

— Jakże to, siostra sama?... jak mam mówić?

— Siostra Teresa.

— Jakżeż to ja będę przed siostrą swoje gnaty żołnierskie obnażał! Cyrulika tu jakiego, jeśli jest.

— Na to my tu jesteśmy — uśmiechnęła się i poczęła rozpruwać bandaże.

Leżał bezwładnie, zaciskając zęby, nałożyła mu nowy opatrunek, opasała mu ciało nowym bandażem, nakryła i poprawiła poduszki.

— Dziękuję, siostra bandażuje jak anioł, ale siostra zmęczona, ja mogę zostać sam.

— Nie może pan zostać sam.

— Siostra tu ciągle przy mnie?

— Ciągle, ale to tylko teraz, później będzie pan miał więcej spokoju.

— A kiedy siostra śpi?

— Pan śpi dużo, więc i ja się zdrzemnę, a nawet kładę się tam, wskazała na tapczan, stojący przy drugiej ścianie.

— Niech się siostra położy.

— Teraz nie.

— Rannych dużo?

— Ten szpital pełny, a i inne także.

— I każdy ma przy sobie takiego anioła stróża jak siostra?

— Nie, są wspólne cele, pana wzięto pod specjalną opiekę, jako adjutanta jenerała.

— A skądżeście to wiedzieli?

— Od służby ambulansowej. Dowiadywano się o pana.

— Kto?

— Żona.

Róża się dowiadywała, skądże Róża wiedziała, że jest ranny.

Przymknął oczy i otworzył je po chwili.

— Skąd moja żona wiedziała, że jestem w tym szpitalu?

— Daliśmy znać.

Nie spał ale oczy znowu zamknął, żeby siostrze Teresie dać możność spoczynku. Rana dolegała, za każdem najlżejszem poruszeniem czuł dotkliwy ból. Przez mózg płynęły obrazy grochowskie, wstawały jak widma. Uczynił daremny wysiłek, aby je odpędzić. Stały się jeszcze żywsze i wyraźniejsze. Szedł znowu polem przy błysku armat, przy niesionym na karabinach Chłopickim. Oddychał ciężko.

Siostra Teresa wlała mu łyżeczkę do ust lekarstwa.

Uspokoił się i zasnął.

Krukowiecki nie przyjdzie. Chłopicki nie jest naczelnym wodzem... Około Krukowieckiego stoi mężczyzna z siwiejącym wąsem, śmiesznie wykrzywiony i woła: „wy tak będziecie umierać!" Żeby on tak nie krzyczał, mówi Łubieńska... Zjawia się wielki książe... Wszyscy pod jednym nakryciem namiotu... Namiot wielkiego księcia... Chwieje się kaganek...

— Precz! — woła Znamierowski do Konstantego.

— Gdyby nie ja, nie wiedziałbyś o zdradzie swojej żony, — odpowiada mu Konstanty.

— Precz! — krzyczy Znamierowski, podnosząc się na łóżku.

— Nikogo tu niema, — układała go na poduszkach siostra Teresa, — nikogo niema.

Gdyby nie ja, — śmieje się szyderczo Konstanty, — amant twej żony byłby naczelnym wodzem, honory byś mu oddawał!

— Żądam, abyś go puścił ty psie!... — woła Znamierowski, — żądam, aby był wolny!

— Cieszysz się, że w więzieniu gnije! — śmieje się Konstanty, takiś ty patrjota! takiś ty insurgent!

— Cudze listy otwierasz w. ks. mość!

— A jakbyś o nich wiedział, gdybym ich nie otwierał?!

Konstanty wyjmuje z za munduru papiery, przed nim klęczy Róża, całuje go po butach.

— Wstań, Różo!

Siostra Teresa znowu układa go na poduszkach i zwilża czoło.

— Te listy to kłamstwo! — woła Róża. Wszystko co w nich jest — nieprawda!

— Idź do niego, do swego kochanka, Różo... ja ci przeszkadzać nie będę... Stój!.. Nie chodź!.. Zastrzelę!!!

— Tu nikogo niema, — nachyla się nad nim siostra Teresa, — tu jestem tylko ja. Patrz, nikogo niema w tym pokoju. Patrz na ten krzyż. Widzisz ten krzyż?

— Pocoś tu przyszła, Różo?

— To jestem ja, siostra Teresa.

— To ty, Różo?

— To ja, siostra Teresa — powtarza szarytka.

Gdy na drugi dzień obudził się, stał przy nim doktór Brzeziński.

— No, mamy się lepiej, rzekł, biorąc go za puls.

— Kiedyż ja wstanę, doktorze?

— Wstanie pan, wstanie, niebezpieczeństwo przeszło, tu dowiadują się o pana.

— Wiem, żona.

— Żona przedewszystkiem, ale jej jeszcze nie puścimy, należy wzruszeń unikać. Jenerał Chłopicki przysyłał po wiadomości, jest tu nawet pan Hauke.

— Hauke jest? Pozwoli mi go doktór zobaczyć?

— Jego pozwolę, niech go siostra poprosi, ale nie nadługo.

— Bój się Boga! — zawołał, wchodząc Hauke, gdzie cię tak urządzili?!

Zostawiono ich samych.

— Jak się ma jenerał? — zapytał Znamierowski.

— Nic mu nie będzie, obawialiśmy się amputacji nóg, ale nie. Wyliże się. Teraz leży i klnie.

— Na kogo?

— Na cały świat. Przecież go znasz. Wszyscy durnie, gałgany, szaleńcy, obwiesie. Dla wojska ma jednak respekt.

— Bo też wojsko stawało dzielnie.

— Nad wszelkie wyobrażenie! Ani razu popłochu podczas trzech bitew. A mieliśmy przed sobą dwa razy większe siły. Gdyby nie Łubieński i Krukowiecki, Dybicz zostałby rozgromiony zupełnie.

— Idą pod sąd? — spytał Znamierowski.

— Kto?

— Łubieński i Krukowiecki.

— E! widać żeś w szpitalu i nie wiesz co się dzieje. Krukowiecki mianowany gubernatorem Warszawy.

— Krukowiecki?!

— A jakże! Mamy stan oblężenia, a on słynie ze sprężystości, więc dla utrzymania porządku wewnętrznego. No i klubiści są za nim.

— Klubiści?! Dlaczego klubiści?

— Mówią, że zdrajców będzie wieszał.

— Jego pierwszego by powiesić!

— On woli wieszać innych, — zaśmiał się Hauke. A więc Skrzynecki, aby mieć poparcie klubu, wyrobił tę nominację u rządu. Wyższe względy dyplomatyczne. Ty znasz Skrzyneckiego?

— Nie, ale słyszałem o nim jaknajlepiej.

— O nim słyszy się zawsze dobrze, — odparł Hauke — ja bo prawdę powiedziawszy nie przywiązuję do niego wielkich nadziei.

— Dlaczego?

— Bo go znam. Bywał u mego ojca, — Hauke zamroczył się — niema on wielkiej nauki, ani wielkich za sobą czynów.

— A Arcis sur Aube?

— To i ty słyszałeś o Arcis sur Aube. Ludzie w najlepszej wierze powtarzają, a on tam nic nie miał, przywłaszczył sobie laury swego szefa Muchowskiego. Spytaj się napoleońskich jenerałów. Takimi to on legendami słynie.

— Niepokoisz mnie — rzekł Znamierowski, — Chłopicki go jednak rekomendował, słyszałem sam jak mu przez Prądzyńskiego powierzał dowództwo.

— Bo ostatniego go miał przed oczami. Nie można powiedzieć, pod Grochowem dobrze stawał, ale ostatnich rozkazów Chłopickiego nie dopełnił. Chłopicki by się jeszcze bił i pod nim odwrotemby się nie skończyło.

— Nie każdy ma genjusz Chłopickiego, — rzekł z głębokiem przekonaniem Znamierowski.

— Nie każdy i to źle że niema nikogo ktoby go zastąpił. Nam trzeba genjusza, Skrzynecki go nie okazuje.

— Jeszcze nie miał czasu.

— Z tego, co dotychczas pokazał, nie jest to wielki człowiek.

— Cóż pokazał takiego?

— Prawda, że ty nic nie wiesz, jakie były jego pierwsze kłopoty.

— Naturalnie, że nie wiem. Powiedz.

— Pierwsza rzecz — pensja. Dwieście tysięcy złotych na rok. Rząd krzywił się, piszczał, cały dzień targował — na nic. Wreszcie Czartoryski ustąpił. Druga — wydatki reprezentacyjne. Potem mieszkanie w pałacu Pod Blachą, prawo używania ekwipaży cesarskich, naczyń dworskich... Myślałby o tem Chłopicki?

— Ba! Chłopicki!

— Nasampierw przyjął kucharza.

— Facecje opowiadasz!

— Czysta prawda!

— Chłopicki wie o tem?

— Wie.

— I cóż mówi?

— Klnie, jak to Chłopicki. Odgraża się, że już do niczego mieszać się nie będzie, że kraj ten opuści, aby na durniów nie patrzeć. Do Krakowa się wybiera.

— Żeby tylko tego nie zrobił.

— Boję się, że zrobi.

— Bywa u niego Skrzynecki?

— Nie głupi on pokazywać się Chłopickiemu na oczy. Miałby się spyszna za szefa sztabu.

— To nie Prądzyński szefem sztabu?

— Gdzie tam! Chrzanowski.

— A Prądzyński?

— Kwatermistrzem jeneralnym.

— Bigos zupełny!

— Najzupełniejszy. Moskale stoją pod Warszawą, my w Warszawie, przyglądamy się sobie wzajemnie. Nikt nie wie, co z tego będzie. Słyszałem, że

Skrzynecki w jakieś korespondencje z Dybiczem wstępuje.

— W korespondencje z Dybiczem?! Co ty mi za historje opowiadasz, Hauke!

— Relata refero.

— O czem że oni będą z sobą korespondowali?

— Tego to ja nie wiem.

Siostra Teresa przerwała im rozmowę.

Zaczęły się dla Znamierowskiego długie dni szpitalnej nudy między jednym a drugim posiłkiem, między jednym a drugim opatrunkiem. Znowu myślał o chwilach przeżytych, od teraźniejszości odbijał się w przeszłość.

Jakże dziwna była jego droga, człowieka tak zwyczajnego, tak nic nieznaczącego na świecie.

Widział się w wspomnieniach.

Szykowny oficer, *officier du salon.* Stała przed nim otworem karjera, na młody wiek miał wysoką rangę. Jakże często hulał w Warszawie z tymi samymi oficerami, którzy stoją dziś po tamtej stronie Pragi. Przypomniał sobie matkę Róży, już nieboszczkę, wdowę po radcy stanu. Pierwszy bal z Różą. Zakochał się szalenie. Ożenił się i wkrótce wrócił do dawnego życia — kart, koni, wina i romansowych intryg. Nie spostrzegł, aby to Różę unieszczęśliwiało, ani mniej jej przez to nie kochał. Teraz mu dopiero powiedziała: „miałam cię za jednego z tych mężów, co mogą żonę przegrać w karty".

Tu Znamierowski spojrzał na siebie jak obcy, postronny człowiek.

Dobrze zrobił, że wyjechał do Paryża. Cóżby to było za życie w Warszawie. Ona w pogardzie dla niego, w tęsknocie za Krzyżanowskim, on na brzegu tej przepaści, która się nazywa upadkiem moralnym.

Wyrwał się jednak ze wszystkiego, wyjechał, pracował jak zwyczajny robotnik. Paryż stał się dla

niego odrodzeniem, już wrócićby stamtąd nie mógł do dawnego życia, do kart i hulatyki.

A nie byłby nigdy wyjechał, nigdy życia swegoby nie odmienił, gdyby wówczas w Belwederze nie był wyznał w. księciu tajemnic spiskowych.

Odtworzył sobie całą tę chwilę.

Gabinet w. księcia. Dwa wielkie, złociste kandelabry palą się na biurku, dwa takież na kominie. Wprowadza go adjutant.

— Znamierowski! Ślicznie panie Znamierowski. Pan także!

— Co każe w. ks. mość?

— Pan także buntujesz się przeciw monarsze?

— Ja, w. ks. mość?

— Należysz pan do Towarzystwa patrjotycznego. Nie kłam pan! Nie zapieraj się pan! Wszystko wiem, całą listę mam w ręku!

Pamięta swój lęk i swoje milczenie.

Krzyżanowski, Łagowski, Plichta, Grzymała, ksiądz Dembek byli już aresztowani.

Książę Konstanty wpada w furję, uspakaja się, kładzie mu rękę na ramieniu.

— Mojem jedynem pragnieniem jest, — mówi — sprawę tę zdusić, przedstawić ją cesarzowi tak, aby nie zostały wyciągnięte z niej konsekwencje, straszne dla oskarżonych i dla kraju. Znamierowski! Mówię do ciebie jak żołnierz do żołnierza, jak wódz do oficera, od którego oczekuję zaufania. Szczere wyznania, przedemną uczynione, sprawę mogą tylko polepszyć. Z jakimi oficerami komunikowałeś się jako członek Towarzystwa patrjotycznego?

Powiedział.

Nie powinien był mówić. Zaufania w. książę nie byłby w nim wzbudził, gdyby nie lęk i niepokój. Czuł to i wtedy, gdy wyszedł z Belwederu. Miał w sobie niesmak.

Jest w domu, opowiada zdarzenie Róży. Róża... Widzi zgrozę w jej oczach, jej rumieniec oburzenia. Próbuje się tłumaczyć. Róża nic nie chce słyszeć.

— Jesteś zdrajca! Postąpiłeś, jak człowiek wyzuty z honoru, jak ostatni nikczemnik. Wiesz, co ci pozostaje?! Wiesz?! Podaje mu pistolet.

Teraz, gdy znalazł te przeklęte listy, powiedział Róży, że chciała jego śmierci, aby być wolną dla Krzyżanowskiego. Zaprzeczyła. Jadąc w powozie od Czartoryskich, chwyciła go za rękę, wołając: „nieprawda, co wtedy mówiłeś!"

Słyszał teraz jej słowa i widział jej ruch jak człowiek trzeci. Mówiła prawdę. Tamto było uniesieniem, egzaltacją, podniesioną miłością dla Krzyżanowskiego, ale nie było podłością. Krzyżanowski... Cóż Krzyżanowski? Czyż on na miejscu Krzyżanowskiego dbałby o to, że Róża jest żoną Znamierowskiego? A Róża? Ileż razy on ją zdradzał także. Jest różnica. Zdrada kobiety jest większa i inna. Dlaczego? Nie umiał odpowiedzieć. „Większa i inna — powtarzał w duchu.

Płynęły znów obrazy, sceny przeżyte, fragmenty pejzażów.

Widzi *quai*, jak tam znalazł Pismo święte w przekładzie polskim, fizjognomję przekupnia, jego czarny beret. Wzruszył się wtedy. W czyich rękach była ta książka, któż tam ją zawiózł z polaków?... zabrał ją z sobą do Warszawy.

Przesuwały się ulice, gmachy Paryża. Wracały uparcie szare mury katedry Notre Dame, pod wieczornem, gwiazdami usianem niebem. Ten widok wypełniał mu całą duszę i przynosił nieznany spokój.

Gdy zaczął wstawać i siedzieć w fotelu, wpuszczono do niego Różę. Siostra Teresa sprzeciwiała się, aby ją widział przedtem.

Spojrzeli na siebie jak ludzie, którzy odbyli długą, niebezpieczną wędrówką i nieoczekiwanie spotkali się w tem miejscu.

Róża chciała, aby zamieszkał u siebie, w swoim jak mówiła, domu.

Zgodził się bez oporu. Pozostawać w szpitalu, zabierać dłużej miejsca innym nie mógł. Nie mógł także bez opieki pozostawać na swej dawnej, żołnierskiej kwaterze.

IX.

W wyczerpaniu fizycznem i znużeniu, wywołanem chorobą, spadł jakby półsen na Znamierowskiego. Stan gorączki minął, wraz nim przestały go napastować zwidzenia. Duchowo był znieczulony i obojętny. Róża przynosiła mu gazety warszawskie. Nudziły go artykuły polemiczne, bezczeszczenia się wzajemne. Czego ci ludzie chcą? Jeśliby ktoś przyjmował na wiarę inwektywy i podejrzenia, to dostałby pomieszania zmysłów. W artykułach tych naród, przedstawiony zbiorowo, wydawał się czystszy i szlachetniejszy od innych, należące zaś do niego jednostki, które na widok publiczny się wysunęły, były oszelmowane. W jednych Lelewelowi przypisywano wszystkie nieszczęścia, zarzucano, że urzędy obsadzał krewniakami, że przywiązany był tylko do interesu fakcji, a pozbawiony wrażliwości na interes ogólny; w drugich kaliszanie, grupujący się około Niemojowskich, gubili Polskę, gdzieindziej gubił ją Czartoryski, gdzieindziej cały sejm.

Jakże to się dzieje, że z narodu tak kryształowego wypływają wciąż na wierzch najlichsze figury? Głupstwo oczywiście wierutne!

Raz uderzył go artykuł, do którego podobnych było zresztą dużo, zaczynający się od słów: „Pan Lelewel, wiedziony powodami zemsty osobistej, znosił posady w komisji oświecenia przez niemiłych sobie zajmowane" i wyszczególnione były potem wszystkie uczucia i myśli Lelewela.

Skądże ten pismak wie jakie powody kierowały Lelewelem, jak może odgadywać jego uczucia i myśli?

Znamierowski swe własne rozważać musiał, aby je wyrozumieć, ten zaś o uczuciach i myślach obcego sobie człowieka mówił jak o rzeczach materjalnych, mających swój kolor, objętość i wagę. Dotknął się ich, zmierzył i zważył.

Ten dziwny stwór ferujący wyroki, umiejący wywrócić na nice duszę każdego obywatela, odgadnąć wszystkie jej intencje, objawić najgłębsze jej tajemnice, nazywa się „opinją".

Brał Nowy Testament, przywieziony z Paryża i czytał słowa Chrystusa:

„Kto z was jest bez winy niech rzuci na nią kamieniem".

I ludzkość, dziewiętnaście wieków powtarzając te słowa, wytworzyła „opinję".

Czasem Róża siadała naprzeciw jego fotelu, mówili z sobą wtedy o rzeczach obojętnych, albo o wypadkach politycznych.

Wszyscy klubiści, przyjaciele Róży, byli w wojsku — Mochnacki, Gurowski, Czajkowski, Goszczyński, Nabielak.

Wiadomości wojskowe przynosił mu Hauke. Nieprzyjaciel gotował się do przejścia Wisły, lecz wszystkie jego plany zawczasu były popsute, wierzono, że nie potrafi tego uskutecznić, w jego szeregach szerzyła się ponadto cholera.

Minęła już pierwsza połowa marca, drzewa pod oknami Znamierowskiego puszczały pąki, rana goiła

się prędko, liczył czas, kiedy będzie mógł powrócić do wojska. Bał się, aby działania wojenne nie zaczęły się bez niego.

Był to śliczny rozpoczynającej się wiosny dzień, gdy Róża z uśmiechem weszła do jego pokoju.

— Moskale cofnęli się z pod Pragi — rzekła.

Znamierowski poczuł się nagle zdrowym, chciał jechać w tej chwili do naczelnego dowództwa, przewidywał pościg, zaufał sobie jednak zanadto — siły go opuściły.

Wieczorem z temi samemi wiadomościami przyszedł Hauke. Zapewnił Znamierowskiego, że wódz naczelny o pościgu nie myślał, ale że dalszy ciąg wojny jest nieunikniony, pertraktacje bowiem z Dybiczem zawiodły. Podczas tej rozmowy Znamierowski postanowił, że poczyni starania, aby się dostać do korpusu Dwernickiego.

Sposobność nadarzyła się niebawem. Znamierowscy otrzymali zaproszenie od Skrzyneckiego, który podejmował przybyłego z Francji jenerała Ramorinę.

Pierwszy raz od wyjścia ze szpitala opuścił Znamierowski pokój.

Z trudnością przedostał się przez tłum jenerałów i dostojników do naczelnego wodza.

— A, pan Znamierowski! — rzekł Skrzynecki — jakżeż zdrowie?

— Dziękuję panu jenerałowi, o tyle dobrze, że mogę wrócić do służby. Byłem adjutantem jenerała Chłopickiego.

Skrzynecki uśmiechnął się łaskawie. Oczy jego zdawały się mówić: dobrze, dobrze, zostaniesz moim.

— Jenerał Chłopicki nie wraca do wojska, jeśli więc pan jenerał nie dałby mi innych rozkazów, to prosiłbym o przeniesienie mnie do korpusu jenerała Dwernickiego.

Uśmiech znikł z twarzy Skrzyneckiego.

— Dobrze — rzekł sztywno — wybiera się tam Wysocki. Pojedziecie razem. A propos, pan jesteś przedstawiony do krzyża.

Znamierowski skłonił się, Skrzynecki odwrócił się do Ramoriny.

Był to krępy, niski mężczyzna, o rysach południowych. Widać było, że zdaje sobie sprawę z wagi swej osoby i swego przybycia. Mówił z wysoka, protekcjonalnie, nie zniżając się do dyskusji.

Zabrzmiały na fortepianie dźwięki „Warszawianki" i jej śpiew po francusku.

Wszystkich oczy obróciły się na Ramorinę, słuchał uroczyście, pochyleniem głowy przyjmował hołd sobie składany i w tłuste, czarnym włosem obrośnięte ręce, bił brawo.

Znamierowski cofnął się z kilkoma oficerami do bocznego salonu. Zapalono cygara.

— Ten Ramorino jakiś korpus u nas obejmie? — spytał.

— Z pewnością — odparł kapitan Roszlakowski. — Wielkie tu do jego talentów przywiązują nadzieje. Pierwsza pomoc Francji — uśmiechnął się.

— I bodaj jedyna — rzekł Hauke.

— Nie — wstrząsnął głową Walewski — jest jeszcze pan Biret.

— Cóż to za jeden? — spytał Znamierowski.

— Nie widziałeś go, ten w okularach, co rozmawiał z Małachowskim.

— Czegóż on chce?

— Obiecuje pożyczkę francuską i belgijską i stara się dostać zamówienia na zakup broni.

— Aha!

W progu ukazał się Skrzynecki. Zerwali się na równe nogi.

— Panowie oficerowie tu na cygarach — a dam nie ma kto bawić. Ładnie to?!

— To przez spółczucie dla Znamierowskiego — rzekł Roszlakowski — bo mu wzbroniono wzruszeniom ulegać.

— Czemuż to? czy że żonaty?

— Nie, ale że postrzelony.

Skrzynecki zaśmiał się z kalamburu.

— Cóż znowu? Ranny, interesujący, wiem coś o tem — pogroził mu palcem i wyszedł.

— Cóż on wie? — Znamierowski wzruszył ramionami.

— Rozkaz rozkazem — rzekł Hauke—chodźmy.

Znamierowski nie czuł ochoty do bawienia dam, ani do rozmowy. Kręcił się po salonach osamotniony, dostrzegł Różę w otoczeniu oficerów, chciał się przybliżyć, i nie przybliżył się.

Przemknęła koło niego Łubieńska.

Przywitał się.

— Nie widzieliśmy się od wieczoru u Czartoryskich. Pan był ciężko ranny pod Grochowem?

— Nie ciężko, raczej boleśnie, jak pani widzi podniosłem się prędko.

— Blady pan.

— Pierwszy raz wyszedłem z domu.

— Panie majorze — rzekła, zawahawszy się — niech pan mi opowie, jak to było pod Grochowem.

Czeka odemnie rehabilitacji męża, pomyślał.

— Trudno mówić w tym tłoku.

— Przejdźmy do tamtego salonu — nie ustąpiła.

— Więc, jak to było? — spytała, siadając na kozetce i wskazując mu fotel naprzeciw.

Opowiedział bitwę grochowską, nie wspominając o Łubieńskim, ani o Krukowieckim.

— Bitwa nie była do wygrania? prawda? — zapytała, gdy skończył.

— Była — zaprzeczył.

— Cóż wywołało odwrót? Ustąpienie z pola Chłopickiego?

Żółć się w nim poruszyła . Pocóż ma taić prawdę, skoro ona najwidoczniej pragnie ją poznać.

— Gdy Chłopicki został ranny — rzekł — położenie już było ciężkie, chwila zwycięstwa zdawała się mijać.

— Cóż więc było powodem? — spytała.

— Nieposłuszeństwo jenerałów — odparł.

— Krukowieckiego i mego męża?

— Tak.

Zamilkła.

— Mąż mój mówi, że w tem położeniu jazdy nie mógł użyć — napomknęła po chwili.

— W tem ja sędzią nie jestem.

— Czy pan wie o projektach, tyczących się księcia Reichstadtu? — zmieniła rozmowę.

— Nic nie wiem.

— Chcą mu tron ofiarować.

— Jaki tron?

— Polski.

— Kto?

— Minister spraw zagranicznych powziął taki projekt, bardzo się do niego przychyla pan Skrzynecki.

— W jakim celu?

— Pan nie ma talentów dyplomatycznych?

— Najmniejszych.

— Ja też niewielkie, ale tłumaczono mi tę rzecz z takim zapałem, że się nią przejęłam.

— Niechże mi ją pani teraz wytłumaczy.

— Książe Reichstadtu jest synem Napoleona...

— Pod tym względem niema, zdaje się, wątpliwości.

— Wnukiem cesarza austrjackiego.

— Zupełnie pewne.

— Więc, widzi pan, ofiarując mu koronę zyskujemy pomoc Austrji, czynimy skłonniejszym do układów Mikołaja. Zadrży on na samą myśl, że dynastja Bonapartych może osiąść na polskim tronie. Gra na dwie strony. Jeśli zwycięstwo nie byłoby pewne, to tym atutem wygrałoby się, co się da, jeślibyśmy pobili Rosję, królem polskim byłby Napoleon I.

— Drugi — poprawił Znamierowski.

— We Francji byłby drugi, u nas pierwszy, króla Napoleona nie mieliśmy przecież.

— I to jest projekt ministra spraw zagranicznych?

— Ministra spraw zagranicznych, wielką ma fantazję pan Małachowski.

— Wie o tym projekcie książe Czartoryski?

— Wie z pewnością, ale mu nie dowierza.

— Ma rację.

— Dlaczego?

— Dla Austrji sprawa naszego zwycięstwa nie jest pewna, gdzież ona Rosji chciałaby się narażać! A potem dynastja Bonapartów to dynastja rewolucyjna, całą mielibyśmy przeciw sobie Europę.

— Nie wiem, czy takie są racje księcia Czartoryskiego.

— Jakieżby były?

— Mówią, że sam o koronie zamyśla.

— Wyznał to przed kim?

— Co znowu! Naturalnie, że nie!

— Skądże więc ludzie to wiedzą?

— Suponują.

Znamierowski roześmiał się.

— Dlaczego pan się śmieje?

— Czytałem niedawno, co myśli pan Lelewel, słyszałem, co myśli pan Skrzynecki, teraz znam myśli księcia Czartoryskiego. Czy nie jesteśmy społeczeństwem jasnowidzów?

— Na tem zasadza się cała sztuka dyplomatyczna.

— Na odgadywaniu cudzych myśli?

— Z pewnością.

— Widziałem w Paryżu kuglarza, który czytał z zakrytych kart.

— Więc co?

— Więc dziwię się, że nie prowadzi on polityki francuskiej.

— Pan żartuje, a to są sprawy poważne.

— Najpoważniejszą sprawą jest pobić Dybicza. Gdybyśmy nie byli cofnęli się z pod Grochowa, jeśliby Chłopicki nieprzyjaciela zgromił, to nie byłoby potrzeba straszyć Mikołaja księciem Reichstadtu.

Spostrzegł, że zrobił jej przykrość i umilkł.

— Jednak Dybicz cofnął się z pod Pragi — rzekła po chwili.

— Gdyby rzeczy poszły inaczej, nie byłby się wcale pod nią rozkładał...

Znowu się spostrzegł, choroba nad nim jeszcze panowała, jeszcze nie był pewny swoich słów.

I, chcąc złagodzić wrażenie, rzekł

— To nie jest wojna zwyczajna, siły są przeważające, nie wszyscy czują, że trzeba mieć w niej determinację taką, jaką mieli napadający na Belweder.

— Ci mieli determinację — potwierdziła.

— Mieli ią belwederczycy, miał ją Łukasiński i Krzyżanowski.

Nazwisko Krzyżanowskiego wymienił z intencją, śledząc wrażenie.

— Pan znał Krzyżanowskiego?

— Znałem.
— Ta wojna przyniesie mu wolność? Prawda?
— Powinna przynieść.
Wstała poruszona i przerwała rozmowę.
Nagolewski mówił prawdę, pomyślał — ona także.
Cóż było w tym Krzyżanowskim?
Ani piękny, ani świetny, skromny ubogi oficer. On, Znamierowski, nie przywiązał Róży do siebie, nie przywiązał do siebie żony jenerał Łubieński. I on zachwiał się w Belwederze i pod Grochowem zachwiał się Łubieński. Krzyżanowski nie słabł nigdy.
— Tak, to dlatego.
Miłość jest ufnością. Kobieta instynktem szuka mężczyzny, o którym mogłaby nie wątpić. Róża nie wątpiła o Krzyżanowskim.

X.

Droga była paskudna, błotnista, od ciągłych deszczów rozmokła — istna polska droga. Gdyby, który z Piastów ożył, toby ją poznał, tak jakby i poznał ów lud, co z za ogrodzeń chałup, z przyżb domostw, przyglądał się ciekawie wielkiej, okutej bryce, wiozącej czterech podróżnych.

Przeszły przez Polskę dobre i złe panowania, przeszalały po niej tysiączne zawieruchy, przeleciały nad nią złote orły napoleońskie, wszystko od gruntu, zda się, odmieniło, a szara chłopska masa pozostała ta sama, jak dziki, toporem nie tknięty las, jak — zamarzłe źródło wszystkich cnót i wad narodowych. I drogi pozostały te same.

Mówić z sobą nie można było od ciągłego kolebania się bryki, przechylającej się to w jedno, to w drugie wyboisko. Nagle konie stanęły. Śmignięte batem, szarpnęły dyszel i stanęły znowu.

— No, co tam, Świeczkowski? Co się stało? — zapytał Wysocki.

Świeczkowski zlazł z kozła, zbadał postronki, obejrzał koła. W zaprzęgu wszystko znajdowało się w porządku, tylko konie ciągnąć nie chciały. Wreszcie zrozumiał i zafrasował się okrutnie.

— Nie pojedziemy dalej, panie kapitanie.

— Jakto nie pojedziemy?!

— Koleina za wąska.

— Jaka koleina?

— Koleina nie na nasze koła.

— Co ty gadasz?

— Cztery konie by uciągnęły, dwa nie uciągną.

— Przecież droga nie gorsza od tej, z którejśmy zjechali?

— Z tamtej strony szosy koleina była szersza.

Siedzący obok wachmistrza Świeczkowskiego ordynans Wysockiego, Przekora, zlazł z bryki.

— Tam koleina była szersza — potwierdził.

Wysocki i Znamierowski zeszli także. Istotnie, na drodze wyżłobiony był od chłopskich wozów głęboki ślad. Ten ślad, ową „koleinę", mijały zbyt szeroko rozstawione koła, zapadając się beznadziejnie w grzązką maź.

Stali bezradnie.

Unikali oni traktów głównych, bo choć odziani po cywilnemu, w ziemiańskie burki i maciejówki, wieźli ukrytą pod siedzeniami broń i mundury, w tych zaś okolicach, w pobliżu Zawichosta, nie trudno było natknąć się na buszujące oddziały rosyjskie.

Mrok już zapadał, gdzieś daleko zajaśniało światło.

— Możeby dojechać tam, potem zobaczymy, co będzie — poradził Przekora.

— Jakże dojechać, kiedy konie nie uciągną? — rzekł Znamierowski.

— Trza iść piechtą, to może uciągną.

Rada okazała się dobra, konie, poczuwszy lżejszy ciężar, ruszyły, bryka się powlokła.

— Niech djabli wezmą! — klął, brnąc po kolana w błocie, Wysocki.

Po godzinie spostrzegli, że światło, widziane z oddali, wypada z domu, stojącego na wzgórzu i otoczonego kępami drzew.

— Jakiś dwór — rzekł Znamierowski.

— Skręćże tam — polecił Wysocki. — Kiedy dwór, to może konie do Zawichosta pozwolą doprządz, dowiemy się także, gdzie jesteśmy, wokół ani żywej duszy.

Kilka wielkich brytanów na skrzypnięcie bramy opadło brykę, ujadając. Odpędzał je ktoś ze służby, na ganek wyszedł wysoki, barczysty mężczyzna, z dużemi wąsami.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Toć pan major Znamierowski! — zawołał.

— Pan Nagolewski! — poznał recytatora Alpuhary z wieczoru u Czartoryskich Znamierowski.

— I jeśli oczy mnie nie mylą, sam pan kapitan Wysocki!

— Jakimże cudem? — spytał Wysocki.

Ale Nagolewski palec położył na ustach.

— Cicho! moskale w domu.

— Moskale?

— Cicho! Dokąd jedziecie?

— Do Zawichosta.

W dwuch słowach opowiedzieli swą przygodę.

Nagolewski zamyślił się.

— Konie każę wziąć do stajni, a was wprowadzę od tyłu, do pokoju panny Jadwigi. Tędy nie można, siedzą w salonie.

— A pan, co tu robisz?

— Potem, potem... Cicho na miły Bóg!

Panna Jadwiga Ołtarzewska, córka właścicieli Bielawki, siedziała nad książką. Nie czytała. Oczy jej w zamyśleniu błądziły po literach, nie chwytając wyrazów. Wprowadzeni przez Nagolewskiego do tego panieńskiego pokoju, oficerowie zatrzymali się w progu, nie śmiąc iść dalej.

— Panno Jadwiniu — rzekł Nagolewski — anibyś pani zgadła... Patrzaj pani, to kapitan Piotr Wysocki, twórca powstania, a to adjutant Chłopickiego, major Znamierowski. Co tu teraz robić? Moskale w domu!

Pannie Jadwidze źrenice rozszerzyły się i rumieńce pokryły policzki.

— Wysocki! — krzyknęło jej w piersi. — To on!

Wysocki dostrzegł wzruszenie i zarumienił się także.

Piękna jak anioł, aż jasność od niej bije, pomyślał, i uradował się, że tu przybył i że ją pierwszą ujrzał.

Sumitować się zaczął, że kłopot sprawił, prosił, pragnąc w duchu, aby się nie zgodziła, o pożyczenie koni do Zawichosta, a odjadą w tej chwili, lecz panna słuchać nie chciała.

Noc, ciemno, droga szkaradna, przenocują, odpoczną, ona już tak urządzi, że nikt ich nie spostrzeże, oficerowie rosyjscy odjadą jutro ze świtem, poczem oni będą mogli udać się w dalszą drogę bezpiecznie.

— Trzeba wam wiedzieć, że i ja tu udaję sąsiada, inaczej, gdyby się domyślili — gardło — rzekł Nagolewski.

— Właśnie, co pan tu robisz? spytał Wysocki.

— Z polecenia rządu jadę na Wołyń.

— Pan?!

— Ja!

— I czegóż pan tu siedzisz?!
— Wstąpiłem po drodze do dawnych przyjaciół.
— Dawno pan tu gościsz?
— Coś blizko tydzień, odparł niewyraźnie Nagolewski.
— A dużo tu tych moskali? — spytał Znamierowski.
— Dwóch.
— Dwóch? Myśleliśmy, że pułk cały, takeś pan dygotał. Cóż to za jedni?
— Jeden kapitan, nazywa się Michajłow, wyjaśniła panna Jadwiga, drugi porucznik — Anuczyn. Według mnie, z misją jakąś jadą.
— A toć puścić ich nie można! — zawołał Wysocki.
— Oczywiście, że nie można — rzekł Znamierowski.
Nagolewski zbladł.
— Co chcecie zrobić?
— Zaaresztujemy ich i odwieziemy do Zawichosta, pan też pojedzie z nami — odpowiedział Wysocki.
— Zaaresztujecie?
— Zaaresztujemy.
— Jak ich zaaresztujecie?!
— Zobaczysz pan!
Nagolewski chwycił się za głowę.
— Dom cały narazicie. Nas wszystkich! — wyrzekał.
— Cóż mamy robić? Jeśli ekspedycje wiozą, musimy je przejąć, nie wolno nam uczynić inaczej — mówił Wysocki, patrząc na pannę Jadwigę.
Zrozumiała, że czekał od niej aprobaty.
— Nie mogą panowie uczynić inaczej — potwierdziła.
— A widzisz pan — uradował się Wysocki —

pani tak samo tę rzecz pojmuje. Niechże pani wybaczy, jeśli spokój tego domu na chwilę zakłócimy — teraz takie czasy. Zaprowadź że nas pan w podwórze, abyśmy odnaleźli swoich ludzi.

— Muszą być w stajni przy koniach — wymówił się Nagolewski.

— Pan Nagolewski chce mieć sumienie czyste, roześmiał się Znamierowski — zostań pan, trafimy sami, ale pan nie ostrzeżesz tych oficerów co?

— Co też pan major!

— Nic, tak dla przestrogi.

Kiedy wyszli, Nagolewski padł na krzesło.

— Co to będzie? — jęknął.

— Niech pan idzie do salonu to pan zobaczy.

— Za nic na świecie, w oczy bym spojrzeć nie śmiał tym ludziom.

— Moskale!

— Moskale nie moskale, ale to zdrada!

— Niema zdrady, jest wojna. Pan sam powinien był ich aresztować, skoro pan jest wysłańcem rządu.

Nadsłuchała.

Zobaczy ten Anuczyn! Jest tu dopiero dzień, a patrzy na nią jak rozmodlony wilk. W głębi duszy panny Jadwigi palił się płomień jego oczów. Nie mogła go zgasić, obrażona była i zła.

— Idą — rzekła.

W oświetlonym saloniku, zdobnym w tradycyjne portrety Kościuszki i Poniatowskiego, kapitan Michajłow bawił rozmową panią Ołtarzewską. Słuchała go z uprzejmym, jednostajnym, jakby zamarłym na ustach uśmiechem, kiwając potakująco głową. Ołtarzewski milczał, porucznik Anuczyn spoglądał co chwila niespokojnie na drzwi, czy nie ukaże się panna Jadwiga.

Wtem drzwi otworzyły się raptownie, z szabla-

mi przy boku stanęli w nich Wysocki i Znamierowski, Świeczkowski i Przekora zmierzyli z krucic do rosyjskich oficerów.

— Aresztuję panów, — rzekł Wysocki.

— Zdrada! — krzyknął, porywając się z miejsca Anuczyn.

— Nie ruszać się — przestrzegł Wysocki — bo każę strzelać.

Zrewidować ich!

Tu wraz z Znamierowskim chwycił za kark chcącego zemknąć Michajłowa.

Świeczkowski przytrzymał Anuczyna. Przekora przeszukał mu kieszenie, nie znalazł nic. Skrępował go i przystąpił do zrewidowania drugiego.

Niebawem znalazł na nim opieczętowaną kopertę, zaadresowaną do feldmarszałka Dybicza.

— Otóż to czego szukamy, — ucieszył się Wysocki.

Michajłow spuścił z rezygnacją głowę.

— Stało się — rzekł.

— Jeśli pan dasz słowo honoru — zwrócił się do niego Wysocki, — że uciekać nie będziesz, to wiązać nie każę.

Pojedziesz pan z nami do Zawichosta.

— Jakżeż uciekać? Ucieczka niepodobna, jesteśmy w waszych rękach, niech będzie. Słowo honoru.

— A pan, spytał Wysocki Anuczyna, dasz pan słowo honoru?

— Nie — odrzekł Anuczyn.

Wysocki spojrzał nań z szacunkiem.

— Żałuję, że nie mogę kazać pana rozwiązać, nawet będę musiał dać straż. Jakżeście się z takimi papierami puścili bez eskorty?

— Zdawało się, że będzie bezpieczniej — odparł Michajłow. — A was kto uwiadomił?

— Nikt, przypadek.

— Wy z Zawichosta?

— Nie, do Zawichosta.

Przeprowadzono dalszą rewizję, odebrano broń. Wysocki otworzył kopertę.

Był to list od jenerała Tolla. Toll donosił Dybiczowi, że stoi z całym korpusem na lewym brzegu Wieprza, że zamierza przejść na prawy brzeg, podsunąć się pod Zamość, zetrzeć Dwernickiego lub wpędzić go do fortecy.

— Nie można z tem czekać, — rzekł Wysocki, pokazując pismo Znamierowskiemu. Jutro, skoro świt — w drogę!

Tymczasem Anuczyn przeprowadzony został do osobnego pokoju. Drzwi zamknięto na klucz, za drzwiami stanął Przekora. Anuczyn szarpnął więzy, ani sposobu! Związany był silnie, sznur wrzynał mu się w ręce. Usiadł na łóżku i obejrzał uważnie pokój. Podwójne okna zabite były jeszcze na zimę i zasłonięte okiennicami, w rogu stała wypełniona szafa bibljoteczna, koło pieca leżał pogrzebacz, na stole paliła się świeca. Anuczynowi oczy błysnęły z radości. Ani ci, którzy świecę nieostrożnie zostawili, ani on sam nie dostrzegł odrazu, czem ona stać się mogła w jego położeniu. W głowie Anuczyna powstał i w jednej chwili dojrzał plan. Zapłacą za zdradę! Był przekonany, że to panna Jadwiga dała znać do Zawichosta o ich pobycie. Polka! Zełgali, że przybyli tutaj przypadkiem i że do Zawichosta przyjechali umyślnie. Polka! — syknął z wściekłością.

Ręce związane miał w tył, odwrócił się więc plecami do świecy i sznury przyłożył do płomienia. Po chwili był wolny. Resztki więzów zdjął teraz z łatwością, obejrzał poparzeliny, dokuczliwe były, ale nie straszne, grube supły postronków osłoniły go jako tako. Znowu spojrzał na okno. Nie, tędy nie wydo-

stanie się, nie odbije okna bez hałasu, a za drzwiami stoi ten polski zbir. Powrócił do pierwotnego planu.

Podłożył ogień pod książki w szafie, potem pod łóżko i, uzbroiwszy się w pogrzebacz, przyczaił się za drzwiami.

Ogień buchnął gwałtownie, półki w szafie trzasnęły i zawaliły się.

Przekora z krzykiem wpadł do płonącego pokoju.

Na to czekał Anuczyn.

Co siły w ramieniu zdzielił go między oczy pogrzebaczem, skoczył do sieni, po drodze nawinął mu się Nagolewski, trzasnął go przez łeb, wpadł w ogród, usłyszał dawane za sobą strzały — jeden, drugi, trzeci, przeskoczył płot, był w pustem, czarnem polu.

Przystanął, obejrzał się.

Czerwony ogień rósł w oczach, wyrzucając w górę kłęby dymu. Łuna oświeciła horyzont, dwór w Bielawce palił się jak snop.

Dzika uciecha weń wstąpiła. Dochodził go krzyk, gwałt i lament. Zamiast uciekać w pola, szukać drogi do swoich, podkradł się z powrotem do ogrodu. W głowie czuł szum, taczał się na nogach, jak pijany. Dom otoczony był masą ludzi, wynoszących rzeczy, lejących wodę, rąbiących zajmujące się krokwie. Wśród ratujących dostrzegł Michajłowa.

— Dureń! — mruknął — bałwan!

Skrył się za drzewem i patrzał.

Zobaczył pannę Jadwigę. Biegła w głąb sadu, aby tam, zdala od płomieni, złożyć jakieś rzeczy drogocenne.

Serce zabiło mu w piersiach, w głowie zakrążyło się jeszcze bardziej, czerwone płaty przeleciały przed oczyma.

Jednym tygrysim skokiem był przy niej i chwycił ją w pół.

Krzyknęła, chciała się wyrwać, ale obezwładniona została żelaznym uściskiem.

Podniósł ją w górę i rozpalone wargi przyłożył do jej ust.

Chwyciła go za włosy, wpiła mu w twarz paznokcie. Śmiał się.

— Jak panu nie wstyd! Żołnierz pan! Oficer!

— Moskal jestem! — zachichotał.

— Puść mnie, łotrze!

— Później, nie teraz.

— Ratunku! — krzyczała — ratunku!!

Rzucił ją na ziemię i dłoń położył jej na ustach. Głos jej rozpłynął się wśród gwaru głosów, zlał się w jedną nutę z innemi. Odróżnił go jednak, dosłyszał Wysocki. Pociągnąwszy Znamierowskiego, pobiegł w tę stronę. Do uszu ich doleciały kobiece pomstowania. Panna Jadwiga zerwała się z ziemi i szamotała w objęciach Anuczyna.

Krew zakipiała w Wysockim, pałasz, dobyty z furją z pochwy, mignął jak błyskawica.

Anuczyn puścił pannę Jadwigę i ręce podniósł w górę.

— Bez broni jestem — rzekł.

Możeby Wysocki na to nie zważał, możeby mu jak zwyczajnemu zbójowi głowę rozwalił, na widok jednak drżącej panny przeważyła w nim chęć stoczenia o nią boju w jej oczach.

— Daj mu swoją szablę — rzekł do Znamierowskiego, a do Anuczyna

— Bić się z tobą będę, chociażeś podpalacz.

— Bić się z tobą będę — odparł Anuczyn — chociażeś...

— Chociażem co? — spytał drwiąco Wysocki.

— Jeśli nie padnę, odejdę wolny? — spytał Anuczyn.

— Kondycje pan stawiasz!

— Nie mając tego zapewnienia, będę wolał paść w pojedynku, niż zostać rozstrzelany. Będziesz się pan bić bez ryzyka.

— Jeśli nie padniesz, pójdziesz wolny — zgodził się natychmiast Wysocki.

Anuczyn stanął w pozycji.

— Chciałbym wiedzieć, z kim się biję. Sergiej Sergiejewicz Anuczyn, porucznik kirasjerów — przedstawił się.

— Wysocki Piotr.

— Wysocki Piotr?! Ten, który?!...

— Ten sam.

Szabla, jakby się zdawało nie wypadła z ręki Anuczynowi. Rozparła się w nim wielka duma, że ma się zmierzyć z twórcą powstania. Jeśli zwycięży, imię jego zasłynie jak Rosja długa i szeroka, okryje się chwałą nieśmiertelną. Pomści hańbę swego narodu, którego wojska ten właśnie człowiek wygnał z Warszawy, który do ucieczki zmusił brata cesarza.

Natarł z wściekłością.

W czerwonych blaskach palącego się domu zdawali się być oblani krwią. Jasność przeświecała ogród tak, że znać było każdy listek, każde źdźbło trawy. Panna Jadwiga z zapartym oddechem śledziła ich walkę, błysk ich szabel. Wiedziała, że o nią się biją. Nie o ten palący się dwór, nie o Polskę nawet, tylko o nią.

Wysocki spokojnie wstrzymał natarcie. Nie uczynił kroku w tył, ani kroku naprzód, lekkiem niedbałem prawie poruszeniem, odbijał cięcia po cięciu, studjował przeciwnika, jego metodę.

Nie takich uczyłem, jak on, myślał, przypominając sobie instruktorstwo w szkole podchorążych.

Poczuł jego przewagę Anuczyn, poczuł, że ma do czynienia z uczonym fechtmistrzem, z mistrzem nad mistrze. Zrozumiał, że sztuką go nie weźmie, że

szczęścia może szukać jedynie w pasji, co rozsadzała mu kości i grała w żyłach.

Cisnął się w tył i skoczył jak oszalały kot.

Wysocki odbił, uderzył.

Szable krzyżowały się teraz z taką szybkością, że czyniły jedną, błyszczącą, jakby w wietrze trzepocącą się wstęgę. Szczęk stawał się coraz bardziej nieprzerwany, coraz bardziej złowrogi.

Wysocki nie korzystał z drobnych omyłek, ze złożeń się nie dość zręcznych. Mógł dziesięć razy ranić Anuczyna — nie ranił. Czekał na jeden cios — stanowczy i skuteczny. Bili się wciąż bez zadraśnięcia.

Naraz szabla Wysockiego zatoczyła krąg i świsnęła złowrogo. Anuczyn zwalił się. Nogi w przedzgonnych, konwulsyjnych drgawkach, kopały ziemię, krew lała się potokiem z ust. Nie żył.

Wysocki otarł szablę o połę surduta zabitego i nachylił się nad nim.

— Nie żyje — rzekł.

— Nie żyje — powtórzył Znamierowski.

Piękna i dzika głowa Anuczyna zniekształcona była potwornie. Szabla Wysockiego przecięła mu skroń, rozłupała podniebienie i zatrzymała się na zębach, oczy wyszły z orbit, na miejscu nosa wyrósł olbrzymi, krwawy guz.

Dwór się dopalał.

— Chodźmy — rzekł Wysocki — trzeba powiedzieć Michajłowowi, co się stało.

Spojrzał na pannę Jadwigę, drżała jak w febrze, chciał coś rzec, ale nie mógł znaleźć słów.

Wyniesione z domu rzeczy rozłożone były aż pod bramę. Na stosach pościeli leżały futra, na fortepianie, w przezornym pośpiechu nakrytym dywanem, stały garnki i rondle, na krzesłach poniewierała się bielizna.

Służba strażowała tych rzeczy, dzierżąc pałki i kije, wieś cała się zbiegła, psy wyły rozpaczliwie.

Wysocki odszukał Michajłowa.

— Anuczyn zabity — rzekł.

— Kto go zabił?! Gdzie! Jak?! — krzyknął Michajłow.

— Ja, w pojedynku.

— W pojedynku?! O co?! Czy on nie uciekł?!

— Nie, zaczaił się w ogrodzie, tam go wyzwałem.

— O co?

— Obraził mnie.

— Jak obraził?

— Rzekł słowo, które mi się nie podobało.

— I pan go zabił?!

— Zabiłem.

— Za jedno słowo?!

— Mniejsza o to — wmieszał się do rozmowy Znamierowski — dość, że zabit. Miał szczęście, bo mógł wisieć — podpalacz. Chcieliśmy pana, jako jego kolegę, zawiadomić i trupa zakopać. — Opowiedział spotkanie, jak użyczył swej szabli i jak był świadkiem. Ołtarzewskim nie trzeba mówić nic, i tak dosyć nałykali się strachu i zmartwienia. — Najlepiej aby poza nami nikt o tem nie wiedział.

Michajłow pokiwał głową. Przyszło mu na myśl, że jedyny świadek małodusznego oddania się w ręce polaków zginął. Westchnął nad jego śmiercią i zgodził się ze Znamierowskim.

— Najlepiej, aby nikt o tem nie wiedział. Zdam raport, że uciekł i tyle, a ja siłą zostałem przytrzymany.

— Jeśli zdasz raport — rzekł z powątpiewaniem Wysocki.

— Bo co? — zapytał z lękiem Michajłow.

— Nie wrócisz przed końcem wojny do swego pułku.

Michajłow uspokoił się.

— Będzie, jak Bóg da — odparł.

— A więc pozostanie to przy nas — powtórzył Znamierowski. — Musimy jednak do tajemnicy dopuścić naszych żołnierzy, bo trzeba, aby wykopali dół.

Poszedł po Przekorę i Świeczkowskiego. Wysocki wrócił do panny Jadwigi. Była przy rodzicach, ale odprowadził ją z łatwością, gdyż Ołtarzewski wydawał rozporządzenia, a ona doszukiwała się, co się spaliło, a co zostało ocalone.

— Nie wiem, jak się pani na oczy pokazać po tem, co się stało — rzekł. — Dom spalony, w ogrodzie trup.

Otarła łzy.

— Czyż to pana wina?

— A czyja?

— Wina niczyja, nietylko my cierpimy.

— To pani nie ma do mnie nienawiści ani wstrętu po tem, co pani widziała?

— Po czem?

— Że go tak w oczach pani posiekłem?

— Nie zdradą go pan wziął, ani podstępem i w mojej obronie.

— To mnie pociesza, że o panią — głos Wysockiemu się załamał — że człowieka, który na panią rękę podniósł... Żołnierz jestem — mówił ze wzruszeniem — słów nie potrafię dobierać, ale to powiem, że gdyby mi przyszło dla pani z piersi serce wyjąć, tobym wyjął, jeno bałbym się, czy paniby przyjęła.

Uśmiechnęła się poprzez łzy.

— Nie.

— Takim pani niemiły?

— Miły mi pan —

— Czy może być? Czym się nie przesłyszał?

— Miły — szepnęła.

Wysocki podniósł oczy w górę. W ciężkiem swem życiu, w samotności kwater żołnierskich marzył o uczuciu kobiecem. Zdawało mu się, że wielkie szczęście się tworzy, że płynie nad nim między gwiazdami.

Pochylił się ku pannie Jadwidze i ręce jej przycisnął do ust.

Gdy tak z sobą mówili, kopano pod płotem dół dla Anuczyna.

Świeczkowski obejrzał ranę ze znawstwem i uznaniem.

— Pięknie go kapitan ciął, ani nie musiał zipnąć.

Ułożono trupa w dole, Michajłow przeżegnał się i ręce złożył.

Odkryli głowy.

— Taka to żołnierska dola — westchnął.

— A taka — potwierdził Świeczkowski.

— Młody on był i ognisty jak kozacki koń — zaczął coś w rodzaju oracji Michajłow. — Chwat był. Zastanowienia nie miał, ale był chwat. Nie patrzał, co przed nim stoi, ani za nim; nie wiedział, co można a czego nie należy. Chwat był, szkoda go.

— Toteż zginął, jak się patrzy — rzekł Świeczkowski.

XI.

Ledwo świt błysnął, kazał Wysocki zakładać; do Zawichosta jechała także Jadwiga z matką. Miały tam krewnych, gdzie Ołtarzewski postanowił je umieścić, nimby dom stanął, sam narazie lokował się w oficynie, zawalonej wyniesionemi z pożaru sprzętami tak, że palca nie było gdzie wrazić.

Pretensja patrzyła z oczu staremu. W słowach jej nie wyrażał, przeciwnie, na sumitowania odpowiadał: „Cóż robić?", „stało się", „wola Boża", ale w akcencie mu brzmiało: „Bodaj was jasne pioruny!"...

Wielce także markotny był Nagolewski. Głowę miał obwiązaną i klął Anuczyna.

— Tak się odpłacił za gościnność opryszek! Gdyby mi w ręce wpadł — na gałąź! Poznałby mnie! Anibym okiem nie mrugnął. Na gałąź i basta! Bez długiego gadania!

Więcej jednak, niż siniec nabity na czole, dolegał Nagolewskiemu mus opuszczenia Bielawki i dopełnienia swej misji. Gdyby nie Znamierowski i Wysocki, możeby powstanie tu przesiedział, teraz zaś wymówić się nie mógł, ani opóźnić. Niepotrzebnie się przed nimi wygadał! O misję tę, dla nadania sobie znaczenia, sam napraszał się w Warszawie, nie przypuszczając, aby została mu powierzona, tymczasem w pewnej chwili przypomniano sobie jego ochotę i wyprawiono w drogę. Rad nierad musiał wyruszyć.

Niepokoił się okrutnie.

— Czy droga na Wołyń bezpieczna? jak myśli pan kapitan? — pytał Wysockiego.

— Dwernicki panu powie i da z pewnością instrukcje — zbywał go Wysocki.

Wysocki i Znamierowski zabrali Michajłowa i ruszyli przodem. Przybywszy do Zawichosta, zameldowali się natychmiast do stojącego tam jenerała Sierawskiego.

— Dwernicki stoi pod Zamościem — powiadomił ich Sierawski. — Cholerę ma w obozie. Dlatego to ja z nim się nie łączę. Mam zresztą rozkaz trzymania się tutaj. Komunikacje okropne, cud, żeście się przedostali. Sztafety, które adresujemy do Warszawy, pocztmistrze manowcami przez baby wiejskie przesyłają. Jeńca waszego zatrzymam, ale wy po-

jedziecie chyba zaraz. Dwernicki powinien wiedzieć, co mu grozi od Tolla.

— Oczywiście, pojedziemy zaraz — odrzekł Wysocki.

Pragnął on doczekać się powozu, wiozącego Ołtarzewskie i Nagolewskiego, ale zwlekać nie mógł.

Wsiedli na konie i puścili się ku Zamościu. Zbliżając się ku miasteczku, spotykać zaczęli gęsto wysyłane stamtąd patrole. Od nich dowiedzieli się, że forteca w zupełności niemal zamieniona jest na szpital dla cholerycznych. Miejsca już dla chorych brakowało, po kilkudziesięciu dziennie przysyłano ich z korpusu Dwernickiego, śmiertelność panowała ogromna. Mimo to komendant twierdzy, pułkownik Krysiński, umiał utrzymać wojennego ducha w załodze, organizować wycieczki przeciw piechocie rosyjskiej w Uściługu, przeszkadzając jej w połączeniu się z korpusem Kreutza, który zajmował województwo lubelskie.

Patrole te różniły się od wojsk, znajdujących się pod Warszawą, nie czyniły nawet wrażenia armji regularnej, broń była rozmaita i rynsztunek na koniach ladajaki, przy niektórych kulbakach wisiały strzemiona z powróseł skręcone.

Wrażenie to powiększało się z przybyciem do obozu. Obok karabinów flinty myśliwskie, obok bagnetów kosy, mundury zniszczone, zdarte, mnóstwo bekiesz i kurt myśliwskich, konie wychudzone, często niepodkute.

Wysockiego uderzyła wielka ilość armat, ustawionych rzędem, przeróżnego kalibru.

— Skąd armat tyle macie? — spytał żołnierza, wskazującego drogę do kwatery Dwernickiego.

— Wzięte na nieprzyjacielu — odpowiedział żołnierz. — Ale kanonierów brak.

Jenerał Dwernicki znajdował się w towarzystwie

swego adjutanta, Anastazego Dunina i kapelana korpusu, księdza Puławskiego.

Był to człowiek już stary, siwy, z krótko przystrzyżonemi i do góry podkręconemi wąsami, bardzo niski i bardzo otyły, co mu dawało figurę kwadratu.

Podniósł się na widok przybyłych.

— Zaszczyt to dla mnie niemały — że wódz naczelny raczy mi przysyłać tak znamienitych rycerzy. Witam, sercem całem witam!

Wysocki wręczył mu list od Skrzyneckiego. Dwernicki, w miarę, jak list czytał, czerwieniał. Krew zalewała mu policzki i kark, sapał, jak miech.

— To być nie może! — krzyknął, ciskając papier o stół. — Pytam się panów, co sobie myśli wódz naczelny?! Co sobie myśli?! — pytam!

Nim zdążyli odpowiedzieć, wybuchnął

— Pisze mi pan Skrzynecki, że macie zrobić raport o stanie korpusu. Ja sam w porządku służby regularnie tego dopełniam! Ja sam!

— Panie jenerale — przerwał Wysocki.

— Ja sam!

Już i Wysocki miał się unieść, gdy z za szerokich barów Dwernickiego, mrugnął nań Dunin, a ksiądz czynił znaki ręką, jakby mówił: „Niech się stary wysapie, dajcie mu spokój".

— Jakżeż to raport?! pytam! — indyczył się dalej Dwernicki. — To znaczy naoczna lustracja korpusu! To znaczy, mam w bębny bić i paradę przed panami robić! Pan Skrzynecki zapomina o względach hierarchji wojskowej! Ja panów najchętniej przyjmuję, ale tylko jako oficerów sztabu, jeśli zaś przybycie wasze ma na celu kontrolowanie moich czynności i działań korpusu, to możecie powrócić do Warszawy, kiedy wam się podoba!

— Panie jenerale — rzekł Znamierowski z wyniosłą uprzejmością, pod którą, jak pod chluśnięciem

zimnej wody, chłodły najgwałtowniejsze impertynencje, — odpowiedź pana jenerała nie tyczy się nas, lecz naczelnego wodza i może znaleźć się w raporcie, który my podejmujemy się zawieźć do Warszawy, jeśli taka jest wola pana jenerała.

Dwernicki zaniemówił i zachwycił ustami powietrza.

Ale Znamierowski, po wymierzeniu sobie satysfakcji, ciągnął dalej

— Co do nas, to w głowie nam nie powstało wojska pana jenerała lustrować. Jedynem pragnieniem naszem było służyć pod rozkazami bohatera z pod Stoczka. Pragnienie to przedłożyliśmy naczelnemu wodzowi i naczelny wódz raczył je uwzględnić.

Ostatnie słowa udobruchały Dwernickiego, pokręcił wąsa.

— Ja wam też wyrzutów żadnych nie robię. Pan Skrzynecki pisze, byle pisać. Nie sądzę, aby przez tak dotykalne naruszenie praw starszeństwa dawał mi dowód nieufności, dlatego też pismo jego cierpliwie znoszę i na oświadczeniu majora Znamierowskiego poprzestaję. Z korpusem zapoznać się możecie. Słaby on co do liczby. Tworzył się, żeby tak powiedzieć, w obliczu nieprzyjaciela, a ciągle wojował i zwyciężał. Gejsmar zniszczony, Kreutz kilka razy pobity, pędzony, dwa tysiące moskala zabitego lub wziętego do niewoli, dwadzieścia trzy działa z kompletnym zaprzęgiem, jaszczykami i amunicją zdobyte, oswobodzone od najazdu całe Sandomierskie i część Lubelskiego. Oto, co zrobiliśmy! Duch w żołnierzu się podniósł, to też znosi on i głód i cholerę, ale położenie ciężkie. Postępując za nieprzyjacielem, natrafialiśmy wszędzie na wsie zrabowane, zniszczone lub spalone, magazynów nigdzie.

— Pan jenerał przykładem jest, jak powstanie należy prowadzić — rzekł Wysocki.

— Wiedz pan, panie kapitanie — wtrącił się do rozmowy ksiądz Puławski, — że duch insurekcji tutaj jest. Tu do wojska wstępuje chłop, formują się pułki kosynierów, tu, wchodząc do prowincji zabranych, kończymy to, coś pan w Warszawie zaczął.

— Pan jenerał ma zamiar przejść Bug? — spytał Wysocki.

— A mam! Czemużby nie? — odparł rezolutnie Dwernicki.

Wtedy Wysocki zdał mu relację z pobytu w Bielawce i oddał listy Tolla do Dybicza.

Dwernicki odczytał je uważnie.

— Toll siły ma znaczne — rzekł — osiemnaście tysięcy. Przyszedł on do Lublina i rozłożył się nad Wieprzem w Izbicy, Tarnogórze i Turobinie. Patrole nasze go odkryły. Cztery razy więcej ma odemnie. Mimo to bitwę gotów jestem przyjąć, bo pozycję mam korzystną.

— Nie przejdzie on Wieprza —rzekł Dunin.

— Nie czytałeś jego listu do Dybicza — odparł Dwernicki. — P'sze wyraźnie, że przejdzie i że mnie zetrze, albo wpędzi do fortecy. Ja bitwę przyjmę.

Poszli do obozu.

Dwernicki szedł między żołnierzami, jak włodarz, albo dziedzic. Każdego znał z imienia i z nazwiska. Z przodu witało go gromkie: „Niech żyje!" a z tyłu, gdy przeszedł, wołano poufale: „Niech żyje wujek!"

— To pana jenerała tak nazywają? — spytał Wysocki.

— A mnie.

Płynął za nimi żołnierski gwar:

— Patrzajcie, do wujka sztabowcy z Warszawy zjechały.

— Przecie to Wysocki, co rewolucję zaczął.

— Wysocki — gadasz?

— Juści.

— Adjutantem u wujka będzie, wujek teraz pierwszy żołnierz w Polsce.

Z dali gruchnął śpiew:

Jedzie wujek, jedzie,
Rabat na nim biały,
Wąsiska pokręca,
By nie opadały!

Patrzą się dziewuchy
Na wujka z za płota
Za nim jadą zuchy,
A w każdym ochota!
A w każdym ochota!

Wujek sobie pasa,
Popuszcza na brzuchu,
I moskala szuka,
Bo mu potrza ruchu!
Bo mu potrza ruchu!

Dwernicki przystanął, pokręcił wąsa.

— To o mnie śpiewają —

Z drugiego końca podjęto, improwizując:

Poznali go niemcy, poznali hiszpanie,
Gdzie jeno się zjawił, tam dostali lanie.
Tam dostali lanie!

Nad wieczór przyjechał Nagolewski, przywiózł Wysockiemu wiadomości o pannie Jadwidze i jej matce, objaśnił, gdzie ich należy szukać w Zawichoście. Przerażony cholerą, śpieszył na Wołyń czemprędzej.

Dwernickiemu gniew wszelki minął, z Znamierowskim i Wysockim zaprzyjaźnił się, przy kolacji się rozgadał.

O sprawie powstania nie wątpił. Poruszy się Wołyń, Litwa i Ukraina; Turcja przystąpi do wojny.

— Bo nie wiecie — zwierzył się — że wysyłam Dunina do jenerała Guileminot, ambasadora francuskiego w Konstantynopolu...

Nagolewski nadstawił uszów.

— W piśmie, które już wygotowałem, wystawiam szczegółowo siły wojska polskiego i donoszę o zwycięstwach nad Dybiczem odniesionych. Kreślę stan armji nieprzyjacielskiej, dążność rewolucji, zapał, ogarniający Litwę i południowe prowincje Polski. Zapewniam o wkroczeniu mego korpusu na Wołyń. Wyjaśniam, że powstanie wywołane zostało nie jakąś rozpaczą, ale poczuciem siły i pewnością zwycięstwa. Tak pisać należy! Proszę więc Guileminota, aby zwrócił uwagę sułtana, że Porta może teraz skorzystać z osłabienia Rosji i wszystkie krzywdy powetować.

— To pan Dunin jedzie z tą ekspedycją? — spytał Nagolewski.

— Dunin, a dlaczego?

— Bo ja dobrze znam Konstantynopol.

— A Krzemieniec pan znasz?

— Nie, właśnie w Krzemieńcu nigdy nie byłem.

— To poznaj teraz Krzemieniec — uśmiechnął się Dwernicki.

— Jedyny obóz w Polsce — rzekł Wysocki do Znamierowskiego, gdy zostali sami— cholera, śpiewy, bitwy, dyplomacja!

— Ale fantazja jest — odparł Znamierowski.

— Jest — potwierdził Wysocki.

XII.

Rad nierad musiał pojechać Nagolewski na Wołyń. Wolał to niż obóz Dwernickiego z grasującą

w nim cholerą, ale żałował Bielawki i zazdrościł Duninowi Konstantynopola.

Konstantynopol! Paryż! Londyn! Wiedeń! Jakiekolwiek miasto, jakikolwiek kraj, zakątek ziemi, gdzie nie byłoby wojny, ani rewolucji i gdzie możnaby było na pożytek ojczyzny obrócić przyrodzone talenty. Nagolewski miał się za urodzonego ambasadora.

Prezencja!

Znać go było, gdy wchodził, widać go było, gdy siedział. Fizjognomja polska, z wąsem. Wąsy wogóle by.y już niemodne, a w dyplomacji zgoła nie uchodziły, lecz właśnie dlatego noszenie ich świadczyło o niezależności charakteru i było symbolem niezawisłości duchowej. Przytem jedna rzecz, napozór mała, a jednak... Przy podkręceniu wąsa można błysnąć sygnetem, wylegitymować się za granicą w sposób dyskretny z swego szlachectwa, przy ogolonym pysku trzeba łapę trzymać na stole, aby to widziano. A więc, myślał Nagolewski, pierwszy kardynalny warunek — prezencja — jest!

Zalety towarzyskie.

Znała je cała Polska. Deklamował, śpiewał i grał. Na klawikordzie, na gitarze i w karty. W karty grałby z Talleyrandem, a na instrumentach wygrywałby pani Liewen. Żona rosyjskiego ambasadora w Londynie. Osoba znana z swych wpływów, więcej znacząca niż mąż. Tam udaćby się należało, tam w promieniach niewieściego serca zacząć wielką intrygę. Udać miłość, jeśli trzeba. Tak postępuje Metternich. Potrafiłby i on. A więc drugi kardynalny warunek — zalety towarzyskie — są!

Sztuka kulinarna!

Nie byle co! Umiejętność ułożenia *menu*, wiadomość, jakie wino przy jakiej pije się potrawie, to cała nauka, to z edukacji towarzyskiej i przynależno-

ści do wielkiego świata taka legitymacja, jak ze szlachectwa sygnet na palcu. A więc znajomość sztuki kulinarnej jest. Taki Dunin, czy on jadł kiedykolwiek ostrygi?!

Znajomość języków.

Umiał po francusku i wojażował. Był we Francji, w Niemczech, we Włoszech i Turcji. Raz dobrał go sobie za towarzysza Radziwiłł, raz Potocki. I oto z takiemi kwalifikacjami wyambasadorował się na Wołyń. Niech djabli wezmą!

Jedna okoliczność pocieszała Nagolewskiego. Na Wołyniu, Podolu i Ukrainie miał on znajomych, dawnych przyjaciół i nawet jakichś krewnych dalekich. Przesiadywał u nich w swem życiu bezdomnem i najlepsze wyniósł stamtąd wspomnienia.

Bo bezdomnym był Jan Nagolewski. Stało się tak, że życie całe trzymał się pańskiej klamki, a raczej pańskich klamek. Rezydentem stałym u nikogo nie był, lecz zawsze u kogoś rezydował, stąd nabrał obycia i sprytu bywalca. Wyrywano go sobie, starano się o niego jak o pannę, goszczono i rozpaczano, gdy zaproszony gdzieindziej wyjeżdżał. Sama jego obecność wnosiła wesołość, rodziła śmiech. Był ozdobą stołów ucztujących, toasty wnosił wierszem, anegdotami sypał jak z rękawa, znał się na koniach, polowaniu, leczeniu, polityce i literaturze.

W obyczaj weszło, że przy wszelkich uroczystościach, do nich należał każdy dzień św. Jana, otrzymywał prezenty w gotówce. Mając zawsze gdzie mieszkać, co jeść i co pić nie był bez grosza i ciułał sobie kapitalik na starość i czarną godzinę.

Aby dojść do takiej sytuacji, utrzymać się w typie, nie stracić zdobytych praw i przywilejów, musiał Nagolewski na życie swe wewnętrzne nałożyć silną dyscyplinę. Nie wolno mu było być smutnym, mrocznym, niezabawnym. Wszystkie jego przeżycia two-

rzyły się przy stołach zastawionych, bankietach, imieninach, chrzcinach, weselach, kuligach. Po nich ślizgał się jego wzrok, na nich rosła jego dusza. Na inne spacery po przeszłości sobie nie pozwalał, a gdy był sam z sobą, to rozmyślaniami bawił siebie tak, jak kogoś trzeciego rozmową.

Teraz bawił towarzsza swej podróży, Pawła Pawłowskiego, młodego obywatela z pod Zamościa, którego mu dodał do boku Dwernicki. Byli już z sobą „na ty" i gawędzili jakby się znali kopę lat. Nagolewski rozglądał się po okolicy, przypominał ją sobie, uśmiechał się.

— Nigdzie nie ubijesz tyle słomek co tu, — wskazał wdal na stawy, zarosłe trzciną. — Należało to kiedyś do Pretwiców. Pochodzili od tego, po którym pozostało przysłowie: „za czasów Pretwica wolna była od tatarów granica"...

— Wujenka moja jest Pretwicówna — wtrącił Pawłowski.

— Helena może?

— Helena.

— Znałem ją jak była panną. Otóż ci Pretwice słynęli z amatorstwa do kąpieli. Stary Pretwic w sadzawce lód zimą rąbać kazał i co rano w trzaskający mróz nurka dawał. Poluję ja tutaj, właśnie w tem miejscu, nie od drogi tylko z tamtej strony, gdy słyszę w trzcinie takie chrubotanie, takie pomruki, jakby tam, panie dobrodzieju, dziki się tarzały. Pies mi się rwie. Do nogi! Waruj! Ostrożnie trzciny rozsuwam, woda mi już sięga do kolan, nagle spostrzegam nimfy! Pretwic, Pretwicowa, młody Pretwic, Pretwicówna, nie twoja wujenka, nie bój się, panna jak łania, chlubocą się w wodzie. Przyczaiłem się. Do kolan mi zimno, ale od kolan gorąco — cha! cha! cha! Tocim słomkę upolował, myślę sobie. Wtem fruu! Celuję, paf! Ptak spadł u samych stóp Pretwicówny. Ja je-

dnym skokiem tuż i ręce rozłożyłem niby z zachwytu i oszołomienia. Oni w krzyk, a stary Pretwic, oficer był napoleoński, komenderuje „tyłem zwrot". I wszyscy razem z panną tyłem zwrot do mnie. — Zatrzymał się.

No i co? no i co? — popychał go do dalszego opowiadania Pawłowski.

— Hm, więc ja sumituję się, panie dobrodzieju, rejteruję, zdaleka patrzę co będzie. Kareta na nich czekała, tu w tem miejscu, pojechali. Na drugi dzień, imaginuj sobie, Pretwic sekundantów mi przysyła. Dobrze, bić się mogę, ale ex re czego? A to dlatego, jako nie udałem, że nic nie widzę i sumitować się począłem. Cha! cha! cha! Wtedy ja mówię, że też czuję się obrażony komendą „tyłem zwrot" i żądam aby w protokóle wszystko było opisane. Z pojedynku nic nie było, z panną tej samej zimy na kuligu tańcowałem.

Pokręcił wąsa.

— Powinieneś był ożenić się — rzekł Pawłowski.

— Czyżem ja żyd, abym nowego miał spłodzić Mojżesza, któregoby matka po urodzeniu w tataraku schowała?

— Do kogo to teraz należy? — przyjrzał się dworowi, wyłaniającemu się białemi ścianami z poza ogromnych, zieleniejących się kasztanów. — Pretwicowie opuścili to, dawno wynieśli się do Królestwa.

— Hej! pan w domu?! — krzyknął do jadącego fornalką chłopaka.

— W domu, panie.

— Kłaniaj się panu od nas i powiedz, że z powrotem wstąpimy.

— Słucham, panie.

— Będzie szlachcic w głowę się stukał, kto mu się kazał kłaniać i kolację będzie dysponował — rzekł do Pawłowskiego.

Buchnęli obaj śmiechem.

Wjechali teraz w las ogromny, ciągnący się na kilka wiorst.

Kojąca, łagodna wilgoć spływała z drzew, unosiła się z skroplonych przeczystą rosą ciemno-zielonych mchów. Wielka, milowa cisza zawisła nad tym obszarem, biorąc w siebie świegot ptasi i kukanie kukułki.

Nagolewski rozpiął bekieszę.

— Dobrze się jedzie — rzekł.

Z oddali rozległy się skrzypce, powietrzem leciał śpiew.

— Wesele jakieś?

— Widać wesele — odrzekł Pawłowski—z Włodzimierza pewnie wracają.

Ujrzeli orszak weselny. Na czele, między dwoma drużbami, cwałował pan młody w długiej świtce, czerwonym pasem włóczkowym przepasany, w wysokiej czapce baraniej, potem na wozie jechały w kwiecie i wstążki kraśne postrojone panna młoda i drużki rozśpiewane:

Dziękujmo popojkowi
I swojemu tatojkowi
Ne mnyszko wziął,
Detkie zwinczał,
Czotyry zołotei,
Za naszyi mołodyi...

Za tym wozem rżnęła kapela i weselnicy.

Wyjdy maty z chaty,
Swoho ziatia wytaty,
Wczora buł nareczony,
A teper zwinczony.

— I gadaj tu, że chłopom źle się dzieje — rzekł Nagolewski — co za konie i co za stroje, psiamać!

— Nie w tem rzecz, — odparł Pawłowski, — że

im się źle dzieje, ale w tem, aby ich nadaniem gruntów do kraju przywiązać.

— Serce do kraju przywiązuje, serce nie majątek, zawsze to mówię. Lud ma serce i nie potrzebuje łapówki, aby krajowi służył.

— Jabym to, co chłop teraz ma, oddał mu bez niczego, bo i tak z tego nie mam nic — rzekł Pawłowski.

— Nie o to chodzi czy masz co z tego czy nie — ofuknął go Nagolewski — ale chodzi o zasadę. Moją zasadą jest, że chłopa nie należy demoralizować.

I rozzłościwszy się spytał

— Powiedz mi u jakiego kaduka rodzice na imię Paweł ci dali?

— Na pamiątkę dziada, któremu też na imię było Paweł.

— To co twoim pradziadkom do głowy strzeliło, aby Pawłowskiego z urodzenia Pawłem z chrztu nazywać? Powinieneś sobie dla muzyki imię od nazwiska przegrodzić przez „de" — z francuska. Paweł de Pawłowski, nieźleby brzmiało.

— A jakże! Dobre to dla hycla co na sprzedawaniu psiego sadła się zbogacił i szlachcica chce udawać — obruszył się Pawłowski.

— Włodzimierz, jaśnie panie — przerwał sprzeczkę woźnica, wskazując na błyszczącą kopułę cerkiewną.

— Chwała Bogu — odetchnął Nagolewski — wreszcie dojechaliśmy. Pośpieszaj że!

Wjechali do miasta.

Mieli adres znanego z patrjotyzmu adwokata Tarkowskiego, utrzymującego związki między korpusem Dwernickiego a miejscowymi obywatelami. Gdy o niego rozpytywać się poczęli, jakiś żydek powiedział, że tam właśnie kwaterę główną rozłożył pan Stecki. Dziś o świtaniu przybył on tu na czele powstańczego

oddziału, dawne władze z urzędu złożył i polskie rządy ogłosił.

— Pan Stecki to jest wielki pan, nu to jest bardzo wielki pan.

— Więc pan Stecki moskali ztąd wypędził? — pytał Nagolewski.

— Co on miał wypędzać? Tu ruskich nie było — tłumaczył ostrożnie żydek — on nikogo nie wypędzał...

— Pan Stecki ustanowił, że miasto Włodzimierz ma przynależeć do Polski! — huknął z za pleców żydka donośny męski głos — tak ustanowił pan Stecki!

W Nagolewskiego animusz wstąpił, podniósł się z siedzenia.

— Potwierdzam co uczynił pan Stecki!

Zdumienie odjęło mowę słuchającym.

— W imieniu rządu polskiego miasto obejmuję! Komisarzem rządu polskiego jestem!

Sięgnięto do czapek.

— Nakryjcie głowy! Wolni obywatele jesteście, nie nędzne niewolniki, jak dotychczas! Polska wolność wam daje! Za mną w dwadzieścia tysięcy ciągnie jenerał Dwernicki! Prowadźcie nas do pana Steckiego!

Kocz ruszył otoczony tłumem, Nagolewski kontent z siebie, trącił w bok Pawłowskiego.

— Dobrze przemówiłem, co? Wlałem w serca otuchę i okazałem równość? Co?!

Pawłowski milczał.

Na przylegających do domu Tarkowskiego ulicach, w ogrodzie i na dziedzińcu obozowało około stu ludzi, zbrojnych częściowo w karabiny, częściowo we flinty myśliwskie. Czynili wrażenie służby dworskiej i oficjalistów. Do drzew i do sztachetów przywiązane były okulbaczone konie.

— Gdzie jest pan Stecki? — pytał Nagolewski.

Stecki już szedł naprzeciw, pokazywano go Nagolewskiemu.

Nagolewski przybliżył się.

— Jestem Jan Nagolewski, komisarz rządu polskiego, wysłannik jenerała Dwernickiego do waszmości pana, to mój towarzysz pan Pawłowski — sprezentował.

Stecki wyciągnął obydwie ręce.

— Jak z nieba pan spada! Jenerał Dwernicki daleko?

— Przechodzi Bug, pewnie już przeszedł.

— W jakiej sile?

— Dwadzieścia tysięcy.

— Chwała ci Boże! Dwadzieścia tysięcy, powstanie nasze ocalone!

Pawłowski osłupiał. Toć przy Dwernickim było cztery tysiące żołnierzy. Co opowiada Nagolewski?! Na co każe liczyć?

Tymczasem Stecki prowadził ich do wnętrza.

— Dwernicki idzie! — wołał od proga.

Około zastawionego stołu siedziało trzech mężczyzn, przybranych, jak Stecki, w kurtki myśliwskie.

Przedstawiali się, biorąc w objęcia Nagolewskiego i Pawłowskiego.

Tarkowski, Moszyński, Dobrzyński... Główna komenda ochotniczego oddziału, zajmującego Włodzimierz. Humory mieli znakomite i obchodzili pierwsze chwile wolności, lejąc wino w kielichy i przypominając sobie przygody tego dnia. Co moskiewskiego było w mieście stchórzyło, garnizon inwalidów nie stawił oporu, urzędnicy oświadczyli się z posłuszeństwem dla Steckiego. Sprawa przy pomocy Dwernickiego staje się pewna, prócz Steckiego szykują powstanie Olizar, Worcell, Jełowicki, Emir Rze-

wuski z Sawrania prowadzi swoich kozaków, będzie chciał zmyć hańbę ojcowską, zdradę hetmana...

— Trzeba wam było, koroniarzom, przyjść tu odrazu — na Wołyń, Podole, Ukrainę! — wołał Tarkowski.

— Takie były moje intencje, — odparł napełniając szklankę Nagolewski, — pierwsza rada, jaką dałem Czartoryskiemu.

— Czartoryskiemu? Znasz go pan? — spytał Dobrzyński.

— Czy go znam? Aż do mego wyjazdu z Warszawy dnia nie było, abym z nim nie gadał o sprawach publicznych.

— Czy to prawda, że on o koronie myśli? — zagadnął Stecki.

Nagolewski nie wiedział, co rzec, bo nie wymiarkował jakich są opinji. Oczy spuścił tajemniczo.

— Powiedz że pan, — naciskano go.

— O tem on zemną nie mówił, — rzekł wreszcie, — ale zapewnić mogę, że niczego bez woli narodu nie przedsięweźmie, taki to mąż.

— Bez woli narodu nie może być nic! — zadeklarował gorąco Dobrzyński.

— Tam w Warszawie nic jeszcze zdecydować nie możecie, bo nas tam niema! — wołał Moszyński.

— Czekamy na was! Jakże! Czekamy! Nacóż rewolucja wybuchła jak nie dla oswobodzenia prowincji zabranych, jak nie dla połączenia się w jedną całość! Ja to wiem, bo byłem przy jej narodzinach, przy jej pierwszych strzałach, a podróż do Dwernickiego odbyłem z Wysockim... z Piotrem.

— Z Wysockim Piotrem?! Jakiż on jest?

Nagolewskiemu język się rozwiązał, wina posmakował i prawić zaczął.

Podobało mu się to powstanie wołyńskie. Nieprzyjaciela niema, wszystko idzie jak z płatka, mias-

ta zajmują się bez wystrzału, na czele stoi porządna szlachta, nie żadne jakóbiny. Czuł się bezpiecznie i swojsko.

Słuchano go, nie przerywając. Wieści tutaj przychodziły różne, niejednokrotnie z sobą sprzeczne, niezliczone plotki i legendy krążyły o jenerałach, o sejmie i o rządzie, Nagolewski zaś wszystkiego był naocznym świadkiem.

Kiedy tak mówił, kiedy tak rozwijał lity pas wypadków, zakotłowało się na dziedzińcu i do pokoju wpadł żyd.

Trząsł się, powietrza złapać nie mógł.

— Ruskie... ruskie... ruskie idą!!

— Moskale?!

Zerwano się z miejsc.

— Ruskie... Moskale! Aj waj!

— Skąd?! Ile?!

— Skąd?! Są już pod miastem! Aj waj!!

Ile?! Widziałeś?! gadaj!!

— Ja wiem, ile?! Pięć tysiąców, dziesięć tysiąców, całe wojsko idzie!

— Czyżby korpus Kreutza?

— Co znowu! Korpus Kreutza?!

— Żyd nic nie wie!

Do mieszkania walili się ludzie z oddziału, jeden przez drugiego gadał, krzyczał i radził.

— Może to Kreutz przeciw Dwernickiemu maszeruje!

Pojęto grozę położenia. Ani ludzi, ani broni nie było na tyle, żeby stawić czoło nietylko korpusowi, ale jednemu pułkowi, zamieszanie rosło.

Wtem Stecki objął komendę.

Nie był on oficerem, ani nawet żołnierzem, nie byli wojskowymi jego towarzysze, lecz w chwili odpowiedzialności za rzeczy przez siebie dokonane przebudziły się w nim wszystkie moce wojujących

jego przodków, oświeciły go jasne jak piorun myśli, zimna krew bojowa nadała moc rozkazu słowom jego i gestom.

Przypasał szablę.

— Moszyński, Dobrzyński do oddziału!

— Na koń!!

— Formuj się!

— Panowie z nami! — obrócił się do Nagolewskiego, — cofamy się!

Ale już było zapóno, nieprzyjaciel szedł przez miasto wprost na dom Tarkowskiego.

— Wywieś pan białą chustkę, poddaj się pan — skomlał Nagolewski, czepiając się rękawa Steckiego.

Stecki nie słuchał i nie słyszał.

Jak przed sekundą gotów był cofnąć się w porządku, tak teraz gotów był poledz ze swym oddziałem. Poddanie się bez strzału, po ustanowieniu władz insurekcyjnych, ośmieszyłoby powstanie, odebrałoby ludności zaufanie do jego przywódców.

I Stecki ujrzawszy rosyjskie kolumny, skomenderował:

— Ognia!

Rozpoczęła się bitwa bez nadziei i bez pardonu.

Jenerał Dawidow, wysłany przez Kreutza dla wyśledzenia kierunku, jaki wziął Dwernicki, dowiedziawszy się się o zajęciu Włodzimierza przez powstańców, postanowił odesłać ich w dybach do Bobrujska. Siły miał dosyć, tysiąc jegrów, kilka sotni kozaków i dragonów. Oporu się nie spodziewał, nie przypuszczał, aby go śmiała stawić ta garstka. To też, gdy pierwsza salwa strąciła z koni kilku kozaków, wściekłością zakipiał i zapragnął zemścić się srodze.

Spokojne przed godziną miasto wstrząśnięte zostało grzmotem dwóch armat i hukiem tysiąca karabinów.

Jenerał Dawidow wymierzył działa na dom Tarkowskiego.

Powstańcy rozsypani w dziedzińcu i ogrodzie strzelali, padło już ich kilkunastu, pierwszy legł ugodzony w czoło Tarkowski. Dom się zapalił.

Za jedno z drzew schronił się Nagolewski, wstrząsany konwulsjami strachu, siny z nieopisanego przerażenia. Uciekałby, lecz nie wiedział gdzie, nogi pod nim się gięły jak pozbawione kości. Ukląkł.

— Zdrowaś Marja... Ojcze nasz... — bełkotał.

Słowa nieodmawianych od dzieciństwa modlitw mieszały mu się w umyśle. Żeby choć jedno ramię go wsparło, żeby choć jedna żywa dusza przy nim stanęła. Nikogo! Pawłowski strzelał z innymi.

Położył się pod drzewem, lęk szarpał mu wnętrzności, ściskał gardło.

Wolałby umrzeć, niż tak się bać.

Poczuł, że umrze, że nie od kuli, lecz ze strachu zginie, jeśli zostanie dłużej.

Czołgać się począł w tył ogrodu. Ujrzał sztachety, przeskoczył i puścił się kłusem przed siebie, nic nie widząc, na oślep. Za nim huczała burza strzałów. Znalazł się w pustem polu.

Nie wiedział jak długo szedł. Przytomność mu wróciła i rozglądał się, aby schronić się w jakiejś chacie i przedostać do obozu Dwernickiego, skądby wrócił do Warszawy, byle dalej od tego piekła. Nagle usłyszał tentent kopyt, skoczył do rowu. Wysunąwszy ostrożnie głowę, przekonał się, że to nie pościg moskiewski, ale oddział powstańczy cwałuje. Poznał zdaleka Steckiego. Porwał się na równe nogi i stanął w dziarskiej podstawie.

— A pan co tu robisz?! — krzyknął Stecki.

— Do Dwernickiego puściłem się, aby go ściągnąć z pomocą. Zobaczywszy co się dzieje...

— Pomoc już na nic się nie przyda — przerwał Stecki, — patrz pan ilu nas zostało.

Zostało ich dwudziestu, wymknęli się cudem, wystrzelawszy wszystkie ładunki. Prócz Tarkowskiego nie było między nimi Moszyńskiego i Dobrzyńskiego.

— To weźmiecie mnie z sobą, nie zostawicie mnie przecież na drodze.

— Nie należałoby zostawiać pana, ale jak, kiedy konia luźnego niema — zafrasował się Stecki.

— Przysiądę się na Pawełkowym.

— Siadajże, cóż robić! — skrzywił się okrutnie Pawłowski.

Nagolewski wgramolił się na siodło z tyłu za Pawłowskim i chwycił się jego kurty. Pognali wyciągniętym kłusem.

Nóg nie mógł oprzeć o strzemiona, brzuch mu się trząsł i ból dolegał w podołku. Obawiał się wyznać, że siedzi jak na torturach, aby nie porzucono go na gościńcu.

— Dokąd jedziemy? — ośmielił się wreszcie zapytać Pawłowskiego.

— Do Hubnika, w Hajsyńskie.

— Poco?

— Tam u Jełowickiego punkt zborny powstania.

— Przecie to świat drogi!

— Co robić!

— Gdzie zatrzymamy się na odpoczynek?

— Nie wiem.

— A nie natkniemy się na moskali?

Pawłowski w odpowiedzi wzruszył ramionami.

Nagolewski westchnął.

— Czy nie uważasz, że nie wypada, abym tak za tobą siedział na jednej kobyle. Jestem przecie komisarz rządowy, specjalny wysłaniec.

— Gorszy wstyd, że komisarzem rządowym będąc, zmiatałeś jak zając.

— Ja zmiatałem, jak zając?!

— Niby nie?

— Widząc na co się zanosi biegłem do Dwernickiego...

— Gadaj zdrów! Do Dwernickiego puścił się piechotą i myślał, że go na czas przyprowadzi.

— Daję ci najświętsze słowo honoru, że nie co innego miałem w głowie. Gdybyście wszyscy okazali podobną przytomność, nie stałoby się takie nieszczęście.

— Przestań! Aż płakać mi się chce, tyle ludzi!

— Pierwszy oddział moskiewski, jaki spotkamy, wystrzela nas do nogi.

— To złaź z konia i siedź w rowie jakeś siedział!

W pierwszym jednak dworze dostał Nagolewski rumaka. Byłby na nim chętnie powrócił do Dwernickiego, a od Dwernickiego wziął ekspedycję do Warszawy, lecz sam w podróż tę by się nie puścił, a Pawłowski o towarzyszeniu mu słuchać nie chciał. Nie wiedziano zresztą dokładnie, gdzie znajduje się Dwernicki.

Wciąż przyłączały się do Steckiego małe oddziałki, dążące do Hubnika, a złożone ze służby dworskiej pod dowództwem swoich panów. Powstanie migotało błędnemi ognikami, ogarniało dwór po dworze, przeobrażało się w rodzaj pospolitego szlacheckiego ruszenia. W niektórych wsiach chłopi płaczem i błogosławieństwem żegnali dziedziców, darzących ich wolnością, lecz do szeregów nie śpieszyli, broni zresztą dla nich nie było.

Wśród tej rycerskiej i ofiarnej szlachty, wśród tych Olizarów, Worcellów, Steckich, Rzewuskich, Tyszkiewiczów, Jełowickich, Potockich, Sobańskich, Krasickich, Sabatynów, Zapolskich, Padlewskich, —

Stempowskich potworny wyjątek stanowiły dwie kobiety, których nazwiska były już na ustach wszystkich powstańców.

Jedna Krasuska, właścicielka Starego Żywotowa, szukającego u niej schronienia Gotarda Sobańskiego kazała chłopom odstawić do władz rosyjskich, druga zgrzybiała hetmanowa Branicka z Białocerkwi, ciotką moskiewską powszechnie zwana, przesłała w darze Mikołajowi dwa miljony złotych na koszta wojny przeciwko Polsce, za co kurjer z głównej kwatery Dybicza przywoził jej stale wiadomości, a batuljon rosyjskiej piechoty strzegł jej osoby.

W jej to okolice dla połączenia się z powstaniem ukraińskiem posuwać się miało powstanie hajsyńskie.

W Hubniku oddział Steckiego zastał już uzbrojonych obywateli z całego powiatu, niebawem nadciągnęli ochotnicy z powiatu bałckiego, potem oddział jampolski, potem, witany okrzykami, w stroju arabskim, na przepysznym arabskim wierzchowcu, na czele dworskich kozaków na takichże koniach, Emir Wacław Rzewuski.

Obok jego arabów zachwycały sławne konie czerkieskie Jełowickich, wspaniałe ogiery ze stadniny Sobańskich, bo co kto najlepszego miał to wyprowadził.

Jak z końmi tak i z bronią.

Ze zbiorów amatorskich, z mahoniowych szkatuł zabłysły dubeltówki za osobliwość poczytane, a sprowadzane od najgłośniejszych francuskich i angielskich puszkarzy, bezcenne, najmisterniejszych robót pistolety, szable pamiątkowe i kordelasy.

Było ich zgórą tysiąc jazdy i półtora piechoty.

Dzielili się na szwadrony. Na czele każdego stał rotmistrz, mający pod rozkazami kapitana, porucznika, dwóch podporuczników, chorążego, dziesięciu podoficerów i stu żołnierzy. A że miały być

one zawiązkami pułków, pułkami je przeto odrazu nazwano. Był więc pułk Jełowickich, przyodziany w burki z sukna bronzowego, dwa pułki Izydora i Aleksandra Sobańskich w taratatkach szarych, pułk Lipkowskiego w sukmanach spodnich białych, zwierzchnich czarnych i czarnych pasach skórzanych, pułk Rzewuskiego w barwach kozackich; w pułkach Pobiedzińskiego, Teodora Korzeniowskiego, Juljusza Korsaka ubiory były rozmaite, lecz wszędzie chorągiewki amarantowe z białem i takież kokardy przy czapkach.

Trzy armaty stanowiły artylerję. Prócz furgonów z kasą, amunicją, apteką i różnemi dla korpusu potrzebami widać było długie szeregi rozmaitego rodzaju bryczek, koczów i wozów, ładowanych prowiantami, sprzętem kuchennym, naczyniem stołowem i wszelką zbytkową ruchomością. Każdy bowiem mówił, że poświęciwszy wszystko dla ojczyzny, ma przynajmniej prawo zachować sobie to bez czego obchodzić się nie przywykł. Rozciągłość taboru pomnażała jeszcze niemała liczba koni podwodowych i niezbrojnej służby.

Byli tam ci wszyscy, o których fantazji, animuszu, pomysłach nadzwyczajnych, czynach z tysiąca i jednej nocy opowiadano po dworach i chatach Wołynia, Podola i Ukrainy.

A więc Wacław Rzewuski, Emir złotobrody, w zawoju i ponsowej todze. Z stadem arabskich koni i świtą kozaków w poszukiwaniu zakopanych skarbów wędrował on po stepie, z całym taborem odwiedział sąsiadów i pod ich domami rozpinał namioty; farysując kiedyś na Wschodzie, mówił po turecku i arabsku i wydawał pismo p. t. Miny Wschodu; znał muzykę doskonale, śpiewał prześlicznie, pisał wybornie prozą i wierszem nierymowanym, słynął jako niezrównany strzelec i mistrz

w użyciu wszelkiej siecznej i palnej broni, a na zimno tak był wytrwały, że w najtęższe mrozy wychodził obnażony i kazał sobie zlewać głowę konewkami wody.

A więc osiemdziesięcioletni jenerał Kołysko, towarzysz Kościuszki, co od lat czterdziestu z pałaszem się rozstał, a dziś go przypasał i konia dosiadł.

A więc Józef Borzęcki, starzec siedemdziesięcioletni, wzrostu olbrzymiego i siły tak straszliwej, że podkowy w rękach łamał i z niedźwiedziem się potykał.

A więc Reces Wątróbka, strzelec zawołany; z dubeltówki o trzydzieści kroków gwoździe kulami w drzewa wbijał, sztukę monety w górę rzuconą i jaskółki w locie trafiał.

A więc Kobielski, który Niesieckiego całego umiał na pamięć i ślub uczynił, że żadnej innej kisążki nie przeczyta.

I tylu innych.

Wśród służby odznaczał się kucharz Kacper Romer, który po francusku umiał i podobnie jak Kobielski herbarz Niesieckiego — „Gastronomję“ Berchou z pamięci cytował, żołądki tej szlachty znał na wylot, a teraz rondle porzuciwszy, lancę ujął i postawą swoją zadziwiał.

Znali się tu wszyscy, wszyscy byli sobie krewni, powinowaci, sąsiedzi, koledzy.

Nagolewski spotkał wielu znajomych, między innymi Sobańskich i Korsaka, a przybywał w samą porę, bo właśnie odprawiać się miało nabożeństwo dziękczynne za świetne zwycięstwo Dwernickiego pod Boremlem. Podając się za zausznika Dwernickiego, specjalnego jego delegata, a także komisarza rządu narodowego, stawał się pierwszą osobą w obozie. Zaproszony został zaraz do pałacu, którego

ściany się rozszerzyły, aby pomieścić starszyznę i co znaczniejszych obywateli i tam gospodarz, siwowłosy marszałek Wacław Jełowicki, w otoczeniu trzech synów — Aleksandra, Eustachego i Edwarda długą miał z nim rozmowę o polityce ogólnej i o szansach powstania w szczególności. W tem miejscu, nie zaprzeczając męstwa Steckiemu, Nagolewski skrytykował go żywo, że rad jego nie posłuchał i bitwę z Dawidowem przyjął i przed podobnemi szaleństwami na przyszłość ostrzegał. Spostrzegłszy, że jest bez broni, ofiarował mu Jełowicki drogocenną szablę i kilka świetnych pistoletów, a Emir Rzewuski wspaniałego araba. Tak obdarowany Nagolewski, przechodząc około stojącego skromnie w kącie Pawłowskiego, chrząknął i wąsa podkręcił.

Tymczasem na balkonie pałacu, pośród zatkniętych chorągwi, ustawiono ołtarz i poformowane szwadrony, uszykowawszy się głębokiemi kolumnami w półkole, wysłuchały mszy.

Gdy się skończyła, marszałek Jełowicki wyliczył w długiem przemówieniu krzywdy przez rządy moskiewskie wyrządzone, oddał hołd twórcom powstania, powitał komisarza Jana Nagolewskiego, wysłannika bohaterskiego jenerała Dwernickiego, który już Bug przeszedł i zadał klęskę Rydygierowi, poczem wezwał do obrania wodza.

Wtedy Nagolewski głos zabrał.

— Nie jako komisarz rządu, — rzekł — przemawiam do was, panowie i bracia, ale jako ten, który z wami chce pozostać, z wami zwyciężyć lub zginąć! Trudny jest wybór wodza, a trudność, ta z łatwości płynie. Tak z łatwości! Któż najmężniejszy tutaj? Wszyscy równego męstwa dowodzą! Któż najrozumniejszy? Wszyscy, zbierając się tutaj jednaki rozum okazali! Któż najcnotliwszy? W tem gronie sama cnota, sama miłość nieskalana ojczyzny

jaśnieje! Więc się rozglądam i szukam czegoś szczególnego, coby oczy moje uderzyło. Rozglądam się i kogóż spostrzegam? Emira Rzewuskiego!...

— Niech żyje Emir Rzewuski! Niech żyje wódz! — zagłuszyły okrzyki mowę Nagolewskiego.

Ale Rzewuski dał znak, że chce mówić.

— Niegodnym, panowie bracia, bo jest godniejszy odemnie! Czyż mam nazwisko jego wymienić? Przecież je każdy w swem sercu zgłoskami złotemi wyryte odczyta. Jest między nami ów towarzysz księcia Józefa, ów przyjaciel serdeczny wiekopomnego naczelnika, więzami pokrewieństwa niemal z nim związany, boć przecie trzy synowice Tadeusza Kościuszki chowały się w domu jego! Krzyż kawalerski Virtuti Militari piersi jego zdobi! Jest między nami jenerał Kołysko!

— Niech żyje Kołysko! Dobrze mówi Emir! Niech żyje Kołysko!!

Potrząsano lancami, uderzano w rękojeście pałaszy.

Wybór był dokonany.

Wtedy Kołysko wystąpił, lecz że wzruszenie mowę mu odjęło, zawołał tylko

— Niech żyje ojczyzna!

Znowu wystąpił marszałek Jełowicki i czytał odezwę w mocnych wyrazach ogłaszającą cele i obowiązki powstania: niepodległość ojczyzny, wolność bez wyjątku wszystkich mieszkańców, bezpieczeństwo praw i własność każdego, poszanowanie wszelkich wyznań religijnych.

Ksiądz wezwał do złożenia przysięgi. Powtarzano za nim chórem słowa roty, ślubując wierność i nieograniczone poświęcenie dla sprawy narodowej i posłuszeństwo dla wodza.

Poczem Kołysko złożył przysięgę. Głos mu drżał i łzy napływały do oczu.

Przystąpiono do wyborów. Obóz pr1emienił się w sejmik zbrojny, rozbity na powiaty, każdy bowiem powiat wybierał swoich reprezentantów, którzyby mieli starania o fundusze na koszta wojny, władzę stanowienia potrzebnych urzędników w oswobodzonym kraju i głos doradczy przy wodzu.

Minęło południe, a zgody jeszcze nie było, szlachta głodna sięgnęła do furgonów, rozłożyła się grupami, jedząc i pijąc obradowała dalej.

Od jednych do drugich przechodził Nagolewski. W pięknem słońcu migotały srebrne noże i widelce, różowiły się szynki, półgęski, wędliny, a zapach ich zmieszany z zapachem win i miodów tworzł aromat przedziwny.

Nagolewski był wesół jak pszczoła, gdy żądło zatapia w kielich smakowitego kwiatu.

Przystawał, przyjmując poczęstunki. Tu łyknął nalewki i zagryzł pasztetem, tam wysączył czarkę miodu, gdzieindziej posmakował wina, a wszędzie tak dowcipami sypał, że brzuchy trzęsły się z ukontentowania.

Nos już porządnie mu się zaczerwienił i rumieńce wystąpiły na policzki, gdy hajduk go odszukał, do pałacu na obiad prosząc.

Nagolewski nie miał ochoty opuszczać obozu. Najwyszukańsza uczta nie mogła dorównać rozmaitości potraw, którą tu poczuł, rozmaitości zwłaszcza przekąsek, które specjalnie lubił, odmówić jednak nie było sposobu i choć markotny do pałacu podążył. Znajdował się tam już jenerał Kołysko, major Orlikowski, wszyscy naczelnicy szwadronowi i kilkudziesięciu ze szlachty. Jedna myśl ich zajmowała, kiedy należy w pochód ruszyć. Niektórzy pragnęli nazajutrz, drudzy choćby zaraz, ale Kołysko oponował, tłumacząc, że rzeczą jest niezbędną wojsko trochę wyćwiczyé i mustry poduczyć.

Podobało się to nieskończenie Nagolewskiemu. Aczkolwiek liczył już wielu przyjaciół, musiał wybrać sobie kogoś przy kimby się usadowił, komu stałby się niezbędny, ktoby go osłonił, z niebezpieczeństwa wyciągnął i dość był potężny, żeby go wysłać z jaką misją tam, gdzie nie było wojny ani powstania.

Do wojowania Nagolewski najmniejszej nie miał ochoty.

Myśl jego zatrzymała się na Rzewuskim. Rzewuski powinien być mu wdzięczny, że na wodza go proponował.

Piękny emir, udrapowany ponsową opończą, cybucha zapalił i od gwaru na bok się odsunął, błękitne jego oczy zaszły marzeniem, brodę złotą w zadumie palcami przebierał.

Nagolewski przybliżył się, skłonił, pokręcił wąsa i chrząknął.

Rzewuski skinął lekko głową.

— Cóż pan powie? — spytał.

— Ruszamy na wroga, — zaczął rozmowę Nagolewski.

— A ruszamy.

— Choć nie mam ja tu swego szwadronu, ani powiatu...

— To pan też z nami?

— Prawdę powiedziawszy, powinienem wracać do Warszawy i zdać sprawę, com tu widział, ale nie mogę przeprzeć ochoty wzięcia udziału w wyprawie.

— Nie dziwię się.

— Oglądam się więc za naczelnikiem, którytby mnie pod komendę swoją przyjął.

— A pan Stecki?

Niemiły dreszcz przebiegł Nagolewskiemu po kościach.

— Z panem Steckim w poróżnieniu jesteśmy,

że mnie nie posłuchał i bitwę Dawidowowi nieopatrznie wydał.

— Nie mógł on postąpić inaczej, — rzekł emir i gęstym dymem się osłonił.

— Mógł postąpić tak jakem mu poradził.

— A jakeś mu pan radził?

— Aby natychmiast się cofnął i do Dwernickiego podążył.

Emir znowu puścił kłąb dymu.

— Pan Stecki, — rzekł, przymykając oczy, postąpił heroicznie. — Czyn heroiczny, choćby klęskę pociągnął, zwycięstwem pozostaje; ducha kształtuje, przykładem świeci, w pieśniach dźwięczy, w legendach promienieje...

— Rozsądek w wielkich przedsięwzięciach jest także potrzebny, — zaoponował Nagolewski.

— Nie, — odparł emir.

— Nie?

— Nie; rozsądek nic nigdy wielkiego nie zdziałał i w ocenie wielkich zjawisk zawsze błądził. Największą siłę duszy, entuzjazm, i natchnienie, szaleństwem nazwał.

Nagolewski stropił się.

Ten człowiek ma bzika, pomyślał, nie nosiłby inaczej arabskiej opończy i turbanu na głowie. Nie dał jednak za wygraną.

—Tuszę o sobie, — rzekł, — że entuzjazmu mam niemało, a w niczem on rozsądku mego nie osłabia.

— Toś pan jest postacią wyjątkową, — uciął krótko emir.

—A że u pana hrabiego, — pokręcił wesoło wąsa Nagolewski, — wyjątkowość szczególnem uznaniem się cieszy, więc w pułku jego najlepiejbym się nadał.

Emir znowu pyknął z cybucha.

— Jeździ pan konno dobrze?

— Jeszczeby nie!

— Postawę ma pan dobrą, owszem. Przyodziałbyś więc mundur kozacki.

Mimo przyzwyczajenia do przebierania się w różne skóry, nie w smak poszła Nagolewskiemu propozycja zrównania się z dworskimi kozakami, uznał ją nawet za ubliżenie swej godności komisarza. Nie chciał jednak pokazaé po sobie niezadowolenia, tembardziej, że wyobraził siebie nagle także w turbanie i ponsowej opończy.

— Na kozaka nie nadałbym się, — rzekł — ale w stroju beduina mógłbym dosiąść konia, jak uważa pan hrabia?

Emir zarumienił się i utkwił oczy w Nagolewskiego.

— Uważam, że najlepiejbyś pan zrobił, gdybyś objął dowództwo furgonów, — odparł. Puścił kłąb dymu i odszedł.

W Nagolewskiego jakby piorun trzasnął. Naraził sobie magnata i dlaczego? Dlaczego on się obraził? Niedawno był łaskawy, hojny, araba mu darował. Co mu się stało? Fantazje pańskie!

Nie wiedział Nagolewski, że tylko emir miał prawo farysować i że emir był jeden.

Nagolewski popełnił „gafę", jak zwykło mówić się dzisiaj, strzelił bąka, jak mówiono wówczas, w niezbogaconym przez dyplomatycznych komiwojażerów języku.

Kiedy tak dumał stroskany, przystąpił do niego Kołysko.

— Trzeba, abyś pan wracał.

— Ja?

— Tak.

— Dokąd mi każe wracać pan jenerał?

— Do Warszawy.

— Rozkaz, choć, dalibóg, dusza mi płacze na myśl, że nie będzie mi dane szabli tutaj wyjąć.

— I ja radbym mieć pana koło siebie, ale trudno, sprawa publiczna przedewszystkiem.

— Zawsze, panie jenerale — odparł, prostując się — gotów do poświęceń Nagolewski.

— Trzeba przeto, abyś pan jechał, abyś tam oznajmił komu należy, naczelnemu wodzowi, członkom rządu, księciu Czartoryskiemu, że wystąpiliśmy do walki ostatecznej, tragicznej.

— Tak jenerale.

— Że tu przegrać, to tyle, co na wieki zginąć. Każdy z tych powstańców w łeb raczej powinien sobie strzelić, niż dostać się ponownie pod moskiewskie panowanie. I żonę i dzieci powinienby przed tem pozabijać. Tu zemsta byłaby nieubłagana, ten kraj cały, jak długi i szeroki, Golgotą stałby się w Europie. Już dziś pokazują oni, co potrafią. W Michałówce stary Wyrzykowski przez zasiedatiela Ciechanowskiego porwany i uwięziony, w łańcuchach. Filanowiczowa z zemsty, że synowie do powstania poszli, spalona żywcem z całym domem. Chora leżała w łóku. Padlewska osadzona w Lipowem ze złoczyńcami i smagana rózgami. Tego kraju opuścić wam niewolno, nie wolno wydać na pastwę. Nie wolno! — powtórzył z naciskiem.

Nagolewskiemu łzy błysnęły, nachylił się i pocałował Kołyskę w ramię.

— Nie wydamy! — zapewnił.

— Dobrze, że Dwernicki wszedł, ale to nie wystarczy...

— Przecież tu duch taki piękny — zauważył Nagolewski.

—Duch piękny i nadzieja i ofiarność. Ale to nie jest wojsko. W ogniu to się dopiero zaprawiać musi, uczyć trzeba tego, z czem wasz żołnierz do

pierwszej bitwy idzie. Komendy nie znają, a oficerów prawie wcale niema. Kilka dni przetrzymać ich tu muszę, aby jaki taki ład zaprowadzić.

— To i ja za kilka dni pojadę.

— Nie; trzeba, abyś jechał zaraz.

— A czy do Warszawy uda mi się bezpiecznie przedostać?

— Bezpieczeństwa zupełnego nigdzie teraz niema, lecz owszem, sądzę, że przejedziesz. Adresy dostaniesz, gdzie się zatrzymasz, konie ci dadzą, pomogą i przeprawią. Przed wyjazdem zobaczysz się jeszcze ze mną.

Nagolewski odszukał Pawłowskiego.

— Wracam do Warszawy — rzekł. — Kołysko dał mi ekspedycję.

— Nie zgub jej gdzie po drodze — burknął Pawłowski.

— A ty zostajesz?

— Zostaję.

— Pod kim będziesz?

— Pod Steckim.

Nagolewski chrząknął.

— Pokochałem cię jak brata, chociaż o tchórzostwo mnie pomawiałeś. Wiedz, że tchórzostwo z zimnego rozsądku nie hańbi i tchórzostwem wcale nie jest. Ale rankoru do ciebie nie mam. Na szkapie mnie swojej wiozłeś, przyjmij araba.

— Jakiego araba?

— Tego, co mi emir darował.

— Tego araba byś mi dał?

— Tego samego.

— Człowieku, toć majątek!

— Nie sprzedam go tu; bo nie wypada, a do Warszawy go z sobą nie zabiorę. Zresztą, choćbym mógł sprzedać i choćbym mógł zabrać, chcę aby tobie służył.

— Jasiu!

— Miejże, Pawełku, ode mnie pamiątkę.

Pawłowski rzucił mu się na szyję.

Nie widział więc już Nagolewski wspaniałego pochodu hufców Kołyski. Tyle tam było uprzęży, broni i bogactwa, tyle postawy i urody, że kto je ujrzał, wieści jak o czemś niepojętem szerzył i ilość ich dziesięćkroć większą, niż była podawał. Jak drobne strumienie wpadają w rzekę, tak do nich przystawały drobne, naprędce tworzące się oddziałki; do Granowa urośli znacznie.

Były to dobra księcia Adama Czartoryskiego. Młodzi Jełowiccy, Sobański, Reces Wątróbka uradzili, że dobrzeby byłoby chłopów poruszyć i za najlepszy ku temu sposób uznali oznajmić im, że ich pan królem polskim został.

Przyszli z tem do Kołyski.

— Zróbcie, jak chcecie — zgodził się.

Rozkazano przeto chłopom stawić się w gromadzie i Kobielski, otoczony kilkudziesięciu szlachcicami, tak z konia przemówił:

— Nadstawcie uszu i słuchajcie dobrze, co wam powiem! Skończyło się wasze niewolnictwo i poddaństwo. Przynosimy wam wolność! Będziecie wolni od ucisków, którycheście dotychczas pod jarzmem moskiewskim doznawać musieli, będziecie wolni od pańszczyzny i od rekruta, a ziemia, którą uprawiacie, będzie waszą własnością. Ale co na to potrzeba? Na to potrzeba czarta wygnać! Kto jest czart?! Czart jest car! Car a czart to jedno! Trzeba wygnać cara, a słuchać polskiego króla! Otóż wiedźcie, że królem polskim został wasz pan— książe Czartoryski — i o wolność waszą z czartem do wojny wystąpił. I czeka teraz król polski wiadomości, ilu włościan z dóbr granowskich do wojska narodowego pośpieszyło!

Po tej oracji kilku chłopów istotnie stanęło pod bronią, a wnet przybyli licznie kozacy folwarczni.

Szli teraz do Daszowa, pragnąc poruszyć Białocerkiewszczyznę i z ukraińskiem powstaniem się połączyć. Obiecywali sobie wiele. Wysłani naprzód emisarjusze, powrócili z wiadomościami, że wszyscy oficjaliści w majątkach Branickiej są za powstaniem, że chłopi ruszą się masą przez samą nienawiść do swej ciemiężycielki, że szlachta czeka tylko rozkazu, że zaopatrzona jest w broń i amunicję, że w kasie znajdzie się trzy miljony gotówki, że prócz moskiewskiej załogi przy pałacu niema nigdzie nieprzyjaciela. Dwa lub trzy szwadrony miały wystarczyć, aby zdobyć wszystko, grunta hetmanowej chłopom na własność oddać, i rodzaj republiki białocerkiewnej ustanowić.

W Gródku spotkał ich dziedzic dóbr daszowskich, młody Włodzimierz Potocki, na czele pospolitego daszowskiego ruszenia.

Wyprawił go Kołysko z powrotem, aby opodal Daszowa wytknął obóz, Rzewuskiemu zaś polecił udać się do wsi Lewuch dla zabrania zdatnych koni ze znajdujących się tam stadnin Czartoryskiego i ruszył w dalszy pochód.

Stanęli nad ranem.

Rozkoszny widok uderzył oczy, wschodzące słońce grało w rozlanej szeroko rzece, przecinającej miasteczko na dwie połowy, w stawach, zarosłych trzciną, do których od samego rynku wiodły uliczki, świeciło nad zielonym borem, zasłaniającym sławny z pochodów tatarskich Szlak Czarny.

Korpus był tak rozciągnięty, że gdy trzy szwadrony znajdowały się już na miejscu, pod obozowisko wybrane, reszta zajmowała milę drogi między Daszowem a Gródkiem.

Hufce konne, bryki z pieniędzmi, karety, prze-

znaczone na ambulanse lazaretowe, furgony, podwożące warsztaty kowali, rymarzy i innych rzemieślników, tabory luźnych koni, niezliczone mnóstwo korpusowych i prywatnych bagażów, kompanja strzelców pieszych, wszystko to, wśród migających chorągiewek jazdy, niezmiernym smokiem wiło się po otwartej płaszczyźnie. Dwa szwadrony pod dowództwem Pobiedzińskiego zamykały karawanę.

Wtem dostrzeżono szwadron Rzewuskiego z zabranemi końmi, wracający z Lewuch, ale już ruchem nieregularnym, w tumanie kurzu, z którego łyskał ogień. Wkrótce huk dział ostrzegł w obozie Kołyskę, że bitwa się zaczęła.

Był to przez niego zapomniany, zjawiający się niespodzianie, buszujący w tych okolicach jenerał Rot.

Na pierwszy szwadron rosyjskich ułanów uderzył Pobiedziński. Przewrócił go i rozpędził szwadron następny, ale teraz musiał cofnąć się pod zostawioną przez siebie rezerwę. Plac boju posuwał się pod Daszów.

W owej chwili Kołysko mógł jeszcze albo przyjąć bitwę, albo wzmocniwszy straż tylną, ustąpić za Daszów, niestety, był daleko, hufce rozdzielone marszem, nie miały związku ani podziału, każdy szwadron pilnował się tylko swego dowódcy, a dowódcy szwadronów nie wiedzieli, kogo pilnować się mają. Wszystko zaczęło improwizować się w ogniu, bitwa rozpłomieniała bez kierunku i planu.

Z taboru, ciągnącego drogą, wyplątał się naprzód ze swoimi Aleksander Sobański, za nim Edward Jełowicki i obaj połączyli się z Rzewuskim, który front do boju szykował.

Pobiedziński, widząc przybywające wsparcie, rzucił się znów na nieprzyjaciela, roztrącił awangar-

dę, zapędził się aż pod las, przytykając do Gródka, ale w zamieszce, ugodzony trzema lancami, padł, a szwadron jego, ogarnięty trwogą, tył podał i pierzchnął w popłochu.

Kolumna rosyjska, rozwijając się do boju, osłupiała, ujrzawszy w całym ogromie imponujący tabor. Przerażona, nie stawiła czoła szarży Orlikowskiego, pierwszy jego szereg złamał się i uciekł, działa moskiewskie grzmotnęły, ale poniosły górą.

Młody polski żołnierz, choć po raz pierwszy słyszał huk kartaczów, rozgrzany zapałem, nie przeraził się, ścisnął szyk, stanął. Zwycięstwo zawisło nad nim, zdawało się czekać, aby je porwał.

Orlikowski dostrzegł, że Kołysko prowadzi do boju całą swoją siłę, porachował minuty, pojął, że natychmiast wsparty nie będzie, nie chciał przed ogólny natakiem narażać swej garstki, wolał cofnąć ją od strzałów armatnich i nakazał odwrót.

Nie zrozumieli komendy.

Zawołał wtedy:

— Nazad! Nazad! Nazad!

Nie zrozumieli jeszcze.

Gdy spoglądali na siebie, pytając się oczyma, co to znaczy, jakby w odpowiedzi przeleciały koło nich w bezładnej ucieczce szwadrony Pobiedzińskiego.

Wydało im się wtedy, że Orlikowski, wytrawny oficer, dojrzał klęskę, jego rozkaz, połączony z widokiem uciekających, zrodził popłoch, ktoś krzyknął:

— Zginęliśmy! Rejterada!!

I w mgnieniu oka hufiec, co tak mężnie stawał, rażony fatalną mocą słowa, nie słysząc głosu Orlikowskiego, pierzchnął cwałem, nic go już zawrócić nie mogło.

Opanowani próżnym strachem, nieprzytomni

wpadli na dziesieć szwadronów, prowadzonych przez Kołyskę, zagarnęli pierwszy, zwalili się na drugi, na trzeci, w zwiększającej się ciżbie niknęły hufce jeden po drugim.

Wyciągnięty ukośnie szereg, jak sztuka płótna, porwanego wichrem, osłoniony czarnym kurzem ukraińskiej ziemi, zwijał się kłębem i toczył po równinie, dwa tysięce niemal jeźdźców było jak jedna burzliwa chmura, z hukiem niosąca się na Daszów.

Rot sypał kartaczami.

Dowódcy, dawni oficerowie i kto przytomniejszy, parci natłokiem, wstrzymywali rzeszę, ale zostawali jak kamienie na łożysku osiąkłej powodzi.

Kołysko z rozpaczy rwał włosy i o śmierć wołał.

— Jenerale! uspokój się, radź co czynić! — przyskoczył do niego Aleksander Jełowicki.

— Na Boga! Leć do nich, niech się zatrzymają, niech się sformują tam za budynkami cegielni, bo noga nasza ztąd nie wyjdzie!

Sam tam się udał, kogo mógł chwytał, posyłał rozkazy, ale nie było sposobu ich wykonać.

Uciekinierzy wpadli do Daszowa, ztamtąd zły instynkt poprowadził ich największą, jakby wybraną dla pościgu, drogą. Tabor bagażów, zostawiony sam sobie, kierował się do lasu, za nim polała się jazda i płynęła tymże torem w miasteczku przerzedzało się coraz bardziej, zostawali tylko ci co innych wstrzymywać chcieli. I tylko ci, jak byli piersiami obróceni do swoich, tak oko w oko ujrzeli zbliżającego się nieprzyjaciela.

— Naprzód! Ratujmy naszych!

Zwarli się w hufiec i na ściśnione szeregi sołdatów wpadli piorunem. Rzucili się w środek, obskoczyli działa, wyrąbali kanonierów. Sputoszenie szerzył stary Borzęcki, gdzie się obrócił pozostawała szeroka przestrzeń, koło niego walczył równej pra-

wie siły Eustachy Jełowicki, mając przy sobie ojca i braci i obydwaj Potoccy, Sobańscy i Orlikowski. Zapamiętała ich, wściekła waleczność wzięła zrazu gwałtowną przewagę, wielu moskali padło, wielu rzucając broń prosiło o życie. Lecz szczupły hufiec tonął w głębokiej masie, ogarniały go z boków końce złamanych szeregów, szwadron skrzydłowy zabiegał z tyłu, trzeba było myśleć o ratunku. Utorowali sobie drogę.

Pogoń została wstrzymana.

Słońce już zachodziło, wilgotne obłoki, rozwłócząc się po niebie, przyśpieszały ciemność, mrok szary i chłodny pokrył pobojowisko.

Rot nie śmiał posuwać się dalej, stał w miejscu czas niejaki, odszedł w tył o milę aż do Gródka.

W dniu tym zginął Emir Rzewuski. Co się z nim stało, nikt się już odtąd nie dowiedział. Ponsową jego opończę widziano w boju, gdy nagle znikła i znikła nazawsze. Nie było go między tymi co polegli, ani między tymi co wpadli w ręce nieprzyjaciół, ani między tymi co uciekli już do korpusu nie wrócili.

Złotobrody Emir rozwiał się jak legenda.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

STANISŁAW SZPOTAŃSKI

BEZ SŁOŃCA

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

TOM II.

WYDAWNICTWO BIBLJOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH
WARSZAWA, SIENKIEWICZA, 12.

I.

Zasłonięty od pogoni, ciągnący lasem ku Czarnemu Szlakowi tabor stracił wszelką spójność, rozśrubował się, rozbił na tyle cząstek ile było w nim ludzi. Przez chwilę przerażenie dawało mu owczą jedność, teraz gdy ochłonął, zawrzał kłótnią, projektami, wymyślaniem na Kołyskę, na samo nawet powstanie. Oficerów w nim nie było i nie było nikogo, ktoby komendę objął i wolę swą narzucił. Wielu nawracało do Daszowa, ażeby połączyć się z tymi, którzy tam pozostali, ale więcej jeszcze miało wszystkiego dosyć i zmierzało ku domom. Blizkość własnych zagród dla ukraińców, dla powietników lipowieckich zbyt wielką stała się pokusą.

Nie udało się, cóż robić, muru głową nie przebije..

Piechota rozlazła się, wszyscy zaciągnięci chłopi i służba folwarczna.

Po ostatniej szarży Aleksander Jełowicki odbił się od swoich, stracił ich z oczu i szukał Kołyski. Przybył na miejsce wyznaczone dla obozu, ale nikogo nie znalazł, w ciemnej nocy błąkali się tu i owdzie nic nie umiejący mu powiedzieć powstańcy.

Nakoniec ktoś go powiadomił, że widziano jenerała, maszerującego ku Lisicom. Jełowicki pognał galopem i o dobre pół mili od Daszowa dogonił Ko-

łyskę. Było koło niego blisko sześćdziesiąt koni, prawie ci wszyscy, którzy pościg moskiewski wstrzymali. Ciągnęli teraz osowiali za starym jenerałem, aby drogą na Lisice połączyć się z powstaniem winnickiem.

— W arjergardzie idziecie? — pytał Jełowicki.

— W jakiej tam arjergardzie — odparł Kołysko — ani przed sobą, ani za sobą nikogo nie widziałem.

— A gdzie kasa, amunicja, bagaże?!

— W Daszowie zostały.

— Gdzie?!

— W Daszowie.

Jełowicki struchlał.

— Jenerale, tak rzeczy zostawiać nie można, należy wracać!

— Wracać! po co? Moskale z pewnością weszli do Daszowa i naszych ujęli, albo rozpędzili. Po co będziesz wracał?

— Trzeba się przekonać!

— Ja rozkazu takiego nie wydam, w ręce moskiewskie nikogo nie poślę.

— Więc ja pójdę sam! — krzyknął Jełowicki.

— Wszyscy pójdziemy z tobą! wszyscy!

— Wszystkich mi nie trzeba, dwudziestu wystarczy.

Pierwsi wysunęli się jego bracia.

— Zostańcie przy ojcu — rzekł im — jeśli to na raz jeden i na stracenie, to jednego z nas dosyć. No? Kto ze mną?!

Podjechał Orlikowski, Pawłowski, Wątróbka, Stecki, Borzęcki, Romer, w mig doliczono się dwudziestu i ruszono do Daszowa.

Zbliżając się do miasteczka, ujrzeli rzęsisty blask świateł.

— Moskale są — rzekł Jełowicki.

Odwiedli dubeltówki i jechali wolno, aby tententu słychać nie było.

— Stać! — szepnął nagle Jełowicki — pikiety.

Gotowali się, aby wpaść na nie niespodzianie, gdy Romer rzekł

— Jakie tam pikiety. Woły!

Istotnie na łące, przeciętej drogą, pasły się woły.

Bez przeszkody znaleźli się koło samego Daszowa, tak, że dochodził ich uszu gwar, jakby wielkiego tłumu.

— A więc moskale są — konkludował Jełowicki — piją i iluminują. Że też straży nie rozstawili! Zdumiewające!

Gdy wjechali w pierwszą uliczkę, ujrzeli snujących się uzbrojonych mężczyzn.

— Powstańcy!

— Co tu robicie?!

— A wy co?!

— My od Kołyski.

— A gdzie Kołysko?

— W drodze ku Lisicom. Moskali w mieście niema?

— Niema.

— A ta iluminacja?

— Szabas. Żydzi świeczki zapalili.

Iluminacja była szabasem, a gwałt czynili ci z powstańców, którzy powrócili do miasta, szukali swych znajomych, naczelników i pożywienia.

Było ich przeszło pięciuset, furgony porzucone stały na drodze leśnej, wśród nich z przepyszną bronią furgon ładowny po Rzewuskim.

Stecki, Jełowicki, Orlikowski i Borzęcki ujęli to wszystko w kupę, ruszyli z miejsca tabor i nad ranem połączyli się z Kołyską.

Płakał z radości i śmiał się, gdy mu opowiadano o iluminacji w Daszowie.

Szwadron Jełowickich pozostał w całości, z szwadronów Sobańskich, Rzewuskiego i bracławskiego uformowano drugi, z sześciu ukraińskich — trzeci, z resztek powstania hajsyńskiego i bałckiego — czwarty.

Straciwszy w boju tylko kilkudziesięciu ludzi, ujrzeli, że z siedemnastu szwadronów pozostało im cztery.

Tak przybyli do Woronicy, ciągnąc wciąż za sobą wielki tabor coraz bardziej kłopotliwy i nieprzydatny.

Było to miejsce pobytu osławionego zasiedatiela Ciechanowskiego, polaka, wyłapującego szlachtę, sprzyjającą powstaniu, z większą gorliwością i okrucieństwem, niżby to czynił jakikolwiek rosyjski czynownik. Borzęcki poprzysiągł, że go dosięgnie i pomści swego przyjaciela, starego Wyrzykowskiego.

Ciechanowski jednak schował się i nie odnalezionoby go, gdyby żydzi nie szepnęli, że ukrył się w kościele.

Tam, pod ołtarzem, napół omdlałego, dopadł go Borzęcki. Schwycił go, i ażeby przybytku bożego nie obrażać, niósł za kark jak kota, w milczeniu.

Przed kościołem oczekujący tłum rozstąpił się przerażony; nikt tu nie widział takiej siły i takiego olbrzyma.

Straszny starzec przywiązał jeńca do konia i wlókł go jęczącego przez całe miasto dla przykładu i przestrogi. Zdążała za nim gromada mieszczan i żydów.

— Niech go puści pan jenerał, on już i tak ledwo żyje, on nawet wcale nie żyje! — wołały żydki.

Ale Borzęcki siedział na siodle nieporuszony, bez litości w sercu, w zemście skamieniały.

Gdy dostał się na wielką, do lasu prowadzącą drogę, zlazł z konia, odwiązał Ciechanowskiego, zało-

żył mu rzemień pod gardło, podniósł jak tłumok w górę i na pierwszem drzewie własną powiesił ręką.

Zgroza przeszła przez cały korpus, ruszono cwałem, ażeby się oddalić od potwornego widoku.

— Straszny z waści człowiek — rzekł Kołysko — stary jesteś, Boga byś się powinien bać.

— Gdyby wszyscy, jak ja, byli sprawiedliwi, Bóg ocaliłby Polskę — odparł Borzęcki.

— Tak własnemi rękami rzemyk mu wiązałeś — wstrząsnął się jenerał.

— A cóż za różnica samemu zrobić, czy innemu kazać?

Korpus maszerował opieszale, sarkał na wodza, utykały zmęczone konie, jeźdźcom kleiły się do snu powieki, trudno było utrzymać w porządku rozwlekły i przerywający się szereg, najdzielniejszym udzieliło się zniechęcenie. Orlikowski zapadł w melancholję, sobie przypisywał całe nieszczęście i wróżył zgubę sprawie.

Dochodziły pogłoski, że w winnickiem powstanie zawiodło, co potwierdzało ciągłe spotykanie oddziałów rosyjskich. Mimo, że w poszczególnych utarczkach szczęście im sprzyjało, że pod Tywrowem rozbili ułanów Szeremetjewa, nadzieja w zwycięstwo zniknęła i nie wróciła.

Właśnie gdy wygrali bitwę pod Obodnem i drogę sobie otworzyli, przyszła wiadomość, że Dwernicki oddawna przeszedł granicę Galicji i że dlatego winnickie nie ruszyło.

Zniechęcenie przemieniło się w rozpacz, zaczęto szeptać, aby uczynić to, co uczynił Dwernicki.

W tym stanie ducha ponieśli klęskę pod Majdankiem. Stracili działa, broń, większość swych bogatych zapasów. Najwytrwalsi legli. Padł stary marszałek Jełowicki Józefa Borzęckiego dwie kule rzuciły na stos trupów, zginął od granatu Pawłowski, Orlikow-

ski, widząc przegraną, a oskarżając wciąż siebie o początek wszystkich nieszczęść, odrzucił skrwawioną szablę i z pistoletu czaszkę sobie roztrzaskał.

Teraz już głośno wołano: „do Galicji!"

I do Galicji pomaszerował Kołysko.

Gdy byli w Jarmolicach, zapragnął mówić z Kołyską jakiś wieśniak. Był to przebrany oficer z korpusu Dwernickiego — Zdzisław Znamierowski.

Gdy oni do Galicji śpieszyli, on z Galicji się przekradł, aby z nimi się połączyć.

Otoczyli go i złorzeczyli Dwernickiemu, że zaprzepaścił powstanie ziem zabranych.

— Odezwy do nas pisał! Ufaliśmy mu, wierzyliśmy w niego i on pierwszy broń złożył.

— Nie mógł postąpić inaczej — odpowiedział Znamierowski i tłumaczył, jak Dwernicki, zewsząd otoczony, tylko tę jedną drogę miał przed sobą.

— I my nie możemy postąpić inaczej!

— Wy nie jesteście w tem położeniu!

— Cóż mamy czynić?

— Nie przechodzić granicy.

— Z Galicji łatwiej będzie przedostać się do Królestwa!

— Złudzenie! Takiemu samemu Dwernicki uległ. Internować was będą w Morawji, na Węgrzech, w Austrji. Przedostać się?! O tem mowy niema!

— Ale aby tu się utrzymać, też już mowy niema — rzekł Kołysko. — Radzę panu wracać z nami, tu już wszystko skończone.

— Nie — odparł Znamierowski. — Różycki jeszcze walczy.

— Różycki?! Nie ma on nad kilkadziesiąt koni. Nigdzie jego śladów nie spotkaliśmy. Nie korpus to ani nawet nie oddział. Jak tam pan się zresztą przedostanie? Moskali po drogach pełno.

— Będzie, jak Bóg da.

Patrzyli na niego, jak na szaleńca i przekładali gorąco, aby się wyrzekł niedorzecznego zamiaru.

Uparł się.

Pozostawili go więc losowi i ruszyli dalej.

Nie zgadzało się z prawdą, że oddział Różyckiego liczył tylko kilkadziesiąt koni. Było w nim dwustu jeźdźców. Gdy Zamierowski wreszcie do nich dotarł, znajdowali się około Lityńca, dążąc za Kołyską, aby z nim się połączyć.

Tak ochotnicze wojska powstańcze poszukiwały się wzajemnie, bez komunikacji między sobą, bez innych wieści, jak te, których zasięgnęły u żydów i chłopów.

I gdyby teraz Znamierowski nie przyniósł wiadomości o Kołysce, to Różycki nicby o losie jego nie wiedział.

W jasny, majowy świt doszedł Znamierowski do wioseczki, w której Różycki obozował. Nogi miał opuchłe, pozawijane w brudne szmaty, wspierał się na kiju, dawno niegolona broda zarosła i włosy opadały na czoło.

Zatrzymała go pikieta.

— Dokąd to?!

— Do dowódcy Różyckiego.

— A czegóż chcecie?

— Zobaczyć się z dowódcą.

— Wyście nie tutejsi? — rzekł żołnierz, uderzony jego mową i akcentem.

— Nie tutejszy.

— A skądże?

— Przepuść mnie, bracie, a ja już powiem sam komu należy.

Żołnierz zastanowił się.

— Idźcie, — rzekł.

Przed karczmą, w której stał kwaterą Różycki, zobaczył Znamierowski młodego, pięknego mężczyz-

nę przy szabli, rozmawiającego z zarumienioną od ukontentowania dziewczyną. Oczy im się do siebie śmiały i tak zajęci sobą byli, że nie dostrzegli go aż przy nich się zatrzymał.

— Czy mogę widzieć pana Różyckiego?

Oficer odwrócił głowę.

Zamierowskiemu wydawało się, że go znał, że gdzieś z nim mówił, lecz zmęczenie nie pozwoliło mu wytężyć pamięci.

Oficer też przyglądał się bacznie.

— Kto wy jesteście, człowieku?

W obecności przysłuchującej się dziewczyny Znamierowski niechciał odpowiadać, więc rzekł tylko

— Jeśli można, to chciałbym jaknajprędzej pana Różyckiego zobaczyć, a jeśli nie można, to proszę wskazać mi jakie miejsce, gdzie mógłbym spocząć.

— Można, — zdecydował nagle oficer. — chodźcie.

Gdy znaleźli się sami w sieni, przystanął i rzekł

— Ja pana znam.

— I mnie tak samo się zdaje — odparł Znamierowski i wymówił swoje nazwisko.

— Czy być może?! Pan major!

— Pan Czajkowski! — rozpoznał go Znamierowski.

— Na miły Bóg! Co pan tu robi?! W takim stanie!

I Czajkowski, nie czekając na odpowiedź, otworzył drzwi, wołając:

— Major Znamierowski! Adjutant jenerała Chłopickiego!

Karol Różycki wyglądał na lat czterdzieści, był wzrostu wysokiego, potężnej budowy, włosów czarnych, oczów piwnych, niezwykle spokojnych i mądrych. Siedział przy stole, przy śniadaniu z dwoma

oficerami, którzy przez głowę Znamierowskiego spojrzeli we drzwi, szukając zapowiedzianego majora, gdy on odgadł go natychmiast, powstał i rękę wyciągnął.

— Skąd pan? — zapytał.

— Od Dwernickiego...

Znamierowski oparł się o stół, aby nie upaść.

Różycki podsunął mu krzesło i podał kubek z mlekiem.

Znamierowski pił chciwie i łamał chleb trzęsącemi sę rękami, dwaj ofcerowe przyglądali mu się ze spółczuciem, Czajkowski szukał w nim spotkanego u Wąsowiczowej męża Róży, adjutanta dyktatora.

Znamierowski odetchnął głęboko.

— Byłem bardzo głodny, — rzekł, jakby tłumacząc się i przepraszając.

Różycki nalał mu drugi kubek i jeszcze o nic nie pytał.

Dopiero gdy Znamierowskiemu policzki się ożywiły, zagadnął.

— Przedarłeś się pan z Galicji?

— Tak.

— Masz pan polecenia od Dwernickiego?

— Nie, żadnych poleceń od nikogo. Dwernickiego przed opuszczeniem Galicji nie widziałem. Szedłem tu, aby przystąpić do jokiego powstańczego korpusu, po drodze, w Jarmolińcach, spotkałem Kołyskę właśnie, gdy do Galicji przechodził.

— Co?! Kołysko do Galicji przeszedł?!

Krzyknęli razem Pilchowski, Grudziński i Czajkowski.

— Nie wiedzieliście?

— Nie! Jakże! Przecież my go gonimy!

— Kiedy to było? — spytał Różycki.

Znamierowski wyliczył dnie.

— Ilu ich było?

— Z pięciuset ludzi.

— Taka siła!...

— Szli z nadzieją przejścia stamtąd do Królestwa. Przestrzegałem, że się zawiodą .Te wojska, które tam się dostały, są stracone. W pojedynkę może komuś udać się, tak jak mnie, ale aby wszyscy... Przyjmie mnie pan do swego oddziału?

— Prześpij się pan nasampierw, — odparł Różycki, — tam w tej izbie łóżko stoi, Czajkowski wskaże.

I gdy Czajkowski wyprowadził Znamierowskiego, rzekł:

— Tęgi człowiek.

Oficerowie patrzyli weń, jak w tęczę, czekając jakie weźmie postanowienie. Przejście Kołyski do Galicji zmieszało wszystkie plany, cały wytężony marsz od Żytomierza stał się nieużyteczny, zostali sami, zewsząd otoczeni nieprzyjacielem, sytuacja była rozpaczliwa.

Różycki otworzył naoścież okno i zapatrzył się w radosny, rozkwitający w słońcu dzień. Życie płynęło odwiecznym rytmem, grało w skrzypieniu żórawi, porykiwaniu bydła, ludzkich nawoływaniach, ponad tragedję tych, co za broń porwali, tętniło w naturze niezakłócone i obojętne.

Odwrócił głowę.

— Idziemy do Królestwa, — rzekł.

— Do Królestwa? — spytał Grudziński.

— Tak, tu już większej siły nie skoncentrujemy, sami nic nie zrobimy.

— W którą pójdziemy stronę?

— Na Zamość.

— Czy się przedostaniemy?

— O to będziesz się troszczył? Robić trzeba to co robić trzeba i basta!

Taki on był.

Tworząc swój oddział, przysiągł, że walczyć będzie do ostatka.

„Od czego mnie nie odstraszy żadna moc, bojaźń prześladowania, nie ujmą wszystkie skarby wroga, ani żadne widoki osobiste. Tak mi Boże dopomóż i nie winna męko Chrystusa Pana".

Dał słowo Bogu i Ojczyźnie.

Odtąd o nic już nie pytał i niczem się nie niepokoił. Robić do końca to, co robić trzeba, a jeśli szczęście nie zaświeci, to znaczy, że Bóg rozporządził inaczej. Niech się dzieje święta wola Jego!

Kiedy Znamierowski ocknął się, zobaczył przy łóżku przygotowaną dla siebie bieliznę, kurtkę, spodnie i buty, leżał także pas i pistolety, ale brakło szabli.

— Nie będziesz jej miał — powiedział Różycki, — dopóki na moskalu jakim jej nie zdobędziesz, teraz ciesz się, że koń się znalazł.

Trąbiono wsiadanego. Inaczej niż u Kołyski. Nie wlokły się za wojskiem bagaże, amunicję i kasę wiozła jedna mocna bryka, oficerowie, podobnie, jak żołnierze, dźwigali ładownice, uzbrojenie było gorsze, brakowało flint i pałaszy. Broń główną stanowiły lance, u których ukute i wyostrzone zęby bronowe zastępowały zwykłe groty.

Unikali spotkań z nieprzyjacielem, aby śladów nie zdradzić, przemykali się jak przemyka się zwierz między czyhającemi na jego zgubę strzelcami, nocowali po lasach.

Różyckiego prowadził niezwykły, nieomylny instykt.

Bez rekonesansu, bez wysyłania szpiegów i badania chłopów zatrzymywał się nagle, zmieniał kierunek i omijał niebezpieczeństwa.

Gdy czuł wroga na piętach, to jakby z obozu jego

przybył, wiedział co zamierza i wychodził z matni cudem, jasnowidzeniem.

I tak zaraz z początku poszedł w stronę Winnicy, aby rosyjskiemu wodzowi nie dać poznać strony, w którą zdążał. Ten, zrozumiawszy, że Polacy zdaleka go oskrzydlają i zmierzają do Galicji, wysłał kawalerję z działami na Bar, gdy Różycki zawrócił niespodzianie, przeprawił się przez Boh i po trzydziestu godzinach wytężonego marszu pogubił wszystkie pościgi i pokrzyżował wszystkie plany.

Kiedy po długim pochodzie, przeszedłszy Krasnopol, zatrzymał się w polu przed wsią Mołoczkami, aby dać spocząć ludziom i koniom, nadbiegły wedety donosząc, że pół bataljonu piechoty i czterdziestu kozaków wchodzi do Krasnopola.

— Na koń! — skomenderował i wskazał szablą w stronę wsi.

Znamierowski nie rozumiał i podjechawszy do niego, rzekł:

— Od Krasnopola idą, nie od Kołaczek.

— Spróbujemy się z nimi najpierw za Kołaczkami.

Pognali przez wieś i ujrzeli w polu maszerującą piechotę.

Zwinęła się w czworobok, stanęła, dopuściła ich na sto kroków, dała ognia.

— Sława Bogu! — krzyknął Różycki, rzucając się do ataku.

— Sława Bogu!! — powtórzył oddział całą siłą pędu niosąc się w zamknięte szeregi.

Pierzchłyby, gdyby nie dowodzący nimi kapitan. Pierwszego poddającego się sołdata zastrzelił i chwyciwszy jego karabin, zawołał

— Sztykami, rebiata!

Już było zapóźno, roztrącone szeregi konały pod zębami broni.

Kapitan z bagnetem na Różyckiego skoczył, dosiągł go, lecz tylko mundur na piersiach mu rozdarł. Odstawił się znowu, gdy Znamierowski dopadł i między same oczy z krucicy mu wypalił.

Padł mężny moskal, a komenda jego broń ciskając, zmykała w popłochu.

Teraz na Krasnopol!

Nim dobiegli, kozacy zmiarkowawszy klęskę, uciekli, piechotę rozbrojono i puszczono wolno.

— Jak wiedziałeś — pytał Znamierowski, — że moskale od Mołoczek maszerują?

— Zamało ich było pod Krasnopolem, aby szli na nas sami, — wyjaśnił Różycki.

— On ma Boże czucie w sobie — mówił o Różyckim Pilchowski.

Michał Czajkowski, Seweryn Pilchowski i Znamierowski jechali zwykle około siebie.

Opierając się na wrażeniu, jakie odniósł z poznania Czajkowskiego na wieczorze u Wąsowiczowej, nie przypuszczałby w nim Znamierowski niezwykłego daru narracyjnego. Nieraz w późną noc, zapaliwszy lulkę, słuchał prześlicznych jego opowiadań o ludzie tutejszym, jego obyczajach i żyjących wśród niego legendach. Raz, gdy rzecz szła o Wernyhorze, Czajkowski rzekł:

— Umarł on na Ukrainie, w Parchomówce, w tej wsi, gdzie urodził się Seweryn Krzyżanowski.

Dreszcz przeszedł po Znamierowskim.

— Krzyżanowski... — powtórzył głucho.

— Ten z towarzystwa patrjotycznego, dotychczas więziony, znałeś go? — spytał Czajkowski.

— Znałem.

— U twojej żony wspominano go często. Był tam prawdziwy kult dla niego, pamięć jego czciło się jak coś świętego.

— Wernyhora umarł tam, gdzie urodził się Krzyżanowski, czyż to nie Boży znak, czyż to miejsce nie powinno stać się miejscem pobożnych pielgrzymek dla polaków, — mówił w zadumie, mistycznie nastropony Pilchowski.

Znamierowski wstał, jakby ktoś kamieniem weń cisnął.

Święta pamięć! Święte miejsce! Dosyć miał tych wspomnień, tych kultów i tej czci! Niedługo każda wierzba w Polsce nazwiskiem tem szumieć będzie, każde dziecko powtarzać je przy pacierzu. Mało to do więzienia poszło przed nim i po nim, mało to dzisiaj codzień idzie na śmierć? Czyż on nie przedarł się od Dwernickiego w chłopskiej odzieży, aby obowiązek spełnić do końca? Mógł dziesięć razy awisnąć na gałęzi. Czem on jest gorszy od Krzyżanowskiego? Długoż się będzie gryzł i kajał za chwilę nieopatrznej rozmowy z w. ks. Konstantym?

Szedł między śpiącymi powstańcami. Spoczywali, podłożywszy siodła pod głowę.

Niejeden jest tu taki, jak Krzyżanowski. Niejeden zginie, niejednego ciało psy rozwloką i pamięć o nim nie przetrwa mgnienia oka. I on jest z nich — od Krzyżanowskiego nie niższy, ani nie gorszy.

Na skraju lasu ujrzał Różyckiego. Stał nieporuszony jak szyldwach i wyglądał jakby się modlił.

— Nie śpisz? — spytał Znamierowski.

— Nie, posnęli wszyscy, trzeba aby ktoś czuwał.

— I ty to robisz?

— Pomęczeni, młodzi potrzebują snu, — odparł wymijająco Różycki. — Mnie wystarcza gdy pięć minut się zdrzemnę, a mamy przed sobą jeszcze ze trzy dni drogi.

Poszli brzegiem lasu, pogodny księżyc lał poso-

kę światła na ciągnące się w dal pola żyta i pszenicy. Dzieląca je od lasu droga bieliła się jakby wysypana kredą. Był to już koniec maja.

— Milej to byłoby uprawiać, siać i żąć niż wzajem się mordować, — rzekł Różycki, — cóż kiedy świat taki.

— Człowiek człowiekowi wilkiem — potwierdził Znamierowski.

— Bo nieoświecony łaską pańską. Nie taki zły, jak nieoświecony. Pośród nich nawet uważam ludzi godniejszych lepszego losu, jak ginąć za psią sprawę. Ten kapitan, coś go ustrzelił, wart był za co innego dać się zabić.

— Dla niego to nie psia sprawa, dla niego to sprawa jego monarchy — cara.

— Otóż to właśnie, on wierzy w swojego cara i wierzy, że wiara jego jest dobra. Nie wszyscy między nimi tacy, ale tacy są i to najstraszniejsze.

— Dlaczego?

— Bo oni dają podporę złu, stanowią jego moc. Bez nich byłoby ono bezsilne. Odbierz złu podporę dobra, a stanie się jak zeschły chwast. Największy to tryumf szatana dobro usidlić i kazać mu sobie służyć. Nad dobrem, nieoświeconem łaską pańską, djabeł swoje gwiazdy rozpala.

Znamierowski wiedział, że Różycki wielce jest pobożny. Okrzyk „sława Bogu", którym zastąpił dzikie, jak je nazywał: „hurra", dawał swoisty charakter jego oddziałowi. Pociągał osobą swoją wrażliwych na idee mistyczne, w wyglądzie nawet miał coś różnego od innych wojskowych. Patrząc na niego teraz, gdy szedł w ciszy lasu i srebrnym blasku księżyca, Znamierowski pomyślał, że tacy byli rycerze, co o Grób Pański z niewiernymi walczyli.

Jak on, wierzyli w Boga i w istnienie szatana.

— A cóż człowiek winien, jeśli łaska pańska go nie oświeca i jeśli wtedy nad nim, jak mówisz, djabeł gwiazdy swoje rozpala?

— Co winien? Od Boga musiał kiedyś się odwrócić, a Bóg za sobą iść nie zmusza, Bóg nie jest terrorystą, wolność każdemu zostawia.

— Cóż więc znaczy „niech się dzieje wola Twoja", czyż w tem nie fatalizm jest, nie przeznaczenie? — wciągnął się w religijną dyskusję Znamierowski.

— Fatalizm? Przeznaczenie? Dlaczego? To ufność do Najwyższego Ducha, Pana i Stworzyciela wszech rzeczy. Czyż nie wiesz co to jest ufność? Nie ufałeś nikomu tak, żeby zdawać się nań choć nie znałeś jego zamysłów?

— Nie.

— To dziwne, bo ty przecież, jak i ja, żołnierz jesteś dawny; żołnierzom to uczucie dobrze jest znajome. Pod Napoleonem nie służyłeś?

— Nie.

— Prawda, ja jestem nieco starszy od ciebie, choć i ja wtedy byłem prawie dzieckiem. Wiesz jednak jaką żołnierz do Napoleona miał ufność. Napoleon mu się nie zwierzał, planów swoich nie odkrywał, a żołnierz słuchał go ślepo, bo wiedział, że nic lepszego od wykonania jego rozkazów być dla niego nie może. Miał wolę pełnienia jego woli. To jest to.

— Co dla nas w tej woli się kryje?

Coś, jakby jęk, dobyło się z piersi Różyckiego.

— Tę walkę, którąśmy zaczęli, nie my skończymy — rzekł.

Znamierowski spojrzał nań z przerażeniem, zrozumiał, że Różycki nie wierzył w zwycięstwo.

Świt wschodził.

Gdy powrócili, obóz się budził, żołnierze wsta-

wali z ziemi bladzi, drżąc z zimna, niebawem biało-amarantowa wstęga proporców rozwinęła się nadleśną drogą.

Zmyliwszy jeszcze kilkakrotnie nieprzyjaciela, stoczywszy utarczkę z Petersem, stanęli nad Bugiem.

Spokój był zupełny, przebyli rzekę wpław. Dopiero pod Uchaniami napadli na śpiący rosyjski obóz. Ujęli pułkownika, kilkudziesięciu żołnierzy i oficerów, resztę potłukli i rozpędzili. Konie, kilkaset karabinów, pałasze i pistolety stały się ich zdobyczą.

Gdy podkładano ogień pod baraki, Różycki przywołał Znamierowskiego.

— Pojedź do Zamościa, do komendanta twierdzy, żeśmy przeszli.

Znamierowski ruszył z kopyta.

Nie dojechawszy do Zamościa, spotkał polski korpus.

To jenerał Chrzanowski, powiadomiony o zbliżaniu się Różyckiego i o tem, że ścigany jest przez kozaków, ciągnął mu na pomoc.

Kiedy Znamierowski zdał mu raport, ktoś niespodzianie porwał go w objęcia.

Wysocki!

On też umknął z Galicji i dostał się tutaj wraz z wielu innymi Dwernickiego oficerami.

— Nie będziemy wracali, powitamy Różyckiego — rzekł Chrzanowski.

W tej chwili jednak po tej uprzejmej dyspozycji nachmurzył się.

— Więcej nam te nieregularne powstania kłopotu, niż pożytku przynoszą.

Był to człowiek dziwnie szczupły i mały, prawie karłowaty, o bystrem i inteligentnem wejrzeniu.

Wysocki zagadał się z Znamierowskim. Sprawy nie idą dobrze, Dwernicki stracony, komenda

naczelna nie umiała korzystać z odniesionych zwycięstw, sejm rozgadany, bez woli i inicjatywy, wśród członków rządu zatargi i dymisje.

— Lepiej ci było w tych pochodach z Różyckim, jak będzie tu — mówił Wysocki.

Wtem, idące przodem szwadrony krakusów, huknęły:

— Niech żyje!!

— Sława Bogu!! — zagrzmiało w powietrzu.

II.

Tegoż samego dnia, na obiedzie przez Chrzanowskiego dla Różyckiego wydanym, Wysocki opowiedział Znamierowskiemu, jak tu przybył przed kilku dniami i nie wiedział dokąd odkomenderowany będzie. Chciałby do Zawichosta.

— Ach, ta panna! — przemknęło przez myśl Znamierowskiemu — więc jej nie zapomniał. Jakże to ona? Ołtarzewska...

— Sądzisz, że tam te panie z Bielawki są jeszcze? — zapytał.

Wysocki zarumienił się.

O miłości swojej nie mówił dotąd z nikim, odgrodził ją od cudzych wejrzeń i niósł w duszy, jak gwiazdę, świecącą mu w trudzie i męce żołnierskiego żywota. Przejrzany i wprost zagadnięty, zmieszał się i spłoszył.

Znamierowski to spotrzegł i żal mu się zrobiło twórcy powstania.

— Widziałem, że macie się ku sobie i nie dziwię się — rzekł — panna cud.

Wysocki rozjaśnił się.

— Prawda?

— Najrzetelniejsza — odparł Znamierowski, starając się nadać głosowi ton głębokiego przekonania.

— Znałem ja wiele kobiet — (co zgoła było nieprawdą), zaczął zwierzać się Wysocki — ale w żadnej nie odczułem tyle podniosłości. Instynkt dał mi to poznać, gdy ją tylko ujrzałem.

— Instynkt dał mu poznać, że jenerałowie staną na czele rewolucji — pomyślał Znamierowski, lecz słuchał w poważnem skupieniu.

— Przecież, prawdę mówiąc, myśmy na ten dom sprowadzili nieszczęście, spalony został przez nas, ani słowa wyrzutu, patrjotyzm jej okazał się nadewszystko.

Jadowity ząb złości ukąsił Znamierowskiego.

— Ma ona wyższe zalety, niż patrjotyzm i cnoty obywatelskie.

— Jakie? — nadstawił łakomie ucha Wysocki.

— Urodę.

— Na to ja mniej patrzę — lecz oczy zaświeciły mu się z ukontentowania.

— A na cóż patrzysz? Na cnotę?

— Dusza, tak w mężczyźnie, jak w niewieście jest najważniejsza.

— Tak to się gada, ale z poczwarą, choćby jak matka Grachów była, nie żyłbyś, chyba dla umartwienia. To gorsze, niż wielki post.

— Co wy tam o poście?

— Przypominają sobie peregrynację od Dwernickiego...

— W lasach żyli korzonkami, jak święci...

— U pana — odezwał się do Różyckiego Krysiński — klasztor podobno był, nie obóz.

— Nie tak, jak tutaj w fortecy — rzekł Chrzanowski.

—A cóż u mnie w fortecy dzieje się takiego, jenerale?

Rozmowa, przerywana wybuchami śmiechu, zahuczała nad stołem. Każdy śmiał się z tego, co mówił sam i z tego, co mówił jego sąsiad, choć dowcipu i sensu było w tem niewiele. Prawie wszyscy ci oficerowie, od najmłodszego wieku nosili mundur i zachowali intelektualną naiwność. Weselili się z byle czego, jak sztubaki.

To też, gdy Chrzanowski, namyśliwszy się trochę, odparł

— W samej fortecy, może nie, ale pod wałami, zwłaszcza, gdy wiosna nastała — śmiech gruchnął niehamowany, zwłaszcza, że żart wyszedł od jenerała.

W tej chwili, brzęcząc ostrogami, wszedł na salę oficer. Znać było, że dopieroco zeskoczył z konia, mundur i buty miał skurzone, pot zalewał mu czoło.

— Hauke! — zawołał Znamierowski.

Hauke, nie zatrzymując się, podszedł do Chrzanowskiego i oddał mu dwie koperty.

— Od naczelnego wodza, od jenerała Prądzyńskiego.

Chrzanowski rozerwał pieczęcie; w miarę, jak czytał, posępniał i brwi marszczył.

— Co się stało? Co się stało? — pytano szeptem.

Hauke nie odpowiadał, czekając, aż Chrzanowski czytanie listów ukończy.

Wreszcie Chrzanowski odłożył je i podniósłszy oczy na Haukego, rzekł

— Nie rozumiem. Naczelny wódz mi pisze, że straty nasze, choć znaczne, nie przenoszą czterech tysięcy, że bitwę tę można nawet uważać za wygraną, bo gdyby chciał, to stanowiskaby nie opuścił.

Prądzyński zaś, że nie była to bitwa, lecz krwawa burda, która się w ogromną przemieniła klęskę.

Gdy słowa te wyrzekł, zerwano się z krzeseł i otoczono go kołem.

— Gdzie?! Co?! Jaka klęska?!

A Hauke, jakby uszom nie wierząc, spytał

— Bitwę tę uważaćby można za wygraną, pisze wódz naczelny?

— Tak.

— Jaką bitwę?! Kiedy?! — ciśnięto się do Haukego.

— Pod Ostrołęką, dwudziestego szóstego maja.

— Pan byłeś w niej? — spytał Chrzanowski.

— Byłem.

— Więc?!

— Więc — odparł Hauke — klęska jest zupełna, wojsko w nieporządku cofa się do Warszawy.

— W nieporządku? Co mówisz?!

— W nieporządku; jeśli popłochu zupełnego niema, to dlatego, że w pościg moskale się nie puścili.

I odetchnąwszy mówił

— Prócz tych, co padli i ranni, moskale wzięli półtora tysiąca niewolnika, ale najgorsze, że demoralizacja ogarnęła armję. Armja jest bez wodza, ginęła przez bezhołowie.

— A Skrzynecki?

Hauke wstrząsnął głową.

— Nie jest wodzem jenerał Skrzynecki!

— Śmiało odzywasz się pan o naczelnym wodzu — rzekł Chrzanowski.

— Każdy oficer mówi to samo i każdy żołnierz. Dziw byłby, gdyby pod nim chciało wojsko raz jeszcze iść do bitwy. W umyśle mu się pomieszało. Z początku nie wiedział nic, bez frasunku przy szampanie się zabawiał. Potem po polu bitwy pę-

dzał, jak szalony, wszystko pchał naprzód. Ludzie ginęli w bagnach i rzece bez potrzeby, tylko dla jego rozkazu. Kto tam był, kto widział, to tego nie zapomni!...

— A Prądzyński? — przerwał Chrzanowski.

— Jenerał Prądzyński nie chciał odstępować, nie straciliśmy pozycji, chciał czekać na przybycie Giełguda z Łomży. Wódz naczelny postanowił inaczej, nakazał odwrót, a Giełgudowi posłał rozkaz maszerowania na Litwę, mówiąc, że tam teraz zbawienie.

— Niemasz tam żadnego zbawienia — rzekł Chrzanowski.

— Toć w takiej chwili siły koncentrować należy! — zawołał Różycki.

— Jakież zdanie w wojsku, między oficerami? — spytał Chrzanowski.

Hauke milczał.

— Mówże pan!

— Że...

— Że co?!

— Że to koniec.

Twarze stały się szare, w niektórych oczach błyszczały łzy.

— Ażeby wodza zmienić? — rzekł Znamierowski.

— Jedyny byłby to ratunek. Warszawa grobem mogłaby stać się dla wroga, gdyby obroną pokierował determinant, wódz!

Z tego, co mi pisze jenerał Skrzynecki, wnoszę — rzekł Chrzanowski — że otuchy on nie stracił, musi mieć swoje plany, może właśnie na obronę Warszawy stawiał.

— Mamże powiedzieć prawdę, co o tem myślę? — spytał Hauke.

— Powiedz pan.

— Jenerał Skrzynecki kłamie!

Mimo, że we wszystkich wrzało już oburzenie na naczelnego wodza, słowo to obelżywe powiało, jak mróz. Chrzanowski bacznie wpatrzył się w Haukego, dostrzegł w jego oczach płomień buntu i pojął, że to tylko odblask tego, co dzieje się w wojsku.

— Jakże to naczelny wódz pana z ekspedycją wysłał? — zagadnął ironicznie.

— Nie gadał ze mną, a zapewniam pana jenerała, że nie znalazłby nikogo, ktoby mówił inaczej.

I unosząc się, ciągnął.

— Jenerał Skrzynecki wiedział, że poniósł klęskę. Już podczas bitwy rozpacz na niego przyszła. Wyglądał, jakby chciał zginąć — to prawda! Gdzie niebezpieczeństwo było największe, tam leciał. Aż żołnierze nad nim się litowali. Lecz w drodze do Warszawy wytrzeźwiał, myśli tylko, jakby hetmaństwo zachować i do niedołęstwa się nie przyznać!

— Niema co, wodza trzeba zmienić — rzekł Wysocki.

Hauke odwrócił się i spojrzał mu w oczy twardo.

— Wskrześ pan tych, których podchorążowie dwudziestego dziewiątego listopada na ulicach wymordowali, a może między nimi wodza znajdziesz!

Wysocki zbladł, lecz odpowiedzi nie znalazł; poczuł, że to syn zamordowanego ojca, straszny w tej chwili bierze odwet.

— Kto zginął z oficerów? — spytał, przerywając scenę Chrzanowski.

— Jenerał Kamiński, Kicki, kapitan Komierowski, pułkownik Gajewski, major Szpotański; Krasicki w niewoli...

Pytania krzyżowały się, każdy chciał uzupełnić sobie obraz, wytworzyć zdanie o sytuacji.

Hauke, odpowiadając, szedł za szlakiem swych

świeżych wrażeń, wciąż wybuchających oburzeniem na naczelnego wodza, głównego sprawcę nieszczęścia.

Mówił, jak Skrzynecki, zjadłszy obiad w Troszynie, wsiadł do karety i całą drogę do Ostrołęki spał, jak śpiąc mijał kolumny wojska, jak przybywszy do Ostrołęki nie obejrzał okolicy miasta, ani miejsca, na którem nazajutrz bitwę stoczono.

— Stanął na poczcie, — opowiadał — na pierwszem piętrze, okna były otwarte, widziałem go, widzieli go wszyscy, gdy z intendentem Badenim pił szampana. Żołnierze w szeregach kpili.

— Znam tę Ostrołękę, — rzekł porucznik Omieciński, — nędzna mieścina nad Narwią, bagna, a dalej lasy sosnowe i piaski.

— Właśnie bagien on tych nie znał. Pchnął tam Michała Mycielskiego na czele białych ułanów. Ugrzęźli w błocie. Piechota sypnęło do nich ogniem, artylerja obróciła na nich działa. Ponieśli mocne straty, wydobyli się jednak z błota i zreformowali nad kałużą. Skrzynecki patrzał, widział i znowu posłał rozkaz do ominięcia tej przeszkody i do ataku. Znacie Mycielskiego! Marsz! marsz! i defiluje wzdłuż kałuży między ogniem piechoty i artylerji, szukając lepszego miejsca. Zdawało mu się, że znalazł i znowu konie zapadają po brzuchy. Przez kilka minut został zdziesiątkowany.

— Gdzie Skrzynecki miał głowę?!

— Stracił ją, w widocznej był gorączce, — i Hauke począł przedstawiać na stole pozycje.

— Tu stoi baterja Turskiego, tu załamuje się szosa o sto sążni od mostu, w tem właśnie miejscu usadowiła się brygada Martinowa, a jej tyraljerka rozsypała się naprzód. Turski ma pozycję doskonałą, granaty jego rżną w tę masę ściśniętą na szerokim i wysokim moście. Nadjeżdża Skrzynecki

i woła: „Allez en avant;" Turski myśli, że się przesłyszał, pokazuje jakie ma doskonałe stanowisko, a Skrzynecki: „Fichtre! Avez vous peur?!" Wtedy Turski każe zaprzęgać działa i jedzie na równinę.

— Bez eskorty? — spytał Chrzanowski.

— Bez żadnej. Wjeżdża między tyraljerów. W kilka minut cała baterja rozbita, nie może dać ani jednego strzału, cofa się i musi zostawić dwa działa. Czy widział kto kiedy coś podobnego?!

— Powinien on był zginąć w tej bitwie, nie powinien był jej przeżyć, — rzekł Krysiński.

— Chciał on tego, zdawało się, że chciał, aby wszystko razem z nim zginęło. Leciał na koniu przed frontem piechoty i krzyczał na całe gardło: „Rybiński en avant! Małachowski en avant! Tout le monde en avant!" opuszczali wtedy wszyscy pozycje w zaroślach i szli masami odkrytą równiną

— Wierzyć się nie chce!

— Zamęt powstał straszliwy. — Oficerowie zbierali kupy z różnych pułków i szli z nimi na śmierć. Skrzynecki jeździł po polu, zdaleka widać go było wysokiego na koniu.

— Grand et bête, — mruknął Chrzanowski.

— Jeździł, sam zbierał kolumnę, dostał kilka kul w płaszcz, lecz żadna go nie tknęła, wreszcie kolumnę zebrał, poprowadził, lecz, nim zbliżył się do szosy, artylerja mu ją rozbiła.

— Cóż mówił potem?

— Wsiadł do landary z Prądzyńskim i udał się na noc do Różana. Prawdziwiej przodkował ucieczce. Płakał i wołał: „finis Poloniae!"

— Kościuszkę udaje!

— No, któż to słyszał!

— Prądzyński opowiadał.

— Najgorsza, że Giełgud na Litwę poszedł, czy sam Skrzynecki wpadł na tę myśl?

— Podobno Dembiński mu ją poddał.
— A Dembiński gdzie jest?
— Też tam pociągnął.
— Świat się kończy!
— Mojem zdaniem, — rzekł Chrzanowski, cała rzecz teraz w Warszawie. My trzymać tu będziemy Kreutza, a Warszawa musi się bronić. Skrzynecki w obronie lepszy.
— Czy zna się on na fortyfikacjach!
— Drugi raz doświadczenia takiego ponawiać nie można!
— Udolniejszy był Radziwiłł!
— Możeby Chłopicki objął ponownie dowództwo!
— Ani mowy niema! Nie wykurował się jeszcze z ran i w Krakowie leży.
— Cóż? — spytał Różvcki Znamierowskiego,— zostaniesz z nami, czy do Warszawy pojedziesz?
— Ja do Warszawy.
— I ja także, — rzekł Wysocki.
— Spodziewałem się tego, wy stamtąd, wy tam jesteście potrzebni. Bóg by dał, abyśmy tu moskali rozgromili i przyszli z odsieczą.
I Różycki uścisnął silnie Znamierowskiego.
Tegoż samego wieczoru ruszyli na całą noc. Zatrzymywać się postanowili tylko tam, gdzie koniom koniecznie trzeba było dać wytchnąć, można bowiem było przypuszczać, że armja rosyjska ku Warszawie pociągnie i drogę zamknie.
W Zawichoście wypadł im postój. Musieli odpocząć i przenocować. Wysocki o Ołtarzewskie chciał się dowiedzieć, aczkolwiek nadziei ujrzenia panny Jadwigi nie miał, z pewnością do tego czasu tu nie przebywała, a na skręcanie do Bielawki, choć leżała niedaleko, nie było czasu, ani pory.
Przypadek zarządził inaczej. Gdy weszli do

oberży, aby coś zjeść i nocleg kazać sobie przygotować, ujrzeli za stołem Nagolewskiego.

Siedział przy misce z bigosem i kuflu piwa. w kitlu był białym, siwiejące wąsy junacko podkręcił, nos od miłego zapachu mu się zaróżowił, oczy promieniały, z całej postaci biło największe z pobytu na tym padole płaczu zadowolenie.

Zerwał się na ich widok i ramiona roztworzył.

— Jak Boga kocham! Góra z górą! Jak Boga kocham! Skąd?! Dokąd?!

— Siadajcie! — wołał, słuchając jednocześnie odpowiedzi. — Bigosu! Piwa! Takiego bigosu w Warszawie nie dostaniecie, jeszcze tylko na prowincji w Pana Boga wierzą! Na kolanach jeśćby go wypadało! Słowo honoru!

Klasnął w dłonie i nim się spostrzegli, już dwie dymiące miski mieli przed sobą.

— Do Bielawki, mam nadzieję, wstąpicie.

— Niepodobna, — odrzekł Wysocki, tłumacząc dlaczego muszą do Warszawy pośpieszać.

— Toć wam wszystko jedno nocować tu czy w Bielawce, jeno że wygodniej się prześpicie i kolację lepszą zjecie. Gwarantuję!

— Właściwie pan Nagolewski ma rację, — rzekł Znamierowski, — na czasie przez to nie stracimy.

— Tak myślisz? — spytał miękko Wysocki.

— Naturalnie, tylko czy nam wypada gospodarzom ambaras sprawiać.

— Ambarasu niema żadnego, ja zapraszam, bo ja tam teraz gospodarzem jestem.

— Pan?!

— To wy nic nie wiecie?

— Nie, — skądże możemy coś wiedzieć?

— A więc nie wiecie o nieszczęściu? Ołtarzewski umarł.

— Ołtarzewski umarł?!

— Umarł.

— Kiedy?!

— Czekajcie, — kiedy powróciłem z Wołynia... powiem wam jakie tam miałem przygody, emir Rzewuski darował mi araba czystej krwi, zostawiłem go na pamiątkę Pawłowskiemu, temu co wiecie... Nie spotkaliście go gdzie?

— Nie.

— Więc kiedy powróciłem z Wołynia, stary był chory. Żona i córka pamiętacie, były w Zawichoście, przybyły, a że dom był spalony, urządzono oficyny, wcale dobre pomieszczenie, obszerne, zobaczycie, i tam w tych oficynach stary w gorączce leżał.

— Co mu było?

— Cholera. Zawędrowała tutaj, — takiej złe drogi nie odstraszą. Z najwyższem poświęceniem zostałem dla pielęgnacji i pomocy kobietom. Siedziałem w nocy przy nim sam, uważajcie, już przyjął św. Sakramenta, było niby lepiej, kobiety się zdrzemnęły, a on na mnie patrzy, nie zapomnę tego wzroku, choćbym sto lat żył, bierze mnie za rękę i mówi „Umrę". — „Co ci się zdaje, — mówię, masz się przecie lepiej". — „Umrę", — powtarza, podnosi dwa palce w górę, — „przysięgnij, że wdowy i sieroty nie opuścisz, czasy straszne, same dwie w domu, przysięgnij!" Ciarki po mnie przeszły, sprawy publiczne do stolicy mnie wzywają... Nic ci nie będzie, — mówię — gorączki trochę teraz masz, do jutra przejdzie"... A on nic, tylko: „przysięgnij!" „Przysięgnij! woła, abym spokojnie umarł", i aż na posłaniu wstaje. Widzę, że oczy mu mgłą zachodzą, więc palce podnoszę: „przysięgam!" A on woła: „Na krzyż!" Krucyfiks stał koło łóżka, przysięgam. „Niech ci Bóg wynagrodzi, — rzekł i oczy zamknął.

Nagolewski otarł łzy.

— Czyż mogłem postąpić inaczej? Wdowa mi do nóg prawie padła za to, com uczynił. Oceniła moje poświęcenie. A więc jedziecie do Bielawki? Tylko do jutra możecie pozostać? Do rana? Rozumiem, że nie możecie zwlekać, tembardziej jedźmy zaraz, zabiorę was, a konie wasze przyjdą za godzinę, gdy podjedzą.

Wielkie przygnębienie przyszło na Wysockiego. Ołtarzewski umarł, ojciec Jadwigi.

Mój Boże, takie biedactwo! Sama jedna na świecie, on wesprzeć jej nie może i czy będzie mógł kiedykolwiek, myślał z smutnem rozczuleniem. Co życie niesie? Losy dla wszystkich już gotowe, wyroki nieodmienne, już gdzieś zapadłe, których nikt jeszcze nie odczytał.

I nagle, jakby od zewnątrz, z powietrza, od pól i lasów płynąca, uderzyła weń myśl, że gdyby pannę Jadwigę poznał przed dwoma laty, przed rokiem nawet, to dwudziestego dziewiątego nie porwałby się na moskali.

— Nieprawda! — krzyknął w duchu, — nieprawda! Co za głupstwa w głowie mi się rodzą.

Lecz łamiąc gwałtownie wolę, drogę sobie zagradzającą, szerzyła się ta myśl mu w duszy.

Któż byli ci rewolucjoniści? Ci bohaterzy listopadowi? Któryż z nich miał żonę, dzieci, narzeczoną? Ani jeden! Studenci, podchorążowie, młodzi literaci... Byli, jak ten piasek, co po drodze wieje i sypnęli sobą w oczy narodowi. Oby nie zapłakał krwawemi łzami!

Kazali iść za sobą takim jak Różycki, co w kraju zabranym dom zostawił, żonę i dziecko. I tysiące, tysiące takich wśród oficerów i żołnierzy, jak Różycki! To jest poświęcenie! A jakież było ich— ich — bohaterów belwederskich?

Cóż oni poświęcili?

Tylko siebie, tylko swoje lekkie, niczyją łzą nie obciążone głowy.

Czyż nie więksi są ci, którzy uznali to, co się stało, niż oni, którzy to, co się stało, zrobili?

Bo mogli byli nie uznać, wolno im było i nie byłaby to zdrada.

„Wskrześ tych, których podchorążowie pomordowali" — brzmiały mu w uszach słowa Haukego.

A Nagolewski gadał

— Więc widziałeś pan Kołyskę, gdy wchodził do Galicji. Przeczuwałem, że tak się stanie; stary safanduła. Głosowałem przeciw niemu. Nietylko głosowałem, lecz przemawiałem. Powiedziałem wprost: „czcijmy starość i zasługi, lecz baczmy, aby ręka, która miecz trzyma, ze starości nie zadrżała". Nie chcieli słuchać i stało się. Szczególne, żeś pan nie widział Pawłowskiego.

— Nie — odrzekł Znamierowski.

— Szczególne! Siedział na arabie! Lepiejbym uczynił, gdybym konia tego zabrał z sobą, tak austrjakom się dostanie. Wierzchowiec byłby dla Jadwini w sam raz.

Nagolewski pannę Ołtarzewską już Jadwinią nazywał.

— A Rzewuskiego pan nie widział?

—Może widziałem, ale nie wiem, któryby to był, przecież ja w tym korpusie nikogo nie znałem.

— Ten był znaczny, tegobyś pan poznał. Beduin! Broda złocista, zawój, płaszcz czerwony, postawa! Pan z panów!

— Rzewuscy nie są panami z panów — zaprzeczył Znamierowski.

— Nie są? Ja też coś o tem słyszałem, ale on był. Edukacja nadzwyczajna! Przechadzając się ze mną po obozie, zaczął mówić o arabskiej literaturze. Słowo honoru! Gdy zeszła rzecz na koran,

ja powiadam, wiecie, że byłem w Konstantynopolu, jako uważam to dzieło za kwintesencję wszelkiej poezji. On się wtedy zatrzymał, uderzył w czoło: „wiesz, masz rację, oświeciłeś mnie!" Zawiązała się zaraz między nami konfidencja, jak to zwykle bywa między erudytami. „Weź — mówi — na pamiątkę tego araba, nazywa się Surat" — Surat, uważasz pan, to są te części, na które koran jest podzielony. Poczciwy Pawłowski nie rozumiał i chciał konia przechrzcić na Jupitera. Słowo honoru! Zaklałem go, aby tego nie czynił.

— I nie uczynił z pewnością — rzekł Znamierowski.

—Spodziewam się, choć już wszystko jedno, i tak austrjaki go wezmą. Już dojeżdżamy, nie wypadało, abyście nie odwiedzili Bielawki i nie złożyli kondolencji. Nie mógłbym powiedzieć, gdy was wspominają, że o was nic nie wiem, musiałbym skłamać, a tego nie lubię. W najmniejszej rzeczy trzeba być w zgodzie z prawdą. Prawdą szedłem i prawdą przez życie przejdę — taka jest moja zasada.

Ujrzeli rusztowania stawianego dworu, belkowania, żółcące się w kępach białych jaśminów, zielonych kasztanów i sadowych drzew.

— Co mam z tem kłopotu, nie macie wyobrażenia — rzekł Nagolewski.

Psy skoczyły, łasząc się, oficerowie wysiedli z kocza, obciągając mundury, było im nijako, ten ze zgliszczów podnoszący się dom, to mieszkanie w oficynie, do której wchodzili, to historja tutejszego ich pobytu.

Na próg niskiego, otoczonego grzędami narcyzów domku wybiegła panna Jadwiga i stanęła bez tchu. Rumieńce pokryły jej policzki, oczy zajaśnia-

ły. W sukni była czarnej, podnoszącej bladość jej cery, szczuplejszą wydawała się, niż dawniej.

— Nie poznałaś! — wołał Nagolewski. — Spotkałem ich w Zawichoście, na obronę Warszawy jadą, sytuacja rozpaczliwa! Pod Ostrołęką klęska zupełna, powstania na Wołyniu upadły. Widzisz, sprzeczałaś się, zawsze to mówiłem.

— Nie kraczże pan — przerwał Znamierowski, zbliżając się z długą kondolencją do Ołtarzewskiej, aby pozwolić Wysockiemu przywitać się i rozmówić z panną Jadwigą.

Wstrzymując łzy, dziękowała za współczucie i pamięć i pytała z niepokojem o stan rzeczy Spojrzenie jej matczyne było i tkliwe.

— Także jest źle, jak mówi pan Nagolewski?

— Nie trzeba się przerażać. Wojna, wiadomo niewierna i kapryśna, jak kobieta — wymusił na sobie żart Znamierowski.

— Nie pojąłbym takiej! — rzekł Nagolewski.

— Zdaje się, żeś pan do niej nawet się nie zalecał. Słowem, z pod Ostrołęki cofnęliśmy się, ale powodu do obaw jeszcze niema.

— Jak jest? jak jest naprawdę? — pytała Jadwiga Wysockiego.

— Nie wiem, nie wiem — odrzekł, patrząc na nią z miłością. — Wiadomość o Ostrołęce i o tem, że Warszawa gotuje się do obrony, przyszła do Zamościa. Wybraliśmy się więc zaraz do Warszawy.

— Gdzie pan był cały czas?

Opowiedział jak musiał z Dwernickim przejść granicę i jak do Zamościa udało mu się przedostać.

— To nie miał pan czasu pomyśleć o Bielawce.

— Nie myślałem ja o czem innem...—i zaciął się.

— A jabym do Warszawy nie mogła?

— Pani do Warszawy?

— W szpitalach przydałabym się. Mama by się nie sprzeciwiła. Wstyd mi, że tak tu siedzę, kiedy wszędzie krew się leje.

Gdyby nikt nie widział, to Wysocki padłby do nóg pannie Jadwidze. Uwielbienie swoje mógł wyrazić tylko wzrokiem, w którym jednocześnie malował się przestrach. Nie dość już, że dom przez niego się spalił, jeszczeby matce córkę do oblężonego miasta zabrał.

— Nie śmiałbym ja takim zamiarom sprzeciwiać się, ale pani przy matce potrzebniejsza, niż tam.

Posmutniała.

— Nie, nie trzeba — rzekł stanowczo.

Przerwano im, wieczorem jednak spotkali się sami, w tem miejscu, gdzie odbył się pojedynek z Anuczynem.

Wysokiemu rodziły się słowa gorące i nie śmiał ich wyrzec.

Pomogło mu niebo, zasłane gwiazdami i pachnące jaśminy.

I wtedy, w ciszy ogrodu, mówił tej młodej dziewczynie o swych udrękach i zwątpieniach, o całej tragedji, której był pierwszym aktorem.

Rozumiała wszystko tak, jak niktby nie zrozumiał.

Nie mógł patrzeć na niewolę, na żywą hańbę Polski. Jakże to znieść można było?!

— Czy źleśmy zrobili, czy możemy być potępieni, jeśli... jeśli... — zakrył oczy dłonią.

— Nie! — zaprzeczyła gorąco.

— Strach pomyśleć, coby się działo, gdyby ta wojna została przegrana. Spać mi to nie daje i chwili spokoju nie zostawia. Lecz tego nie ujrzałbym ja i nikt z tych, co zaczynali. Nikt z nas przeżyćby tego nie chciał, ani nie mógł.

Nie przeczuwał, że gorszą dolę los mu gotował.

A podczas tego Ołtarzewska mówiła z Nagolewskim. Gdy rozeszli się wszyscy, pozostała z nim zafrasowana i zamyślona.

— Poradź pan jak przyjaciel, któremu nieboszczyk opiekę nad dziewczyną powierzył. Widzę, że mają się ku sobie Jadwinia z panem Wysockim.

— Co? — zaniepokoił się Nagolewski — co?

— Widzę i myślę, że on człowiek z charakterem...

— Z charakterem? Co też dobrodzika...

Nos mu poczerwieniał z irytacji.

— Nie byle kto mógł wyprzeć moskali z Warszawy.

— Ładnie ich wyparł! Widzisz, pani, co się dzieje! Uciekaliśmy przed tymi wypartymi moskalami pod Ostrołęką, jak zające. Jak zające, powiadam! Chwalę Boga, żem tego nie widział, bobym ze wstydu się spalił! Człowiek z charakterem, mówi dobrodzika. Broń nas Panie Boże od takich charakterów. Ładniebyśmy wyglądali, i tak ładnie już wyglądamy! Zdeklarował się może?

— Zdeklarować się nie mógł, teraz przecie wojna i losy niczyje nie pewne.

— Jego pewne!

— O czem pan myśli?

— Moja pani, cóż mamy przed sobą prawdę taić, gdy idzie o los Jadwini. Zbici zostaniemy na miazgę, moskale wrócą i on będzie dyndał!

— Dałbyś pan spokój.

— Będzie dyndał, chyba że uda mu się drapnąć za granicę. Cóż tam będzie robił? Goły, jak święty turecki. Do rozrzucania gnoju u jakiego chłopa szwajcarskiego się najmie? Takiemu byś pani dała córkę?

Ołtarzewska zasumowała się.

— Nawarzył on piwa — mówił dalej Nagolewski — my musimy je wypić.

— Jeszcze nic nie wiadomo.

— Dałby Pan Bóg. Przypuśćmy jednak, co wcale nie jest do przypuszczenia, że zagnamy moskali gdzie pieprze rośnie, i cóż wtedy będzie przedstawiał ów pan Wysocki? Kiedyż otwierała się przed nim większa karjera, jeśli nie teraz? Gdyby miał głowę na karku i charakter, jak dobrodzika mówi, zostałby już jenerałem. Odrazuby został, od drugiego dnia rewolucji. Na krótko, aleby został. Przyszłoby mu uciec i tak sytuacja byłaby lepsza. Co jenerał, to jenerał. A to — kapitan! Za wygnanie moskali — ranga kapitana! Warto było! Moja pani, skoro on teraz dla siebie nic nie uzyskał, to nigdy nie uzyska!

— Mnie o rangę nie chodzi.

— Wiem, o charakter. Charakter nadzwyczajny, zaiste! Z takim charakterem i dom spalić można, i do wody skoczyć, i skończyć na gałęzi. Wojska moskiewskiego miasto pełne, a on, jak kto głupi, na czele stu łobuzów marsz na koszary! Nie twierdzę, aby był nieszlachetny, lub nieuczciwy, ale niepewny! W najwyższym stopniu niepewny! Nigdy niewiadomo, co takiemu do łba strzeli! A żebyś dobrodzika wiedziała jakie on ma idee!

— Jakie?

— Jakóbińskie!

— Co pan mówisz!

— Wiem dobrze, wygadywał się przedemną. Wszelka powaga za nic. Chłop najwyższym przedstawicielem ludzkości. Czem większy kołtun nosi, tem wyższy, bo bliżej stoi natury. Pierwszą rzecz jakąby zrobił to by Bielawkę chłopom podarował.

— Przesadzasz pan.

— Nic a nic! Ten drugi, Znamierowski, co innego, człowiek z towarzystwa, u księstwa go widy-

wałem. Nie są oni wcale przyjaciele, tylko, widzi pani, to jest tak: żona Znamierowskiego naczytała się rewolucyjnych autorów Rousseau, Voltaira, djabli wiedzą kogo i zaczęła bzikować. Jemu świat obrzydł do tego stopnia, że wyjechał do Paryża pokryjomu i udał zmarłego. Obawiał się nieborak, że dopóki żyć będzie, baba mu nie da spokoju. Powstanie wybuchło, wrócił, honor wymagał, — oficer. Wyobraź sobie, moja pani, wraca on do siebie, a dom pełen obwiesiów. Wysocki, Lelewel, Mochnacki, — maszkara — może się przyśnić. Damulka pod nieobecność męża rewolucję zrobiła. Pierwszej nocy dom oświeciła i wywiesiła chorągiew z napisem „śmierć tyranom". Nie myśl pani, że miała to być pogróżka Mikołajowi albo Konstantemu. Na początek niby tak znaczyło, lecz potem miało znaczyć Czartoryski, Lubecki, Radziwiłł, Zamoyski...

— Skąd takie kobiety się biorą! Biedny człowiek!

— To też ucieka, gdzie może, najdalej. Mógł zostać w sztabie, a wolał udać się do Dwernickiego. A że tego Wysockiego chciano z Warszawy wyprawić, więc pojechali razem. I ten Wysocki, powiadasz pani, do Jadwini ma się! Dla niego w sam raz taka, jak Znamierowska!

— Przerażasz mnie pan! Żeby tylko dziewczynie ideami swojemi głowy nie zawieruszył!

— Nie miał kiedy, nie gadali prawie z sobą, choć uważałem, że patrzył na nią, jak kot, co trzy dni nie jadł, na słoninę. Jutro, chwała Bogu, jadą.

— Na śmierć może, — westchnęła Ołtarzewska.

— Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi. A nie myśl pani, że w Warszawie jakieś piekło było przy Konstantym. Nigdy nie bawiono się tak, jak za jego czasów. Mało to ja się wytańcowałem. Opowiada-

no, że ulicą przejść nie można. Chodziłem Bogu dzięki i w dzień i w nocy i policja mi czapkowała.

— Daj pan spokój, męczył on nas bo męczył.

— Więcej gadania było jak czego innego. Wsadzał do kozy buntowników, co każdy rząd robi, nasz robiłby także i trzech groszy bym nie dał, czy pierwszego pana Wysockiego wolno obrany król polski do karmelitów by nie zapakował.

W bardzo złym humorze poszedł Nagolewski do siebie. Nim się rozebrał, przejrzał się w lustrze.

— Nie jestem jeszcze taki stary, — pomyślał — i lepiej wyglądam, jak ta chuda szkapa — Wysocki.

III.

Masy pieszych i konnych wojsk, furgony i armaty zawalały drogi przed Warszawą, sama Praga wyglądała na ogromne obozowisko; nic się tam prócz mundurów nie dostrzegało. Od spotykanych oficerów Wysocki i Znamierowski dowiedzieli się, że tu jest główna kwatera, że wódz naczelny przebywa w Warszawie, jenerał Prądzyński jest jednak na miejscu. Nazwisko to wciąż wymieniano. Aby dostać się do Warszawy, z kwatery głównej należało mieć pozwolenie, niby dlatego, aby dyscyplina się nie rozluźniła, a w istocie żeby prawda o Ostrołęce do publiczności nie dotarła. Jakby ukryć ją można było i jakby, mimo zakazu, nie wymykano się wciąż do miasta.

Zameldowali się więc u Prądzyńskiego. Znamierowski nie widział go od Grochowa i dostrzegł w nim znaczną zmianę. Prądzyński nie był już nieśmiałym, o dojściu do znaczenia marzącym pułkownikiem, ale jenerałem pewnym swej przewagi. Inteligencja panowała wszechwładnie w jego spojrzeniu,

mowa była kategoryczna, sąd bez oglądania się na cokolwiek wydawany. Wypytawszy się o Różyckiego, którego wysoko cenił, rzekł

— Sytuacja wcale zła nie jest.

— A Ostrołęka? — spytał Znamierowski.

— Klęska sromotna, najhaniebniejsza i najgłupsza, jaką można sobie wyobrazić, lecz gdyby natychmiast ściągnąć nad Narew Dziekońskiego, Bielińskiego i Jankowskiego, to moglibyśmy bezwłocznie uderzyć na armję rosyjską pod Pułtuskiem. Mielibyśmy przewagę liczebną, nie stoi ich tam więcej nad czterdzieści tysięcy, grasuje wśród nich cholera i są bez wodza.

— A Dybicz?

— Umarł, nie wiecie?

— Kiedy?

— W tych dniach na cholerę. Ktoś tam dowodzi tymczasowo, ale Dybicza mimo wszystkie uczynione przezeń błędy, zastąpić niełatwo. Może w Rosji jest jenerał równy mu, lub zdolniejszy; tembardziej na jego przybycie czekać nie należy.

— Więc czego się wahać?! Czego tu stać?!

Prądzyński uśmiechnął się zagadkowo.

— Bo poprzysięgliśmy solennie nie spełniać zamiarów losu.

— Co jenerał chce przez to powiedzieć? — zapytał Znamierowski.

— Widzisz pan, przyglądając się tej wojnie, uwierzyłem, że Opatrzność głupimi się opiekuje. Nie było do pomyślenia, nie licząc na jakieś zdarzenia nadzwyczajne, jak interwencja zagranicy, pomoc Francji, rewolucja w Petersburgu, aby była do wygrania. I oto w pierwszej walnej bitwie zwycięstwo mieliśmy w rękach. Chłopicki nie chciał go wziąć. Nie przeczę i jestem pewien, że gdyby nie musiał zejść z pola, to rzeczy poszłyby inaczej i z później-

szych okazji by skorzystał, bądź co bądź był to wódz. Ale Skrzynecki uparł się, powiada „nie". Pamiętacie po Grochowie? Trzeba było wyjść z Pragi, zgnieść Geismara, popchnąć Rosena ku Siedlcom, zwrócić się przeciw Dybiczowi, wegnać go w Lubelskie, gdzie położenie mielibyśmy znakomite. Przedstawiałem to naczelnemu wodzowi. Słuchał mnie jak warjata. — „Ty chcesz pobić Dybicza?" — „Nietylko pobić, ale zniszczyć". — „Zniszczyć?! C'est encore plus fort! On chce zniszczyć Dybicza!" Poszczególne zwycięstwa powinny mu były dodać animuszu, choć z nich nie korzystał. Gdzie tam! Nudziły go. Interesował się jedynie poklaskiem za rzeczy przez kogo innego pomyślane, a przez niego zawsze sfuszerowane i do połowy popsute. Pod Dębem, gdy bój trwał w całej pełni, gdy Skarżyński szedł do ataku, odwraca on się do mnie i mówi wobec całego sztabu — „Mon cher, widzę, że mogę być spokojny, tu nic złego zajść nie może, zatem odjadę, bo jestem nadzwyczajnie strudzony i głodny".

— Zimna krew, zaprawdę, — rzekł Znamierowski.

— Nadzwyczajna! Na wołowej skórze faktów podobnych byś nie spisał. Ileż to razy ważna narada przerwana została, bo kucharz wszedł po rozkazy, w jakim ma sosie szczupaka przyprawić. Ileż to razy nie zrobiło się tego, co zrobić należało, bo naczelnemu wodzowi chciało się spać. Jeśli zwycięstwo pod Iganiami, choć znakomite, nie stało się zupełne, to dlatego, że wódz naczelny na czas z korpusem nie zdążył. Nad poświęcenie jego było odbyć podczas nocy kilkumilową podróż. Podczas takiego przedsięwzięcia, jak wyprawa na gwardję, wynikały zwłoki i zaniedbania, bo wódz naczelny miał w kwaterze artystę, który portret jego dla potomności malował. Gwardje mieliśmy w rękach, lecz gdy przyszła chwila

wydania dyspozycji do ataku, oświadczył, że ani kroku się nie ruszy. — „A jeśli gwardje nas pobiją, którędy się cofniemy?" — „Tą samą drogą cośmy przyszli". — „Wiesz dobrze, że ja tą samą drogą cofać się nie chcę". — „Dlaczego?" — „Bo nie chcę". — Wiele trzeba było mieć cierpliwości, moi panowie! Miałem ją, ale mi się przebrała. Zawziął się, że z Dybiczem bić się nie będzie. Dybicz umarł i los nam znowu, może raz ostatni, napewno ostatni ratunek wskazuje, zdaje się wołać — nie wierzcie, żebym was chciał zgubić dopomóżcie mi i zaufajcie! Pan Skrzynecki jednak odpowiada: „nie! wiem jaki ty jesteś, — nie chcę!"

— Hauke mówił, że pod Ostrołęką mężnie stawał, — rzekł Znamierowski.

— Prawda, nie neguję. Odważny on jest i życie gotów narazić, zwłaszcza gdy przytomność go opuści, ale czego nigdy nie narazi to swojej sytuacji.

— Czego?

— Swojej karjery

— Złączona przecież ona z powodzeniem sprawy.

— I tak i nie.

— Nie rozumiem.

— Bo go nie znasz, majorze. Ja poznałem go doskonale, przeniknąłem nawskroś. Karjerę z pewnością wielkąby zrobił, jeśliby wojnę wygrał, ale że ma to za niepodobne, więc sytuację sobie szykuje gdzieindziej. W Europie przez tę wojnę chce zrobić karjerę, tam nazwisko sobie wyrobić i po przegranej, w obcej je sprzedać służbie.

— Cóż za cenę mieć może wódz pokonany!

— Mylisz się pan. Wszędzie zagranicą panuje przekonanie, że klęska nasza jest nieunikniona, że sam Napoleon nicby nie poradził Nikt go więc za

to krytykować nie będzie. Pozostaną zaś takie bitwy, jak Iganie, Dobre...

— Jak Ostrołęka! — przerwał Znamierowski.

— A Waterloo? — uśmiechnął się Prądzyński. — Dyplomata on jest. Listy pisuje do publicystów niemieckich i francuskich, dowodzi, że interes Europy wymaga przywrócenia Polski, imię swoje już dziś umiejętnie wsławia. Do króla pruskiego pismo wygotował. Najbardziej to lubi i nazywa tę zabawkę „posunięciami". W tem bywa niezrównany! Posunięcia takie umiał on porobić, że sejm, naśladując postępowanie rzymian po klęsce Kanneńskiej, wysłał do niego deputację po Ostrołęce z dziękczynnym adresem i to samo uczyniła municypalność Warszawy. I pan mówisz, że on karjerę swoją naraża!

— Więc to jest nikczemnik! — rzekł Znamierowski.

— Nie, nikczemnikiem on nie jest, jemu nawet nie brak patrjotyzmu — wzruszył ramionami Prądzyński. — Z pewnego wyższego stanowiska na rzeczy patrząc, powiedziałbym, że jest głupi, a z pewnego zaś, niższego, że mu na sprycie nie zbywa.

— Możeby zrozumiał dokąd kraj prowadzi, niedołęstwo swoje uznał i ustąpił.

— Na to musiałby mieć rozum i nie bylejaki, on zaś ma tylko spryt. Spryt więc pokazuje mu tylko na pensje, reprezentację, zaszczyty. I tego on broni swojemi posunięciami. Każdy miesiąc hetmaństwa, to miesiąc tego używania i ciułania grosza na potem.

— Skoro jenerał tak dokładnie rzeczy widzi, to jenerał ukrywać ich nie powinien. Jest przecie sejm!

— Co sejm wart! I pan Skrzynecki ma tam stronników.

— Rząd.

— Nic nie znaczy.

— Coś jednak zrobić trzeba!

— Oczywiście! — potwierdził Wysocki.

Prądzyński przeszedł się po pokoju.

— Wiem, że tak rzeczy zostawiać nie można, lecz co zrobić nie wiem. Jedyny ratunek byłoby sejm rozwiązać, władzę jednemu człowiekowi powierzyć, ale skąd tego człowieka wziąć? Czartoryski rozumu ma najwięcej i on jednak za miękki na to, co się gotuje, chociaż z pewnością najlepszy. Jak to zrobić?

— Mówić z Czartoryskim — rzekł Wysocki.

— Któżby z nim mówił?

— Jenerał.

— Ja nie mogę, pomyślałby, że chcę zastąpić Skrzyneckiego, na intryganta bym wyglądał.

— A czy jenerał widzi kogo zdolniejszego od siebie?

— Jeśli mam prawdę powiedzieć, to nie.

— Dlaczego się więc jenerał waha? Co jenerała obchodzi, co kto będzie mówił?

— Widzisz pan, jeszcze jest jedna okoliczność: mnie nie przystoi na naczelnego wodza oskarżenia podawać. Gdyby to uczynić tak, aby Czartoryski mnie wezwał i o zdanie zapytał.

— Ja to zrobię — rzekł Znamierowski.

— Zrobisz pan?

— Zrobię.

— Zasłużysz się pan sprawie.

— Byle się to na co przydało.

— Więc jedź pan do Warszawy, a pan — zwrócił się do Wysockiego — możebyś tutaj został. Ci, co powstanie zaczęli, i ci, co je dalej prowadzą, powinni być dzisiaj razem.

— Rozkaz, jenerale.

Znamierowski wstał, prosząc o przepustkę.

— A zobacz pan przedewszystkiem żonę — rzekł podpisując ją Prądzyński.

— Cóż tam się stało? — zapytał niespokojnie Znamierowski.

— Nie stało się nic, ale niepokój jest o pana wielki. Gdy dowiedziała się, żeś pan wydostał się z Galicji, bo są tu ludzie z obozu Dwernickiego, rady dać sobie z rozpaczy nie może, że o panu wiadomości nie ma. Była u mnie kilka razy, dowiadując się. Uspokajałem, jak mogłem. Zacną masz pan żonę, majorze. Oto przepustka.

Podał mu rękę.

IV.

Róża, po wyjeździe męża, pozostała w osamotnieniu i pustce. Najbliżsi z jej otoczenia znajdowali się na wojnie, albo ranni zalegali szpitale. Kozłowski umarł, jeden Lelewel przebywał w Warszawie, lecz go nie widywała, nie miała poco. Sprawa, w którą włożyła tyle namiętności i uczucia, poszła ponad nią. Żyła wieściami, nadchodzącemi z pól bitew. Z początku były pomyślniejsze, potem smutniejsze. Od tego, co niosły, zmieniał się jej stan wewnętrzny i jej uczucia.

Kiedy po Iganiach prąd nadziei przebiegł przez Warszawę, Krzyżanowski usunął się w dalekie sfery blednącego wspomnienia, kiedy wróżono klęskę zbliżał się z wyrzutem, że go zapomina. Wówczas myślała o klasztorze, o usunięciu się z widowni, o samobójstwie nawet.

Krzyżanowski cierpiał za nią, dla jej dobrej sławy, w nieszczęściu była związana z nim nazawsze.

Gdyby wrócił?....

Róża odpychała od siebie odpowiedź, wiedziała jednak, że wtedy jej romans by się zakończył.

Przez oficerów, przybyłych z korpusu Dwernickiego, dano jej znać, że Znamierowski powrócił na Wołyń. Zaniepokoiła się straszliwie, czuła, że idzie on wciąż tam, gdzie może zginąć, że ustawicznie z śmiercią szuka spotkania.

Jak on się zmienił, jak się zupełnie zmienił, — myślała i jednocześnie żal w niej rósł, że zawsze nie był taki.

Nie padłaby w objęcia Krzyżanowskiego, nie byłoby tych listów, za które tak zapłacił. We wszystkiem ona jest najwinniejsza, naturalnie ale... ale gdyby Znamierowski...

Po Ostrołęce w prostracji była zupełnej, wmawiała w siebie, że za tę klęskę i ona winę ponosi. Zagrzewała podchorążych, spiskowała z Wysockim, aby Krzyżanowski.. Dziś tysiące polaków los Krzyżanowskiego czeka...

Róża wydobyła z komody, przechowywaną z pietyzmem wstęgę, jedną z tych, jakiemi przystrajano, w pierwszych dniach grudnia okna w Warszawie, wstęgę z złoconym napisem:

„Witaj jutrzenko swobody, za tobą zbawienia słońce!“

Łzy napłynęły jej do oczu.

— Pan! — usłyszała nagle głos Józefa. — Pan!

Wybiegła i nie pamiętając na nic, rzuciła się w ramiona Znamierowskiemu.

Wzruszył się bardzo i uspokajał ją, całując po rękach. Szlochała.

I wtedy, nie wspominając nic, rzucając zapomnienie na całą przeszłość, mówiąc tylko o tem, co działo się podczas ich rozłąki, pojęli, że osobiste szczęście ich obojga zależy od powodzenia publicznej sprawy, że nastanie tylko wówczas, gdy ziszczą się słowa na porzuconej błyszczące wstędze.

Dojrzał w jej duszy przysięgę niezłomną, że jeśli tamten w kaźni więziennej myśl do niej obróci, to oszukany nie będzie, że tylko wtenczas zostanie rozwiązana, gdy drzwi tej kaźni się odemkną.

— Co myślisz? Nie stracone jeszcze wszystko? — spytała, ocierając oczy.

Opowiedział jej rozmowę z Prądzyńskim.

Słuchała uważnie.

— Prądzyński chce zostać naczelnym wodzem — rzekła.

— Niewątpliwie.

— Byłoby to dobrze, jest on najzdolniejszy z jenerałów. Ale ani kroku dalej! Ani kroku w kierunku rozwiązywania sejmu i zmieniania rządu.

— Dlaczego?

— Co za galimatias, zastanów się! Czartoryski czemś w rodzaju dyktatora z radą sobie dodaną, dziś gdy coraz bardziej warszawscy jakóbini, jak tu się mówi, krzyczą przeciw niemu. Z tymi, żywiołami uniesiony pretensją sejm się połączy bo nie rozwiąże się za nic w świecie. Lepszy już byłby Lelewel.

— Lelewel?!

— Lelewel, bo ma za sobą lud, a z tem się teraz trzeba liczyć. Lecz na co to? Rzecz cała w uderzeniu na moskali, póki czas. Na to nie trzeba zmiany rządu, rozwiązywania sejmu, to wszystko nie ma znaczenia, na to potrzeba tylko zmienić wodza. Podjąłeś się przedstawić Czartoryskiemu, co ci oznajmił Prądzyński — przez kogo chcesz to zrobić?

— Przez nikogo, pójdę do Czartoryskiego sam.

— Najlepiej! I idź, nie zwlekając. Ale nie mów o zmianie rządu, ani rozwiązywaniu sejmu, tylko nastawaj na jeden punkt, że Skrzynecki jest niedołężny i prowadzi do upadku. I że ci to Prądzyński powiedział, że ci to Prądzyński powiedział — powtórzyła z naciskiem.

— Z tem pójdę.

— Trafisz w samą porę, bo wiedz, że Skrzynecki winę całą chce zwalić na rząd, jako mało spoisty, przeszkadzający w działaniu. Umówił on sobie kilku posłów, aby tę materję wnieśli w izbie. Wygrywa przez to, bo dyskusja o reformę rządu odwraca uwagę od Ostrołęki.

— „Posunięcia!" — rzekł Znamierowski.

— Co?

— Tak jego metodę nazywa Prądzyński.

— Zdaj sobie teraz sprawę z jego rozumowania. Skombinuj jego plany.

— Czyż ja wiem?

— Winien jest nie on, lecz rząd, forma rządu. Tę formę trzeba zmienić. Na jaką? Na rząd jednego, na oddanie jednemu władzy. Komu? Wodzowi naczelnemu naturalnie. Jeśli się uda, on jako wódz naczelny obejmie całą władzę, kierunek wszystkich spraw, wewnętrznych i dyplomatycznych. Te tak go zaabsorbują, że dowództwo nad armją powierzy jakiemuś jenerałowi, sam zaś będzie siedział w Warszawie. Osiągnie cel swoich marzeń.

— Może nie byłoby to źle —rzekł Znamierowski — byle dowództwo powierzył Prądzyńskiemu.

— Nie uczyni on tego. Jest to człowiek zawistny i mściwy, nie daruje mu krytyki, którą zna. Poszuka on uległego jenerała, który przeciągnie wojnę do momentu, gdy będą mogły zacząć się układy. Wówczas on je poprowadzi i zachowa swoje stanowisko. Wiesz jakie? Namiestnika cesarza w Polsce. Taki jest jego plan.

Oczy jej zaświeciły.

Niepodobna, aby Czartoryski, aby cały rząd nie zdawał sobie z tego sprawy i nie był w tej chwili przeciw Skrzyneckiemu. Porę więc do działania masz dobrą.

— Czy aby jest tak, jak mówisz?

— Idź przed zobaczeniem Czartoryskiego do sejmu, tam właśnie nad tą kwestją deliberują.

— Dziś?

— Dziś.

— Więc ja tam zaraz pójdę! — zerwał się Znamierowski.

— Idź i przekonaj się na miejscu, a potem dobijaj się posłuchania u Czartoryskiego. Gdyby Czartoryski nic nie postanowił, wtedy... wtedy...

— Wtedy co?

— Wtedy zobaczymy! — ściągnęła brwi.

Sejm radził.

Na fotelu marszałkowskim siedział nieporuszenie Władysław Ostrowski. Sala była pełna, wśród ciszy rozbrzmiewał stentorowy głos Ledóchowskiego, posła jędrzejowskiego. Kończył już swoją długą zmiany rządu domagającą się mowę. Zarzucał mu chwiejność, oglądanie się na ulicę, wywołane zasiadaniem w nim Lelewela, prezesa klubu, mieniącego się Towarzystwem patrjotycznem. Mimo swej impulsywności, poseł ten, który pierwszy zażądał detronizacji i wniósł okrzyk „niema Mikołaja!" mówił powściągliwie i osobę Lelewela oszczędzał.

— Niechajże ten mąż — mówił — tak radą rewolucji zasłużony, sam orzeknie, czy rząd dzisiejszy odpowiada zaufaniu, jakieśmy w nim położyli. Czyż może istnieć ten rząd, którego członkowie, choć do celu jednego dążą, ale różne obierają drogi. Niechże ci światli i zacni mężowie, z których każdy z osobna cnotami obywatelskiemi jaśnieje, lecz razem słabość wyobrażają, niechże przyjdą tu i powiedzą „zmieńcie nas bo my już dłużej bez szkody dla kraju istnieć nie możemy!"

Podniósł się deputowany warszawski, Zwierkowski. Szmer poszedł po sali; znano go jako za-

jadłego demokratę, mającego porozumienie z ludem, prześladowanego narówni z Niemojowskimi przez w. ks. Konstantego.

Pierwszemi słowami wytrącił Ledóchowskiemu z ręki zasłonięte karty i rzucił je na pulpity izby poselskiej:

— Myśl zmiany rządu powstała u naczelnego wodza, przez niego prywatnie kilku posłom objawiona została i posłuch u nich znalazła. Cóż więc ma rząd zastąpić? Może dyktatorjat zasmakował niektórym, a może ma być to namiestnik przyszłego króla? I na toż się krew polska leje, abyśmy do samowładztwa plenipotenta spodziewanego władcy doszli?!

Punkt po punkcie zbijał w dalszym ciągu argumenty Ledóchowskiego i rząd istniejący przedstawiał, jako doskonały i jedyny.

Jeden po drugim występowali teraz mówcy, podtrzymujący Zwierkowskiego, dusząc wywodami nielicznych Ledóchowskiego zwolenników. Przygotowani byli i zwarci. Naczelnego wodza żaden już nie wymieniał, lecz każdy nowe cnoty w rządzie odkrywał i komplementował Lelewela.

Deputowany Wołowski w przemówieniu zręcznem, uczenie, o podstawę prawną opartem, zaskarbiał sobie względy samego klubu.

— Prawdą jest — mówił — jak rzekł przez wszystkich nas poważny kolega Ledochowski, że tylko izba poselska Towarzystwem patrjotycznem jest niezaprzeczenie, ale nie zgadzam się, aby towarzystwa podobne przeciwne były prawu naszemu. Zgoła inaczej! Jaśnie wielmożny zaś Lelewel, jak to z pism jego i przemówień niezbicie wynika, przez rewolucję socjalną rozumie przejście w sposób prawny ze stanu pozbawienia praw politycznych do nabycia tychże praw...

— Róża ma rację — pomyślał Znamierowski. — Raczej oni z klubem się połączą, niż pozwolą się rozwiązać i grę Skrzyneckiego przeniknęli.

Powstał, bo widział, że to dziś ani jutro się nie skończy, a objaśniony był dostatecznie.

Zdążając teraz na pokoje rządowe, zawahał się w sobie. Jakżeż on to powie? Że Prądzyński mu oznajmił o nieudolności naczelnego wodza? Jemu podkomendnemu? majorowi? Dlaczego nie udał się sam do rządu? W jakim celu jemu takie rewelacje czynił? Czy szerzy bunt wśród oficerów? Źle się stało, że nie porozumiał się z Prądzyńskim co do sposobu. Prądzyński z pewnością nie chciał, aby on od niego z tem przychodził, bo jeśli obawiał się posądzenia o intrygę, to właśnie takie postępowanie na intrygę zakrawało i to za pośrednictwem oficerów czynioną.

Znamierowski pierwszy raz wszedł na drogę dyplomatyczną i poczuł, jaka jest ślizka.

Los mu dopomógł, zwykły przypadek. Dochodząc do pałacu namiestnikowskiego, spotkał Władysława Zamoyskiego, siostrzeńca księcia Adama. Przed rewolucją był on porucznikiem i adjutantem w. księcia, dziś nosił szlify pułkownika. Wiele mówiono o jego zdolnościach i ambicji.

— Ten mi poradzi — pomyślał Znamierowski — a przynajmniej przez niego się dowiem, jaka jest dyspozycja Czartoryskiego.

Zamoyski zdaleka ramiona do niego wyciągnął.

— A pan co tu robisz?!

Witał się głośno, ściskając w silnej, suchej dłoni rękę Znamierowskiego.

— To chyba niedawno?! Myśleliśmy, że pana już kruki podziobały! Ktoś się o pana dowiadywał. Czekajno! Hrabina Łubieńska. Dobrze, żeś pan jest. Trzeba w Warszawie tęgich oficerów.

— Najtęższy tu siedzi i ruszać się nie myśli — zapuścił sondę Znamierowski.

— O kim pan mówisz?

— O naczelnym wodzu.

— Za takiego tęgiego go masz? — zapytał ostrożnie Zamoyski.

— Pod tym względem podzielam opinję całego wojska.

— Że?...

— Że dureń on jest i kiep.

Zamoyski obejrzał się wokoło.

— Pst... nie gadaj tak głośno.

— Aleś pan, widzę, pułkownikiem, powinszować.

— Więcej szczęścia, niż zasługi. Więc taka opinja całego wojska?

— Niby pan nie wiesz.

— Wiem jak wiem... hm... — zafrasował się. — Źle, że tak wojsko trzyma o naczelnym wodzu, ale powiem ci na ucho, ma rację. Zawiedliśmy się.

— Mój pułkowniku, kontent jestem, że cię spotkałem, mam przed kim kamień zrzucić z serca. Opinja taka nietylko wśród wojska, lecz i wśród najwyższych jenerałów. Prądzyński mi mówił...

Zamoyski słuchał z naprężoną uwagą.

— Gdzie ratunek widzisz? — zapytał, gdy Znamierowski skończył.

— Tylko w jednym człowieku.

— W kim?

— W Czartoryskim.

Zamoyski nie odrzekł nic.

— Dlaczego Prądzyński przed rządem zdania swego nie ujawni? — zapytał.

— Zagadnąłem go i ja o to. Boi się na intryganta wyglądać i twierdzi, że mu nie przystoi przeciw naczelnemu wodzowi występować.

— Ważniejsze kraj ratować!
— To i ja mówiłem.
— A on?
— Że nic mówić nie może.
— Trzeba jednak z tem coś zrobić.
— Taksamo sądzę, ale co?
— Możebyś ty w zaufaniu Czartoryskiemu się zwierzył?
— Ja? W jaki sposób?
— Urzędowo nie, lecz przecie Czartoryskiego znasz.
— Znam.
— Posłuchaj. Przybyłeś z Wołynia, przeszedłeś całą odyseję, cóż naturalniejszego, że powitasz księcia, którego jesteś znajomym.
— Nawet bardzo bym pragnął.
— Więc widzisz. Akurat stoimy tutaj, chodź ze mną.
— Zaraz?
— Po co zwlekać? Korzystaj, że masz mnie przy sobie, nie będziesz czekał, bo mnie tam jakie takie względy okazują.
— To możebyś pułkownik wszedł ze mną do księcia?
— Dlaczegoby nie.
— Dawno nie widzieliśmy się — rzekł Czartoryski, powstając z fotelu. — pan byłeś w korpusie Dwernickiego.
— Tak, mości książę.
— I wydostałeś się pan z Galicji?
— Tak, potem byłem pod Różyckim.
— Toś pan podwójnie nam miły, bo Różyckiego wszyscy kochamy tu i podziwiamy.
— Gdyby wszyscy takiego jak on mieli ducha — odparł Znamierowski — to nie przytrafiłaby się Ostrołęka.

— Czemu pan tę klęskę przypisujesz?

— Jenerałowi Skrzyneckiemu—postawił wszystko na jedną kartę Znamierowski.

— Naczelnemu wodzowi?

— Spytał się mnie książę, więc szczerze odpowiadam.

— On zawsze taki — wmieszał się Zamoyski — chłop, jak złoto, co myśli rżnie prosto z mostu.

— Widzę ja to — uśmiechnął się wybawiony z kłopotu Czartoryski.

— Że ja tak myślę, to niczego by nie stanowiło, mogę się mylić, lecz tak myślą wszyscy żołnierze i oficerowie, tak myśli Prądzyński. Mówił ze mną o tem obszernie, bo zna mnie zdawna, jako adjutanta Chłopickiego, według niego jenerał Skrzynecki kraj do przepaści prowadzi.

— Cóż mu zarzuca? — spytał Zamoyski.

— Wojny prowadzić nie umie, wódz nie jest.

Czartoryski słuchał zaambarasowany, chwilami przymykał oczy, jakby nie chcąc zdradzić ich wyrazu, twarz Zamoyskiego stała się twarda, zdecydowana, niebezpieczna.

— Czy mogę wtrącić swoje trzy grosze? — zapytał.

— Mów.

— Sprawa jest bardzo poważna. Gdyby Znamierowski mówił od siebie, to już trzebaby było ją rozpatrzyć, jest przecie oficerem sztabowym. Cóż dopiero, jeśli relacja pochodzi od Prądzyńskiego!

— Nie można wdrażać śledztwa przeciwko naczelnemu wodzowi — odparł niechętnie Czartoryski. — Mówimy z sobą, jak przyjaciele.

— Pan Niemojowski by tu poradził, jako obrońca i znawca konstytucji — podsunął Zamoyski.

— On jest nawet w gmachu — zawołał żywo

Czartoryski i zadzwoniwszy, kazał prosić Niemojowskiego.

Wszedł niebawem członek rządu, poseł kaliski, polski Benjamin Constant, sławny pan Wincenty.

— Poprosiłem pana na przyjacielską gawędę, w której poruszone zostały sprawy wagi państwowej — rzekł Czartoryski. — Możebyś pan — zwrócił się do Znamierowskiego — powtórzył panu Niemojowskiemu, coś mnie powiedział.

Zaledwie Znamierowski wszedł w materję, Niemojowski wyjął notes i zapisywać począł.

— Więc pan zaskarża naczelnego wodza? — zapytał, gdy Znamierowski skończył.

— Ale co znowu! — zaoponował Czartoryski.

Zamoyski patrzał ciekawie na Znamierowskiego.

— Ja tego nie mogę inaczej traktować — wyjaśnił Niemojowski. — Rzecz trzeba wyświetlić, inaczej przeciw prawu byłaby i jawności.

— A więc zaskarżam — rzekł Znamierowski.

— Pan zaskarżasz, a jenerała Prądzyńskiego wezwiemy do przesłuchania. Jeśli potwierdzi, *eo ipso* będzie oskarżycielem, jeśli zaprzeczy, *eo ipso* pan będziesz oskarżonym — i schowawszy swój notes, Niemojowski wyszedł.

— Przykro mi... — zaczął Czartoryski.

— Przeciwnie, ja jestem bardzo rad, mości książe — odparł, żegnając się, Znamierowski.

Po jego wyjściu nastała chwila milczenia.

Oblicze Zamoyskiego straciło wyraz jowialny, stało się surowe i pyszne, z twarzy Czartoryskiego uleciała przysłowiowa dobroć. Jakby maski zsuwały się z nich powoli. Rubaszny, donośny głos Zamoyskiego scichł, gest się powściągnął, znikł cały jego styl *„do kaduka!“* Czartoryski natomiast mówił szybko, nerwowo, bez zwykłego sobie łaskawego dostojeństwa.

— Jeżeli Prądzyński nie cofnie się, to Skrzynecki przepadł.

— Z kretesem—potwierdził Zamoyski i dodał:— Cofnąć się nie może. Znamierowski nie zmyśla, a rozmowa odbyła się przy świadku, przy Wysockim. Całe zresztą wojsko mówi to samo. Rząd uratowany. Niech go teraz Skrzynecki rozpędza, niech sięga po władzę dyktatorską.

— Nie wiele wart ten rząd — rzekł Czartoryski.

— Nie wiele wart, ale usunięty przez Skrzyneckiego, powstałby na nowo, bo Skrzynecki wart jeszcze mniej. Przez niego skompromitowałaby się raz nazawsze idea jedynowładztwa. Tak zaś, jak jest teraz, Skrzynecki władzy nie weźmie, ale wziąć ją może książe.

— Na kimbym się oparł?

— Na wojsku.

— Będzie ono pewne?

— Najpewniejsze i jedyne. Władzy księciu nie odda ani rząd, ani sejm, ani rewolucja, co jednak wojsko postanowi, uzna i rząd i sejm i klub. Trzeba znieść się z Prądzyńskim. Pali się do wodzostwa. Dać mu je. Jest zdolny, genjalny nawet. On niech zaś da nam pomoc, niech w wojsku ogłosi, że korona polska ma już pana i dziedzica.

— Czy nie zawcześnie?

— Nie, wypadki dojrzały dostatecznie. Pięciogłowego rządu mają wszyscy dosyć. Skrzynecki to rozumie i dlatego podjął grę. Mam nadzieję, że mu już karty wypadły, choć myśli, że je jeszcze trzyma. Czem władza ta wspanialej postawi się i zajaśnieje, tem goręcej będzie przyjęta. Czy księciu wiadomo, że o Skrzyneckim, jako o Janie IV przebąkują?

— Co mówisz?!

— Tak. Zamiast Adama I, byłby Jan IV.

— Po Ostrołęce?!

— Ostrołęka wasza wina, nie jego. Tak on to tłumaczy! Kto wie, czy za Ostrołękę sądzićby was wtedy nie kazał!

Czartoryski przeszedł się po pokoju.

— Wybadaj Prądzyńskiego — rzekł.

— Więc książę się decyduje?

— Wierz mi, że nie dla siebie.

— Mości książę, gdy koronę Jagiellonów wicher zdarzeń dziejowych do ciebie niesie, to drzwi przecież przed nią nie zamkniesz...

V.

Jenerał Skrzynecki wyszedł w otoczeniu oficerów z pałacu pod Blachą i wsiadł do oczekującego cesarskiego pojazdu, aby udać się do swego mieszkania w pałacu Tarnowskich. Tak każdego podwieczora opuszczał kwaterę główną, dawne pokoje królewskie, gdzie urzędował i przyjmował, wydawał bankiety, a nawet obiady prywatne, jeśli wypadło w kompanji zaufanej omówić jakąś sprawę publiczną.

Powóz ruszył, pocwałował za nim szwadron krakusów.

Codzienna ta przejażdżka należała do najwyższych rozkoszy Skrzyneckiego; dotykał się namacalnie swojej potęgi, sprawdzał naocznie, że ona istnieje. Zawdzięczał ją sobie, swojej śmiałości wyciągania ręki po zaszczyty.

Pochodząc z drobnej, szaraczkowej niemal szlachty, z sfery niewiele wyższej pojąwszy żonę, pozbawiony wszelkich koligacji, pan Jan Skrzynecki miał się za pana. W przekonaniu swojem urodził się nie u siebie. Serafiny, kierujące jego ducha ku ziemskiemu życiu, pobłądziły w drodze i, zamiast w książ-

żęcej, w ubogiej kazały mu zakwilić kołysce. Skromne warunki wzmocniły w nim raczej, niż osłabiły wrodzony apetyt. Pasja do szychu i pompy przerodziła się w metafizyczną tęsknotę, dała kierunek dążeniom jego i ambicjom. Ani Radziwiłł, ani Czartoryski nie umiałby tak zgarniać nad sobą blasku, jak czynił to Skrzynecki, posiadający w tym względzie tupet ludzi niskiego pochodzenia.

Wrodzona tłumowi cześć dla przepychu, spływała na niego, osoba jego onieśmielała, kryła się w nimbie niedostępności.

W tej chwili ciśnięto się na ulicach, aby go ujrzeć, w oczekujących na przejazd jego powozu grupach znajdowali się i posłowie i wyżsi urzędnicy i poważni obywatele warszawscy. Niektórzy odkrywali głowy. Jenerał Skrzynecki podnosił dwa palce do pieroga.

W domu oczekiwał go Majer.

Był to kupiec, kapitalista i bankier, szczerze mu oddany. Warszawę znał, jak swoją kieszeń i słyszał, jak trawa rośnie. Na zamku się nie pokazywał, miał natomiast prawo zjawiać się w każdej porze w prywatnem mieszkaniu naczelnego wodza.

— Cóż pan powie, panie Majer?

— Może co i powiem — odparł Majer, schylając się w czołobitnym, nie nazbyt jednak niskim ukłonie.

Z tej odpowiedzi poznał już Skrzynecki, że Majer nie byle co ma do zakomunikowania.

— Chodź pan do gabinetu — rzekł.

Majer gabinet ten znał dobrze, zawsze jednak z równem rozglądał się po nim zajęciem. Portret Napoleona, piękna broń rozwieszona po ścianach i złoty krzyż trójramienny, specjalną budziły w nim ciekawość.

— No i co słychać? — powtórzył Skrzynecki.

— Dużo słychać.

— Siadaj pan.

—To z moskiewskiej wyprawy przywiózł pan wódz naczelny? — spytał Majer, pokazując na krzyż.

— Tak, dlaczego?

— On był mniejszy krzyż, niż ten, co go pan wódz naczelny teraz dźwiga.

— Święta prawda! Nie z tem jednak przyszedłeś?

— Czy pan wódz naczelny zna majora Znamierowskiego?

— Znam, abo co?

— On zaskarżył pana wodza naczelnego.

— Mnie?!

— Tak.

— Znamierowski mnie?!

— Pana wodza naczelnego.

— Przed kim?

— Przed rządem.

— O co?

Majer zawahał się, potarł łysinę, przymrużył oczy, wreszcie znalazł formułę.

— Że pan wódz naczelny nie jest bohater.

Skrzynecki zzieleniał.

— Co pan za głupstwa gadasz?

— To nie ja, to Znamierowski.

— Znamierowski zaskarżył mnie, że... że... że... uciekłem może z pola bitwy?! Tak?!

— Nie, ale że pan wódz naczelny nie chce żadnej bitwy, że pan wódz naczelny przez nieumiejętność stracił armję pod Ostrołęką.

— Rząd zaskarżenie przyjął?

— Przyjął.

— Panie Majer, ty wiesz napewno?

Majer położył rękę na sercu.

— Panie wodzu naczelny, ja mówię tylko to, co wiem napewno.

— Oficer śmie skarżyć mnie! Rząd anarchję sieje w armji. Każę go aresztować, pod sąd i kulą w łeb!

— Kogo?

— Znamierowskiego!

— Pan wódz naczelny o niczem nie wie.

— Jakże nie wiem?! Powiedziałeś mi przecież!

— Ja nic nie powiedziałem, ja tylko poinformowałem i to w wielkiej poinformowałem tajemnicy.

— Jeśli boisz się, to twego nazwiska nie wymienię. Wiem i koniec! Przeprowadzę śledztwo.

— Panie wodzu naczelny, Znamierowski zaskarżył pana wodza naczelnego, ale to nie on zaskarżył pana wodza naczelnego.

— Mógłbyś pan pisać szarady do „Kurjera Warszawskiego".

— On zrobił to, co jemu kazał zrobić jenerał Prądzyński.

— Aha!...

— Domyślił się pan wódz naczelny?

— Niezupełnie.

— Jemu jenerał Prądzyński przedstawił, że pan wódz naczelny gubi Polskę...

— Że ja gubię Polskę! — buchnął Skrzynecki.

— Że pan wódz naczelny prowadzi kraj do grobu i że trzeba powiadomić o tem Czartoryskiego. Znamierowski przeraził się, on jest człowiek uczciwy, niech pan wódz się nie gniewa, on jest człowiek uczciwy, — powtórzył z naciskiem,—on zamiast przez kobiety, przez panie, przez żonę, poleciał sam. Oni wysłuchali i spisali.

Skrzynecki zastanowił się.

— Wiem, co zrobię: każę aresztować Znamierowskiego, a rozkaz ten spełni Prądzyński.

Majer znowu potarł łysinę.

— To nie będzie politycznie, panie wodzu naczelny.

— Dlaczego?

— Prądzyński będzie musiał wtedy poprzeć oskarżenie.

— Niech popiera! Wsadzę go na odwach także! Jestem, czy nie jestem wodzem naczelnym!

— Panie wodzu naczelny, w tym interesie jest nietylko Znamierowski i nietylko Prądzyński — i Majer uśmiechnął się chytrze.

— Któż jeszcze?

— Panie wodzu naczelny, gdyby Czartoryski i Niemojowski nie pragnęli tego oskarżenia, to tego, co Znamierowski mówił, nie byliby spisali. Oni — Majer pogroził komuś palcem w powietrzu — postanowili tem spisaniem zmusić Prądzyńskiego do zeznań.

Skrzynecki słuchał uważnie.

— Nie wiadomo, jak Prądzyński postąpi — ciągnął dalej Majer — ale trzeba tak pokierować, żeby wszystkiego się wyparł. On wtedy skompromituje się, bo nikt nie uwierzy, że nie gadał, a oni skompromitują się, że bajek słuchali. I oni wszyscy wtedy pomiędzy sobą się pokłócą. Znamierowskiego aresztować byłoby niedobrze, bo ona, to wielka osoba w rewolucji.

— Kto? Znamierowska?

— Znamierowska, a teraz takie czasy, panie wodzu naczelny, że z rewolucją lepiej być dobrze, niż źle.

— Skąd pan to wszystko wiesz, panie Majer?

— Niech pan wódz naczelny pozwoli mi nie odpowiedzieć.

— Od Wołowskiego?

— Nie.

— Mnie mógłbyś powiedzieć!

— Panie wodzu naczelny, ja do tajemnicy przywiązany jestem słowem honoru.

Mówili z sobą jeszcze długo i kiedy Majer wyszedł, Skrzyneckiemu wydało się, że przenika kabałę.

Chcą mu wytrącić władzę. A, ten Prądzyński! Aresztować, czy nie aresztować Znamierowskiego?

Pełen troski i niepokoju, poszedł na pokoje żony.

Pani Amelja, jak i on, pochodziła z Galicji i wychodząc za mąż mało co zmieniła nazwisko, z domu bowiem była Skrzyńska. Z tego powodu wiele dowcipów krążyło po Warszawie. Jedyne to jednak było między nimi podobieństwo. Szczupła i niska, o łagodnym wyrazie szarych oczu, czyniła wrażenie osoby dobrej i cichej i tylko ślepe przywiązanie do męża mogło tłumaczyć dawany jej powszechnie tytuł „ministra policji naczelnego wodza". Istotnie starała się wiedzieć wszystko, aby on tylko niczem zaskoczony nie był, aby tworzące się przeciw niemu zakusy w porę przeniknięte były i rozbite. Na wygody i wystawność, bez których on żyć, zdawało się, nie mógł, zgoła była obojętna, byle czem umiała się obejść, o niego natomiast dbała ponad wszelki wyraz i w przekonaniu jej wszystko, co otrzymał, od jego zasług i wartości było niższe.

Odgadła natychmiast, że ma strapienie. Skrzynecki rozpiął mundur i wyciągnął się na kanapie. Wyglądał, jakby starszy i ociężały, na rysy wystąpiło mu znużenie. Podłożyła mu poduszkę pod plecy i usiadła obok.

Opowiedział jej, z czem przyszedł Majer.

— To Prądzyński — rzekła, nienawidziła Prądzyńskiego z całej duszy. — Znamierowski jest głupiec, wyrwał się jak Filip z Konopi i dał się użyć za narzędzie temu intrygantowi. Nie poddawaj się temu.

— Podli są ludzie. Prądzyński! Zdolny on jest, nie przeczę.

— Nie tak znowu, jak się wydaje — rzekła pani Amelja.

— Za genjalnego i ja go nie mam, lecz zalet nie chcę mu odmawiać. Więcej nadaje się on do opraco-

wywania planów, niż do boju. Nie taki głupi, aby nie wiedział, że nie mamy widoków wygrania tej wojny. Możemy wygrać jedną, dwie, trzy bitwy, no i potem co? Możemy wygrywać do ostatniego żołnierza, aż się zupełnie ogołocimy z ludzi. Ja darmo krwią szafować nie będę. Wie on o tem i z tego korzysta. *Quel coquin!* Podaje mnie za niewieściucha, mnie, któremu płaszcz pod Ostrołęką kule na sito pocięły. Nie chciałem może wtedy zginąć?!

Podniósł się na kanapie z wypiekami na twarzy, widać było, że czuł krzywdę.

Pani Amelja położyła mu pieszczotliwie rękę na epoletach.

— Chce on, rozumiem ja jego grę, wysadzić mnie z dowództwa, obiecując zwycięstwo, aby samemu poprowadzić układy.

— Naturalnie — potwierdziła.

— Prędzej mi włosy na dłoni wyrosną, niż tego dopnie! Tylko ja potrafię poprowadzić układy. Nikogo innego niema. Czartoryskiego wysuwać nawet nie można, pierwszy podpisał detronizację. Będzie musiał jaknajrychlej wyjechać za granicę. Rokowania może podjąć tylko wojskowy, z pomiędzy wojskowych tylko ja. Lecz żeby je prowadzić, muszę mieć wojsko nie zdziesiątkowane, choćby nawet w zwycięskich bitwach — uśmiechnął się z ironją — muszę mieć argument, że wojnę potrafię przedłużyć *ad infinitum.* Na te to układy Prądzyński ma chrapkę i łże, że naczelnego dowództwa chce, aby się bić i zwyciężyć. A jakże! Oskarża mnie, bo ty nawet nie wiesz, jakie wielkie zarzuty przeciw mnie podnosi, że żyję wystawnie i dbam o wygody. A choćby nawet! Napoleon cukiernika z sobą na Elbę zabrał, a był wodzem. Co to ma do rzeczy? Głupi sejm tego słucha i rząd także. Baranie głowy! Skrzynecki na srebrach cesarskich jada, Skrzynecki tonu sobie zadaje! Nie

rozumieją, że ja jeszcze inny ton powinienem zadać, że wszystko w ręku mieć powinienem, aby moskale rozumieli, że tu wszystkiem jestem, że co chcę, to zrobię. O warunkach gadać wtenczas ze mną będą inaczej. Srebra cesarskie! Korona królewska nie byłaby za wiele!

Znała te wywody, ale zawsze z jednakowym słuchała ich zachwytem.

— Jak myślisz postąpić z Prądzyńskim?

— Chciałem mu kazać aresztować Znamierowskiego.

— A jeśli odmówi?

— To jego samego pod sąd wojenny!

— Zdobył on sobie stronników w wojsku, w sejmie i w rządzie — rzekła.

Skrzynecki wstał z kanapy i chodzić począł po pokoju. To gniew w nim wzbierał, to rozwaga brała górę, lecz nic przedsięwziąć nie potrafił. Najłatwiej wydało mu się aresztować Znamierowskiego i Prądzyńskiemu przez to srodze dokuczyć. Uparcie do myśli tej powracał.

— Znamierowski nie winien tu nic — rzekła pani Amelja.

— Winien niesubordynacji!

Znowu chodził i rozważał.

— Czy wiesz co o jego żonie, o Znamierowskiej? — zapytał.

Pani Amelja uderzyła dłonią w czoło.

— Jestem w domu! — zawołała.

— No?

— Jedna to z największych intrygantek w Warszawie! Ona w tem wszystkiem jest, przysięgam!

— Jakim sposobem?

— Główna doradczyni Lelewela i Mochnackiego...

— Nie może być! Jakże ja o tem nic nie wiem?

— Poróżniona była długo z mężem. Teraz zno-

wu się zeszli i pogodzili. Jeśli Prądzyński Znamierowskiego do sprawy tej używa, do dowód, że porozumiał się z klubistami. Stoisz przed całym spiskiem Prądzyński, klub i rząd!

Wszystkie kiełkujące w umyśle Skrzyneckiego decyzje zamarły, nie umiał już postanowić nic.

— Trzeba tak poprowadzić, aby Prądzyński wszystkiego się wyparł — zatrzymał się na radzie Majera.

Najlepiejby tak, myślał, bo jeśli Prądzyński wystąpi z oskarżeniem o prowadzenie bitwy ostrołęckiej? Wiedział, że wtedy obronnieby nie wyszedł, czuł, jak pobłądził. Jak Prądzyńskiego zmusić, żeby zaprzeczył zeznaniom Znamierowskiego? Wywarciem strachu? Nie zlęknie się. Postawiony przed sądem wojennym z całą wymową i znajomością rzeczy poda nie dające się odeprzeć argumenty. Jenerałowie będą za nim. Subordynacja łamie się, rozprzężenie wszędzie się wkrada. Krukowiecki za warcholstwo i głośne krytyki usunięty z gubernatorstwa, odgraża się publicznie. Krukowiecki, przez którego pod Grochowem ominęło nas zwycięstwo! Cóż dopiero Prądzyński, posiadający sławę genjalnego stratega?... Na nic! Czartoryski także jest w tem, Majer ma rację.

Czuł się zagrożony poważnie.

— Nie wiesz, kto to jest Boski? — spytał nagle.

— To jeden z klubistów, nazwisko to słyszy się teraz często, — odparła.

— Jesteś pewna, że klubista?

— Może są jeszcze inni, ja wiem tylko o klubiście. Dlaczego?

Nie odpowiedział, poszedł szybko do swego gabinetu, wyjął z szuflady rzucony tam niedbale papier i odczytał go uważnie:

„Do JW. P. Jenerała Skrzyneckiego, Naczelnego Wodza Wojsk Polskich.

„Kierowany patrjotycznym obowiązkiem polaka i obywatela, zawiadamiam JW. P. Jenerała, jako tego, w którym naród złożył swą ufność i któremu powierzył swą obronę, o istniejącym w Warszawie sprzysiężeniu wrogów Ojczyzny, dążących do powrócenia Polski pod jarzmo Mikołaja. Są to jenerał Hurtig, znany z gorliwego wykonywania szatańskich poleceń Konstantego względem więźniów politycznych, a szwagier słusznie zastrzelonego w noc listopadową Hauki, drugi szwagier tegoż Hauki, cukiernik Karol Lessel; jenerał Sałacki, znany ze swych związków z moskalami, którego żona i córka w dzień rewolucji uciekły zagranicę, szambelan Fencz, moskiewka Bazanowa, utrzymująca korespondencje z moskalami podczas ich pobytu po bitwie grochowskiej pod Warszawą. Nadmieniając, że szerokie koła patrjotów zaniepokojone są pozostawaniem wyżej wymienionych osób na wolności, piszę się JW. P. Jenerała powolnym sługą. (—) Boski".

Podany był adres.

Skrzynecki zadzwonił, w progu stanął oficer służbowy.

— Sprowadź mi pan natychmiast ministra spraw wewnętrznych.

Znowu odczytał list. Nie przywiązywał dotąd do niego znaczenia i prawie o nim zapomniał, teraz zawarte w nim wiadomości wydały mu się bardzo ważne.

Niebawem, zaniepokojony nagłem wezwaniem, przybył Gliszczyński.

— Co pan wiesz, panie ministrze — spytał, częstując go cygarem Skrzynecki — o moskiewskich stronnikach w Warszawie?

Gliszczyński rozłożył ręce.

— Naprawdę, nie wiesz pan nic?

Minister stropił się.

— Stronnicy Moskwy są, naturalnie, zawsze w Warszawie byli, nie okazują jednak niechęci dla rewolucji, siedzą cicho, nie widać ich.

— Mogą się ujawnić, gdy Warszawa będzie

w niebezpieczeństwie, wiesz pan, że możemy przejść przez oblężenie.

— Dawni ajenci tajnej policji aresztowani i osadzeni w więzieniach.

— Eh! — Skrzynecki machnął ręką — mogli byli pozostać na pańskiej służbie, miałbyś pan wtedy spis kompletny wszystkich, którzy pragną powrotu Moskwy, bo oni znali ich dobrze. Kto to jest niejaka Bazanowa?

— Zdaje się, że żona rosyjskiego oficera.

— Zdaje się, ja zaś wiem, że utrzymywała korespondencję z armją rosyjską.

— Też coś o tem słyszałem.

— Słyszał pan? No i co?

— Nie sądziłem, aby to było coś poważnego.

— Dlaczego? Mogło być bardzo poważne. A co panu wiadomo o Fenczu?

— O którym?

— O szambelanie.

— Przypuszczam, że to porządny człowiek.

— Tak pan sądzi? A Lessel, a jenerałowie Hurtig i Sałacki? Ich związki moskiewskie zdaje się, są znane.

Gliszczyński coraz szerzej otwierał oczy.

— Panie ministrze, te wszystkie osoby każesz pan aresztować dzisiejszej jeszcze nocy, nie zwlekając.

— Na jakiej podstawie, panie jenerale?

— Na podstawie mego rozkazu. Stosunki ich dawne wystarczają, aby nie mieć do nich zaufania, my zaś nie możemy być dzisiaj dość ostrożni. Co się potem z nimi zrobi, zobaczymy.

Gliszczyński podniósł się.

— Więc mam wydać rozporządzenia?

— Natychmiast. I podasz pan jednocześnie do gazet wiadomość, że to z mego rozkazu. *A propos*, co panu wiadomo o Boskim?

Tu informacje Gliszczyńskiego okazały się rozleglejsze i pewniejsze.

Boski należał do Towarzystwa patrjotycznego. Klub ten przechodził przez wiele ewolucji; z początku rej w nim wiedli Mochnacki i Gurowski, dzisiaj wysunęli się ludzie nowi — Pułaski, kapelan z korpusu Dwernickiego, Lubicz, Krempowiecki i ów Boski, uważany za Marata. Lelewel prezesuje zawsze, ale roli żadnej nie gra. Są też i kobiety, całe miasto zna Dembińską, która służyła w wojsku i chodzi przy broni.

— A Znamierowska, żona majora?

— Jej na posiedzeniach klubu nie widuje się, ona należała do pierwszego rewolucyjnego zespołu ludzi bądź co bądź porządniejszych, dziś tam zbiera się straszliwa szuja.

— Czegóż oni chcą?

Gliszczyński wzruszył ramionami.

— Zmiany rządu i wywieszania szpiegów.

— Ani jedno, ani drugie nie jest wcale głupie, — mruknął Skrzynecki.

Gliszczyński nie dodał, że klub wołał także o zmianę wodza.

*

O tej samej porze i godzinie, kiedy Skrzynecki konferował z ministrem spraw wewnętrznych, książę Adam Czartoryski słuchał wywodów Prądzyńskiego. Nie zaprzeczył on Znamierowskiemu, gotów był powtórzyć wszystko, czy to przed sądem, czy przed komisją, czy przed rządem w obecności naczelnego wodza.

Na to oświadczenie Czartoryski, jakby chcąc się upewnić, zapytał

— Powiesz to jenerał w oczy Skrzyneckiemu?

— Tak, mości książę.

Wówczas Czartoryski rzekł

— Tak będzie najlepiej. Śledztwa, jak Niemo-

jowski chce, niebędziemy wszczynać. Niepotrzebna plątanina. Położenie jest tak poważne, że uprawnia zwołanie komisji do zbadania czynności wojskowych. Na posiedzeniu tej komisji powiesz pan wszystko? — powtórzył.

— Powiem wszystko.

— Zwlekać nie można, zwołamy komisję na jutro. Weź się jenerał do pracy, wygotuj memorjał, któryby jasno i zrozumiale przedstawił położenie, pamiętaj, że nietylko wojskowi słuchać cię będą. Zobaczymy, co naczelny wódz powie, jak postępowanie swoje uzasadni i wytłumaczy.

— Całą noc pracować będę, mości książę.

Istotnie zasiadł na całą noc do biurka, pisząc historję wojny od chwili objęcia naczelnej komendy przez Skrzyneckiego, przygotowując dla ilustracji mapy i układając w chronologicznym porządku rozkazy dzienne. Świece dopalały się i świt błękitny zalewał pokój, gdy kładł na papierze zdanie końcowe:

„Jeżeli jest jeszcze sposobność ratunku, to nigdy nie będzie pod naczelnictwem jenerała Skrzyneckiego, który zdoła tylko uiścić się z danej przez siebie obietnicy wykopania grobu dla wojska".

Przeczytał je raz i drugi. Brzmiało straszliwie, krwawą ironją smagało nawet osobiste męstwo hetmana.

— Umrzeć może potrafi, zwyciężyć albo zrzec się dobrowolnie władzy — nigdy!

Znużony wielce, zasnął. Gdy się obudził i wyszedł na ulicę, uderzył go ruch niezwykły! Z ożywieniem czytano gazety, tłumy stały przed zamkiem. Ujrzał w powozie Skrzyneckiego i usłyszał okrzyki

— Niech żyje wódz naczelny! Śmierć zdrajcom!!

VI.

Do sali obrad w pałacu namiestnikowskim pierwszy wszedł Prądzyński. Długi stół, zielonem suknem pokryty, oświecały dwa kandelabry i wielki pająk, zwieszający się pośrodku z sufitu. Prądzyński policzył oczami fotele i grubą żółtą tekę położył przed jednym z nich, zdala od miejsca prezydjalnego.

Teraz zjawił się Lelewel, za nim Wincenty Niemojowski.

— Ciekawych dowiemy się dzisiaj rzeczy, — zaczął Lelewel, wskazując na papiery Prądzyńskiego.

Prądzyński nie odpowiedział. Był blady i najwidoczniej zdenerwowany, choć starał się zachować swobodę.

— Jakież jest stanowisko rządu w stosunku do dzisiejszych aresztowań? — spytał.

— Że są niekonstytucyjne, — odparł Niemojowski.

— Podczas wojny nie można wciąż przestrzegać konstytucji.

— Jenerał je pochwala?

— Ani pochwalam, ani ganię, bo nie wiem, co je spowodowało.

— Dla naczelnego wodza wypadły one w samą porę, — rzekł Lelewel.

— Dlaczego?

— Było niezadowolenie z naczelnego wodza, że zamało okazuje energji. Teraz niezadowolenie przemieniło się w istny entuzjazm. Niech pan posłucha, co mówi się na ulicy. Siedział cicho, aż pokazał, co umie! Ufność do niego wzrosła. Dziś ktoby chciał go ruszyć, na podejrzenie się poda, że zdrajców chce ocalić. I Lelewel uśmiechnął się zagadkowo.

Sala się zapełniała.

Wchodzili razem i po jednemu delegowani sejmu i jenerałowie.

Stary, siwy jenerał Małachowski, jenerał Sierakowski, wysoki, sztywny, do brata niepodobny Bonawentura Niemojowski, deputowany Zwierkowski, poseł Chełmicki, Narcyz Olizar, powstaniec wołyński, Gustaw Małachowski, niedawny minister spraw zagranicznych, poseł Ledóchowski. Gwar zawrzał. Gustaw Małachowski rozwodził się nad sprężystością wodza, który niespodzianie dłonią nakrył podejrzanych.

— To samo kubek w kubek mówi się na ulicy, — rzekł Lelewel.

— A pan profesor co sądzi?

— Ja... nie wiem... nie wiem, czy są zdrajcy, wydaje mi się jednak, że nie wadzi niepewnych na jakiś czas przymknąć.

— Naczelny wódz okazał nielada przezorność,— rzekł Wężyk.

— Jako dyrektor policji, — odparł Lelewel, — z naczelnem wodzostwem niema to nic wspólnego.

— Znalazł mu posadę, — szepnął do ucha Prądzyńskiemu Zwierkowski.

Nagle zaległa cisza. Wszystkie oczy zwróciły się ku drzwiom. Skrzynecki, Czartoryski i szef sztabu, jenerał Łubieński, weszli na salę.

Skrzynecki skinął głową, prostującym się jenerałom, uśmiechnął się do posłów i zajął pośpiesznie fotel prezydjalny, wzywając gestem ręki do zabrania miejsc. Wielki krzyż komandora błyszczał mu na mundurze, wyglądał imponująco, w każdym geście znać było, że jest tem, czem być powinien—pierwszym mężem w Polsce, że mowy być nie może, aby przed kimkolwiek się tłumaczył i sprawę z czegokolwiek zdawał. Władza i pewność z niego bijąca zaciążyły

na obecnych, zbladł przy nim prezes rządu, książę Czartoryski.

— Panowie jesteście ciekawi położenia wojskowego, — rzekł — i słyszę, jakobyście byli niem zaniepokojeni. Jenerałom moim pozwalam dać panom wszelkie wyjaśnienia o obecnym stanie rzeczy. Szef sztabu, pan jenerał Łubieński ma głos.

Łubieński rozłożył papiery i głosem suchym, monotonnym rozpoczął czytanie o rozkładzie wojska, zapasach amunicji, stanie magazynów.

Prądzyński z rosnącą słuchał go irytacją.

— Jak Czartoryski urządził to zebranie! Dlaczego sam nie przewodniczy? Sprytny Skrzynecki! Objął kierunek obrad pod pozorem, że jest to zebranie jenerałów, udzielających za jego pozwoleniem wyjaśnień deputacji sejmowej. Taki nadał charakter sesji. Czartoryski nie spostrzegł się, czy też nie umiał zapobiec.

Łubieński, wśród powszechnej nudy, ogólnego poczucia, że ślizga się po pozorach, nie dotykając sedna rzeczy, czytał długo, wywołując obraz sytuacji pomyślnej, kłam zadającej obmowom.

— Otóż tak rysuje się nasze położenie, — rzekł Skrzynecki. — Czy panowie pragną jeszcze jakich dodatkowych wyjaśnień?

— Nie dodatkowych, ale całkowitych, — zabrał głos Bonawentura Niemojowski. — Dowiedziawszy się o znakomitym stanie magazynów i garnizonów, o doskonałym duchu armji, tembardziej nie pojmujemy, dlaczego wojna rozwija się tak, jak to widzimy.

— Jakżeż rozwija się wojna?

— Nikomu nie jest przecież tajno, że Warszawa może być oblężona, — odparł za Niemojowskiego Lelewel.

— W planach naczelnego wodza leży pod Warszawą bitwę wydać, — zwrócił się do Lelewela Gustaw Małachowski.

— Kolega jest widać objaśniony, — odrzekł Lelewel — ale ja nie. Ja chciałbym wiedzieć, jaka miałaby być owa pod Warszawą bitwa.

— Jaka miałaby być? — powtórzył Skrzynecki tonem, wykazującym całą ignorancję w rzeczach wojskowych uczonego historyka. — Niech pan profesor raczy jaśniej sformułować swoje wątpliwości, a może potrafimy je usunąć, lub się niemi przejąć.

Lelewel, kiedy chciał, umiał formułować swoje myśli i uczynił to teraz.

— Mamy doskonałą armję i wystarczające jej zaopatrzenie, jak to bez referatu szefa sztabu wiedzieliśmy wszyscy, a co referat ten gruntownie potwierdza. Mimo to pod Ostrołęką poniesiona została fatalna klęska i położenie zmieniło się na wyraźną naszą niekorzyść. Nie znajdując ku temu powodów ani w stanie armji, ani w braku uzdolnień poszczególnych dowódców, zapytujemy, czy przyczyna złego nie leży w najwyższem kierownictwie wojny i zdania pod tym względem chcemy zasięgnąć u obecnych tu jenerałów.

— Co do mnie... — zaczął Sierakowski.

— Jenerał milcz! Sam jenerałowi dam głos, gdy będzie potrzeba! — krzyknął Skrzynecki.

— Takie postawienie pytania jest niedopuszczalne! — zawołał Gustaw Małachowski.

— Nie możemy łamać elementarnych zasad subordynacji wojskowej! — poparł go Wężyk.

— Nie jesteśmy w klubie demagogów! — uniósł się Ledóchowski.

Skrzynecki uderzeniem palcami po stole uspokoił wzburzenie.

— Jenerałom nie wolno krytykować postępowania naczelnego wodza, — rzekł — mogą natomiast objaśnić panów reprezentantów o obecnem położeniu wojskowem. W tym przedmiocie udzielam głosu panu jenerałowi Prądzyńskiemu.

Wszystkie oczy zwróciły się na Prądzyńskiego, Skrzynecki, oparty o poręcz fotela, przypatrywał mu się z pogardliwą ironją.

Prądzyński wstał.

— Niepodobna mówić mi o położeniu wojskowem bez czynienia uwag krytycznych, niepodobna rozpatrywać tego położenia bez oświetlenia przeszłych operacji, które je wytworzyły. Jedno i drugie znajduje się w wygotowanem przezemnie piśmie. Wobec jednak rozkazu naczelnego wodza wstrzymania się od wszelkiej krytyki, odczytać go nie mogę i nic do powiedzenia nie mam.

— Na to ja nie przystaję, — sprzeciwił się Bonawentura Niemojowski. — Proszę wodza naczelnego, aby dał zupełną wolność słowa jenerałowi Prądzyńskiemu.

— Dla swego własnego imienia powinien to uczynić wódz naczelny! — wybuchnął Olizar.

Wśród jenerałów uczynił się ruch i szmer. Wszyscy oni wraz z szefem sztabu wstali nagle z miejsc.

— W imieniu obecnych tu jenerałów pragnę złożyć oświadczenie, — rzekł Kazimierz Małachowski.

— Proszę, dał mu głos Skrzynecki.

— My jenerałowie, podkomendni naczelnego wodza, nie możemy znajdować się na posiedzeniu, które przemienia się w jego oskarżenie, opuszczamy przeto salę...

Skrzynecki słuchał z pełnem aprobaty wejrzeniem.

— Nie chcemy przez to powiedzieć, aby nie należało wysłuchać jenerała Prądzyńskiego. Przeciwnie, wszystko co powie godne jest rozważenia, skoro jednak w tem, jak oznajmił, zawiera się krytyka naczelnego wodza, to my podkomendni słuchać tego nie możemy.

— Sądzę, wmieszał się do incydentu Gustaw

Małachowski, — że wobec tego przejmującego nas najwyższem uwielbieniem oświadczenia jenerałów, posiedzenie należy uważać za skończone. Nie będąc sami wojskowymi, nie czujemy się powołani do oceny sądów jenerała Prądzyńskiego, które tylko o tyle byłyby dla nas interesujące, o ile przez sądy innych jenerałów zostałyby oświetlone.

Prądzyński zamknął tekę, czuł się pokonany. Lecz wtem Czartoryski dał znak, że chce mówić. Milczał on dotychczas, ani słowem nie mieszając się do dyskusji, twarz, obleczona zastygłą maską nie wydawała żadnego poruszenia, tylko kiedy Prądzyński deklarację swą składał, przemknął przez nią błysk niepokoju i przegnany czujną wolą zgasł natychmiast.

Salę zaległa cisza, drżąca biciem serc, mający się do odejścia jenerałowie zatrzymali się na miejscach.

— Oświadczenie jenerałów, — rzekł Czartoryski, — pozbawia nas możności wysłuchania ich światłych uwag o memorjale pana kwatermistrza jeneralnego, niemniej rząd tego memorjału ignorować nie może. Jakiekolwiek byłoby nieprzesądzone w niczem zdanie rządu o operacjach wojennych, nie dopełniłby on swego obowiązku, zrzekając się wyegzaminowania dokumentu, pochodzącego od jenerała tak znakomitego, a natchnionego nie czem innem, jak najgorętszą miłością ojczyzny. Taki wydaje mi się być również pogląd obecnych tu członków rządu, panów Niemojowskiego i Lelewela.

Obydwaj zagadnięci skinęli głowami potakująco.

— Można ten memorjał ogłosić nawet drukiem, mamy przecież wolność druku! — szydził Skrzynecki.

Czartoryski, nie zważając, wyciągnął przez stół rękę po dokument.

W jego postawie, ruchu, stanowczości głosu, czy-

tało się, że to prezes rządu przyjmuje do wiadomości skrytykowanie wodza naczelnego.

Z tem wstał, zamykając posiedzenie. Ciężki nastrój rozszerzył się na sali, rozchodzono się, milcząc. Skrzynecki, ominąwszy przy pożegnaniu Prądzyńskiego, wyszedł z Łubieńskim. Do Czartoryskiego przystąpił Prądzyński.

— Dziękuję księciu.

Na twarzy Czartoryskiego malowało się bezgraniczna troska, drgnął jakby się budząc.

— Ha, *voyons venir les evènements, peut - être que Dieu nous inspirera* — rzekł.

VII.

Znamierowski codziennie chodził na szaniec, aby widywać się z Wysockim, mianowanym dowódzcą jednego z fortów. Wysocki od Prądzyńskiego, kierującego robotami fortyfikacyjnemi wiedział, jaki obrót wzięła sprawa „oskarżenia" i, choć nie uważał jej za skończoną, nie wróżył, aby do pomyślnego rezultatu została doprowadzona. Coraz więcej wątpliwości umysł jego zalegało i na przyszłość patrzył czarno. Kiedy raz szli pieszo do miasta, rzekł

— Wrócą oni tutaj, czy nie wrócą?

— Kto? — spytał Znamierowski.

— Moskale.

Niedawno obydwaj pytanie takie uznaliby za występek, dziś, po bitwie Ostrołęckiej, czuli, że rodzi je rzeczywistość i że spojrzeć na nią trzeba, jakkolwiek straszna byłaby i przerażająca.

Z gwaru miejskiego, z wyglądu ulic bił ten sam niepokój.

Warszawa zmieniła się do niepoznania.

Publiczność wszelkiego rodzaju tłoczyła się po chodnikach. Obok bogatych, strojnych sukien, dostrzegało się jednocześnie spódnice i kubraki ludowe ,obok lekkich pantofelków ciężkie buty, a nawet bose nogi oraz roje ludzkiego ptactwa, o którem nikt nie wiedział zkąd się bierze i z czego żyje. O różnych porach dnia widziało się te same figury na Nowym Świecie, Krakowskiem Przedmieściu, placu Saskim, z jednakowym biegające pośpiechem, bez celu. Obok eleganckich kabrjoletów, stangretów w liberjach, koni w szorach, turkotały ordynarne, brudne wozy, ryczały pędzone do szlachtuzów woły i barany. Wieś, przerażona możliwością najazdu i konfiskaty na potrzeby rosyjskiego wojska swego dobytku rzucała go za byle co w paszczę stolicy. Mimo to drożyzna rosła, a z nią nędza. Wieczorami wylegały zastępy jaskrawych ulicznic starych i młodych, wyróżowanych i zaniedbanych, natrętnie zaczepiając przechodniów. W przecudnych ramach renesansowych murów bulgotał brudną pianą ten ludzki potok.

Wrócą czy nie wrócą?...

— Nie byłoby miasto do wzięcia, gdyby pomyśleć zawczasu — rzekł Wysocki. — Postawić by barykady, podłożyć prochy, niechby w razie przemocy wylecieli razem z brukiem w powietrze. Lud ten by zginął także, ale śmierć lepsza by mu była, jak niewola.

Znamierowski wzruszył ramionami.

— Nie bogowieśmy, aby przeznaczeniem tego ludu kierować i na śmierć go posyłać. A może umierać nie chce, może woli niewolę. Obowiązek ma zginąć tylko żołnierz, bo żołnierz rewolucję zaczął.

— W spisku byli i cywilni.

— Niech giną także. Zgińmy, jeśli trzeba,

wszyscy, ale nie ciągnijmy na śmierć musem, czy podstępem innych, boć to zbrodnia.

— Zbrodnia na śmierć dla wolności prowadzić!...

— Nieświadomych — zbrodnia! Jakie ty masz prawo ludziom tym wszystkim twój ideał bohaterstwa narzucać i kazać ginąć, jeśli ginąć nie chcą? Jestem gotów pierwszy proch pod mój dom podłożyć, lecz pod niczyj inny nie podłożę.

— Ty także do wywołania rewolucji nie przyczyniłeś się, siedziałeś w Paryżu, przyjechałeś dopiero za dyktatury, więc obowiązku nie masz.

— Nie mówię, że mam obowiązek, ale uczynić to mogę bez poczucia poddawania się cudzej woli i cudzemu nakazowi. Idę za sobą samym. Chcę zwycięstwa, więc się biję, nie chcę widzieć moskala w Warszawie, więc, jeśliby miał tu wejść, zginę, ale do nikogo wołać nie będę: „Giń także!" Dlaczego tylko ja, tylko ty mamy prawo słuchać swojej woli, a inni nie? Inna jest rzecz dać życie i ofiarować wszystko, co się posiada, samemu biorąc taką decyzję, a inna widzieć postanowienie za siebie powzięte przez konspiratorów i polityków.

— Hiszpanie stanęli wszyscy przeciw Napoleonowi, nie cofnęli się przed niczem, to i Napoleon rady im nie dał.

— I jabym chciał, abyśmy postąpili tak samo. Pragnę, jak i ty, aby każdy stanął na barykadzie i proch do podpalenia miał w piwnicy, sam jednak za nikogo potajemnie tego nie uczynię.

Wysocki zamyślił się.

— A gdyby dla obrony kraju wódz takie środki uznał za niezbędne?

— Wódz co innego, wódz ma prawo osądzić, co czynić należy, ale i wódz nie mógłby tego zrobić cichaczem i musiałby ewakuować miasto.

Pożegnali się i Znamierowski skierował się do domu .

„Wrócą, czy nie wrócą" — powtarzał w duchu słowa Wysockiego i jakby w odpowiedzi stawał mu w pamięci Różycki w wołyńskim lesie, w noc księżycową.

„Tę walkę, którą myśmy zaczęli, nie my skończymy" — mówił Różycki.

Nie my!

Czuł to teraz Znamierowski tak silnie, jak nigdy. Nie Skrzynecki, nie Prądzyński, nie Lelewel, nie podchorążowie. Moskale wrócą. Kiedy odejdą, Bogu wiadomo. Z czem przyjdą teraz? „Nie wiecie, kim jest cesarz Mikołaj, to nie Aleksander I" — dźwięczały mu w uszach słowa Konstantego i wyobraźnia ciskała w męt i chaos uliczny obraz sołdatów, ciągnących chmarą, z dziką pieśnią, przy huku bębnów. Wstrząsnął się. Niepodobna! Nie stanie się! Gdzieś jest zwycięstwo, gdzieś jest jego tajemnica. Archanioł polski trzyma księgę otwartą i na jej kartach wypisano, co czynić potrzeba. Kto je odczyta? Nie duchowi ślepcy! Ten tylko, kto oświecony jest łaską Bożą, taki tylko powinien mieć władzę i rząd. Bo jakże w labiryncie wypadków, w potwornych kłębach najsprzeczniejszych namiętności i interesów widzieć może człowiek zajęty wciąż marzeniem o dostojeństwach i zaszczytych, wytężający umysł na „posunięcia". Cóż dojrzeć może „człowiek sprytny?"

Tyle wiedział, ale nic ponadto. Nie mogąc posunąć się o szczebel wyżej w swej świadomości, czuł szerzącą się w sobie dręczącą-negację w stosunku do wszystkich planów i zamysłów i coraz większe osamotnienie. Raz jeden wyszedł poza zwvkły obowiązek, gdy przed kilku dniami udał się do Czartoryskiego, mówiąc co o działalności naczelnego wodza sądzi

Prądzyński. Cóż stąd wynikło? Nic. To był dla niego jakby dowód, że nic innego czynić nie powinien, jak bić się. Bić się z zamkniętemi oczami i nie pytać, co będzie.

Tuman, porwanego wzmagającym się wichrem kurzu, sypnął mu w oczy, niebo zczerniało, przyśpieszył kroku.

— Jakiś ksiądz czeka na pana — oznajmił Józef, pomagając mu odpiąć szablę i ostrogi.

— Jaki ksiądz?

— Nie wiem, pierwszy raz go widzę.

— Gdzie jest?

— Z panią, w salonie.

— Z pewnością jakaś kwesta, pomyślał i poszedł do siebie, aby nie przedłużać wizyty.

Po chwili weszła Róża.

— Ksiądz Pułaski chce się z tobą zobaczyć.

— Pułaski? Czegóż on chce?

— Musisz wyjść do niego.

Znamierowski do rewolucji nie miał sympatji wogóle, a do rewolucjonizujących księży w szczególności. Pułaskiego znał jako kapelana w korpusie Dwernickiego i w zażyłości w nim nie zostawał, naleganiom więc Róży uległ niechętnie.

Na jego widok Pułaski podniósł się i pośpieszył naprzeciw, obydwie do powitania wyciągając ręce.

W sutannie był wytartej, poplamionej, na ramionach obsypanej łupieżem, tonsura mu zarosła, twardy, siwiejący, od kilku dni nie golony zarost pokrywał policzki i jakby nie otarty z tłuszczu świecił na podbródku.

— Spotykamy się w Warszawie, co?

— A w Warszawie — potwierdził tę oczywistą prawdę Znamierowski, — niechże ksiądz będzie łaskaw — wskazał mu fotel.

— Pani dobrodziejka niech nas samych nie zo-

stawia — zwrócił się do chcącej odejść Róży Pułaski — tajemnic przed panią nie mam. Wiem, że w tym domu, w tym pokoju uczyniona została nasza rewolucja. Anioła masz major za żonę, anioła z czerwonemi skrzydłami.

Wyjął kraciastą chustkę i otarł czoło.

— Duszno!

— Burza idzie — odparł Znamierowski.

Istotnie rozległ się przeciągły grzmot.

— Jakże major zapatruje się na prowadzenie wojny?

— Nie należy to do mnie, moim obowiązkiem wypełniać rozkazy.

— Tak to się mówi, a któż to Czartoryskiemu przedstawił dowody na niedołęstwo Skrzyneckiego — he?

I Pułaski zaśmiał się jowialnie.

Znamierowski zdrętwiał, zdawało mu się, że o kroku jego nikt nie wie i wiedzieć nie powinien.

— Któż to księdzu powiedział?

— W Warszawie nic ukryć się nie może — odparł ksiądz — polacy nie są do sekretu. Niemojowski oznajmił o tem swojemu szwagierkowi, jenerałowi Umińskiemu, co to, pan wiesz, nabakier jest z naczelnym wodzem, Umiński redakcjom, a przez panów publicystów, to już tam i do mnie doszło. Lecz niech się major nie boi, Skrzynecki nic przeciw majorowi nie przedsięweźmie.

Znamierowski rozłościł się.

— O tajemnicę wojskową mi chodzi, nie o siebie. Jeśli co mówiłem, to nie z myślą ukrywania się przed naczelnym wodzem. Mówiłem, bo uważałem to za swój obowiązek.

— Bo nikt inny, prócz majora, odwagi by nie miał.

— Tego ja nie wiem.

— To ja wiem. Tchórzostwo, panie majorze, brak odwagi cywilnej gubi nas. Cóż robić! Tego się nie odmieni. Il faut prendre les choses comme elles sont. Tak się mówi, pani dobrodziejko? bo ja w francusczyźnie nie mocny. Tego się nie odmieni, ale dopuścić nie można, żeby co najgorszego kierowało losami narodu. Co najgorsze to na wierzchu! Skrzynecki — zając! Zając na czele lwów! Lepiejby było mieć lwa na czele zajęcy, jak zająca na czele lwów. Czartoryski? Na guwernera by się nadał do jakich królewiąt, ale nie na prezydenta rewolucji.

— Więc cóż na to poradzić? — przerwał Znamierowski.

— A cóż, według pani dobrodziejki — zwrócił się do Róży z zapytaniem Pułaski — głównym było błędem początków powstania?

— Wypuszczenie Konstantego, odrzekła.

— To swoją drogą, lecz Konstanty został wypuszczony, bo nie ustanowiliście rządu. Wszystko złe stąd. I teraz niema rządu! Ostatni czas z tem skończyć.

— Jak?

— Rozpędzić zające i guwernerów!

— Czy po ostatnich aresztowaniach nie podniosły się papiery jenerała Skrzyneckiego w Towarzystwie patrjotycznem? — spytała.

— Nie. Popularność jego wzrosła wśród nieuświadomionej ulicy, nie u nas, aczkolwiek ręka nasza w aresztowaniach zdrajców jest. Tem większy mamy obowiązek wykazać, że to jeszcze nie wszystko. Nawet i do nich zastosował, jak zawsze, półśrodek. Pierwszego dnia powinni wisieć, a oni na zamku siedzą i na uwolnienie siebie przez moskali czekają.

— Czy to aby zdrajcy?

— Choćby nawet teraz nie byli, to w każdej chwili mogą zostać. Dawne sługusy moskiewskie! Takich najlepiej egzekwować odrazu, nie zwlekać!

— Większą ma w sobie ksiądz skłonność do terroru, jak do chrześcijańskiej miłości.

— Na tę miłość mam ja swoje poglądy, panie majorze. Gdyby św. Piotr miecza nie schował i zbirów rozpędził, to Jezus Chrystus nie byłby umęczon.

— Niewątpliwie.

— A widzi major. Powiedziano jest — kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie, — ja zaś powiadam, — kto miecz chowa, ten na krzyżu umiera. — I my na krzyżu skonamy i nikogo przez to nie zbawimy. My musimy wziąć do ręki miecz ciężki, miecz wojny i kary, coby wroga bił i łby zdrajców i opieszałych z karku ścinał. Wojownikiem i katem trzeba być w jednej osobie!

Podniósł się z fotelu, podkrążone oczy mu gorzały.

— Nie udźwignie takiego miecza pan Skrzynecki, śmierdzieć on będzie księciu panu. A ja powiadam — jeśli kto dla potrzeby ojczyzny przed posługą kata się wzdryga, jeśli swych jaśnie pańskich rączek powalać nie chce, to niech z ojczyzny tej idzie precz i tym,.co ją mogą zbawić, nie przeszkadza!

Na policzki Róży wystąpiły rumieńce. Słowo rewolucyjne podniecało ją zawsze, działało na nią jak na wojskowego konia trąbka pojowa. Ksiądz Pułaski wydał się jej natchniony i piękny.

— Któż ją może zbawić? — spytał Znamierowski.

— My!

— My?

— My z ludem. Lud stolicy patrzy na nas i od nas czeka zbawienia. Lud jest z nami, panie majorze.

Znamierowskiemu stanął w oczach świeży widok ulicy. Burza mijała, grzmoty warczały w dali, otworzył okno, świeże, wilgotne powietrze zalało pokój.

— Ja z ludem nie mam nic, — rzekł.

— Ja natomiast mam i trzeba, abyście mieli wszyscy, którzy czujecie, że źle się dzieje. Dziś w nim jest siła, weń wstąpiła energja rewolucji. Z niego trzeba władzę wyprowadzić, i o niego trzeba ją oprzeć.

— Jak?

— Rozpędzić niedołęgów. Prezesem rządu będzie Lelewel.

— Pana Lelewela znam mało, ale nie wydaje mi się, aby miał więcej animuszu od księcia Adama.

— Animusz mieliby za niego inni. On jest symbol. Jest jak święty obraz, który niesie się przed procesją, sam jego widok cuda czyni.

— A wódz naczelny?

— Każdy z podchorążych byłby lepszym wodzem naczelnym niż nasz Skrzynecki. Zresztą, Prądzyński napewno by się zdecydował. Rzecz jest taka. Dwa są główne ogniska rewolucji. Jedno, którego duszą była pani dobrodziejka, drugie Towarzystwo patrjotyczne, które dziś ani pani, ani nikogo z twórców powstania u siebie nie widuje.

— Wszyscy oni są w wojsku, — rzekła Róża.

— Teraz są w Warszawie. Musimy więc połączyć się i sprawę w ręce ująć.

Tu wreszcie ksiądz Pułaski wyłuszczył cel swego przybycia.

Róża miała dawnych swych przyjaciół nakłonić, aby wstąpili do klubu, a Znamierowski czynić w wojsku związki, żeby opowiedziało się za wodzem, którego Towarzystwo patjotyczne wskaże i na czele postawi. Wojsko trzeba mieć za sobą, aby nie uderzyło

na lud, gdy ten wtargnie do sejmu i rządowego pałacu.

Znamierowski nie deklarował się, nie odmawiał i nie przystawał. Instyktownie wzdragał się przed zalecanemi sposobami ratunku, te jednak, które z poglądami jego zgadzały się, darmo czekały na apostołów tak fanatycznych jak ksiądz Pułaski.

VIII.

Dręczące, przeradzające się w pewność przeczucia wojskowych niechybnej klęski, kiełkować poczęły wśród szerokiej publiczności od góry do dołu, a wraz z tem opuszczała serca dbałość o sprawę powszechną, ustępując miejsca trosce, jakby swoje osobiste zabezpieczyć interesy, usunąć się na bok i nie ściągać zemsty powracających panów. Drobne, na skrzydłach staczane utarczki, choćby zwycięskie, nie czyniły wrażenia, całe rodziny opuszczały Warszawę, wyjeżdżali nawet posłowie sejmowi, byli też tacy, którzy pod pozorem negocjacji z obcymi rządami umykali za granicę Lud szemrał i zalegał sale Towarzystwa patrjotycznego, gdzie ksiądz Pułaski codziennie pomstował przeciw zdrajcom i, nie oglądając się na nic, pod pręgierzem stawiał sejm i rząd. Wziętość jego rosła, nazwisko jego było na ustach wszystkich.

Jednocześnie obok tej troski, przygnębienia i rozpaczy, fruwała, jak w wyrąbanym lesie zbłąkany motyl, niepojęta wesołość i niefrasobliwość, chęć użycia i zabawy. Rozprzężenie weszło w domy i rodziny, ustała praca, utracił wartość pieniądz,

Modą stały się spacery eleganckich warszawianek na szańce, dla „dodawania ducha" pracującym

tam żołnierzom i oficerom. Okopy przyoblekły się w uśmiech, witający nadchodzącą śmierć. Wyglądały jak kiermasz, jak park, barwny tysiącem sukien i parasolek, brzęczący flirtem przy zaimprowizowanych na trawie podwieczorkach.

Któregoś dnia Znamierowski nie był na szańcach, za różnemi wojskowemi interesami biegał po mieście i kiedy po południu wracał do domu, zagrodziły mu drogę tłumy, niosąc zatknięte na długich drągach białe z czarnemi napisami tablice.

„Dlaczego zdrajcy nie ukarani?"

„Dlaczego raport Prądzyńskiego o działaniach wojennych schowany do archiwów?"

„Dlaczego Praga nie oszańcowana?"

„Dlaczego przedsięwzięty w Warszawie nadzwyczajny kwaterunek? Czy dla moskali?"

Największa, najwyżej wzniesiona tablica pytała, co spowodowało Ostrołęcką klęskę?

Znamierowski podążył z tłumem, czytając na tablicach wyniesione na światło dzienne tajemnice państwowe, przedmioty poufnych posiedzeń rządowych, pytania, tworzące straszliwą wiarę o przedajności, zdradzie i łotrowstwie. Tłum rósł, huczał złowrogo, płynął bez przeszkody ku kolumnie Zygmunta.

Znamierowski ujrzał ogromną postać księdza Pułaskiego. Stał na niewidocznem dla jego oka podniesieniu, po obu stronach ustawiali się jacyś ludzie, mężczyźni i kobiety.

Pułaski podniósł rękę i uczyniła się cisza jak w kościele. Głos miał donośny, piękny, słowo każde, podkreślone malowniczym, wymownym gestem, leciało wyraźne w przestrzeń, wpadało do każdego ucha. Nawoływał do rzeczy, których wyobrażenie samo mogło wywołać przestrach, a które nikogo nie przerażały.

— Ruszą ku Warszawie hordy barbarzyńców, niesione zemstą, żądne łupu, krwi i pożogi! Stanie wróg u bram naszych! Lecz w tej stolicy, prócz jasnych panów, książąt i magnatów jesteśmy my — lud polski! Z nami on jeszcze nie gadał! Z tamtymi gadał dotychczas! Liczył im ruble przy rozbiorach kraju, dawał ordery przy obrzędach koronacyjnych, kuł z nimi kajdany na Łukasińskiego! Dziś my prosimy na rozmowę! A taka ona będzie, że o niebiosa się odbije, że sam Bóg wyjrzy i spojrzy co dzieje się na ziemi przez niego stworzonej!

Niech się zaczerwieni Wisła nasza, niech legną w gruzy te pałace, te siedziby władz rządowych, niech osuną się w posadach te kamienice i przygniotą nas swym ciężarem — a my miasta nie damy!

Znamierowski rozejrzał się wokoło, na wszystkich twarzach widniała zaciętość, przysięga, że tak się stanie.

— Ten ksiądz nikogo nie uwodzi, — pomyślał — obiecuje wszystkim męczeństwo, — i słuchał dalej.

Im słowo było straszniejsze, tem większą miało magnetyczną siłę. Wyrazy „śmierć", „krew", „ogień", „pożoga", „zdrada", wrywały się w dusze, wymiatając codzienne i osobiste uczucia, upodabniając jednego do drugiego, tworząc z tysięcy indywiduów jedną zbiorową całość.

— Lud warszawski pokazał, że jest, że czuwa, że wie co się dzieje. Pokazał, że jest i policzył się. Niech liczbę jego znajdą, nich postawę jego widzą zdrajcy, tchórze i opieszalcy. Na dziś ku przestrodze wystarczy!

Znamierowski przecisnął się do kolumny, gdzie ksiądz stał jeszcze w otoczeniu najbliższej swej kompanji i perorował do utworzonej koło siebie grupy.

— Wspaniała manifestacja! — mówił. — To

Boskiemu przyszły do głowy te tablice. Dowiedzieli się, że nic nam nie jest tajne! — pogroził pięścią w kierunku Namiestnikowskiego Pałacu. — A, pan major! Przekonał się pan, czem jest Warszawa! Wy i my, wojsko i lud, zbawimy kraj, albo nikt go nie zbawi.

Znamierowski poczuł na sobie nieufne spojrzenie Boskiego i przy powitaniu uścisk jego ręki, mocny i obojętny.

Obok Boskiego stała dziwna osoba w spódnicy, długich butach, mundurze ze szlifami i czapce żołnierskiej. Tęga i wysoka, jeszcze większą przez strój ten się wydała. Cerę miała śniadą, z brodawki, umiejscowionej koło prawego nozdrza, spadała na wierzchnią wargę kępka czarnych włosów. Pokazała Znamierowskiemu w uśmiechu szerokie, żółte, zaniedbane zęby i podniosła dwa palce, salutując.

— Obywatelka Dembińska, z drugiego pułku krakusów, biła się, ma szarżę podporucznika, — przedstawił ją Pułaski. — Słyszał major co mówiłem?

— Słyszałem.

— I cóż?

Podoba mi się, że ksiądz przygotowuje ludność do walki i nie tai, czem ona może być, ale poco to pomstowanie na arystokratów? Jednako jesteśmy zagrożeni i jednakowo musimy się bronić.

— Niech się major nie przeraża, to dla nadania im otuchy.

— Komu?

— Tej hałastrze, co ją major nazywa arystokracją.

— W jaki sposób?

— Kiedy poczują postroneczki koło gardła, to serca nabiorą, wierzaj mi major.

— Ślicznie powiedziane! — usłyszał za sobą Znamierowski zachwycony głosik i srebrny śmiech. Odwrócił się i ujrzał drobną osóbkę w jasnej pasterce, różowemi wstążkami podwiązanej pod brodą, o czarnych, lśniących oczkach.

— Figa — sprezentował Pułaski i na zdumione spojrzenie Znamierowskiego, dodał: — panna Parzychowską. Wielka dusza w małem ciele. Duszą i ciałem oddana rewolucji, jak żona pana, pani majorowa dobrodziejka.

— Kobiety i artyści nie lubią być do siebie porównywani, — Figa wydęła ponsowe, zmysłowe usteczka. — A ja pana majora znam, — rzekła, dygając.

— Tak, widywaliśmy się przelotnie w towarzystwie, — skłamał przez grzeczność Znamierowski, bo nie przypominał sobie Figi zupełnie.

— W towarzystwie!? Cha! cha! cha! W fortach!

— Cha! cha! cha! — zarechotała Dembińska.

— Cha! cha! cha! — wtórował jej ksiądz, grożąc figlarnie Znamierowskiemu palcem.

— W fortach?

— Pan mnie nie spostrzegł, na taką figę jak ja się nie uważa, lecz ja pana widuję razem z panem Wysockim.

— Na cóż ta obserwacja? Czy zamach jaki na nas się gotuje?

— Niechby się ona na majora zamachnęła, miałbyś się major spyszna, — dowcipkował ksiądz.

— Słodka, ale jakby ją kto połknął, w gardle by stanęła, — nie ustępowała Pułaskiemu Dembińska. — Zresztą nie radzę nikomu jej próbować, bo ja się w niej kocham, — oznajmiła, podnosząc palce do kępki włosów, wyrastających z brodawki koło nosa.

— Nie wierz major, niewinne to stworzenie, niewinne, — rzekł ksiądz.

Kto był niewinny, Dembińska czy Parzychowska, Znamierowski z zapewnienia tego nie odgadł.

Rozmowa przeszła w ton daleki od ponurej manifestacji i skończyła się na lampeczce ponczu w Dziurce, kawiarni znajdującej się w pałacu Tepera, naprzeciw drugiej, podobnej, zwanej Honoratką. O obu tych kawiarniach najróżniejsze obiegały pogłoski, uważano je za centralne biura ruchu rewolucyjnego, za gniazda drapieżnych ptaków, wietrzących padlinę. Przez prostą ciekawość Znamierowski przyjął zaproszenie Pułaskiego i usiadł z nim przy stoliku, między Dembińską a Figą. Dembińska wzbudzała w nim odrazę, Figa owszem podobała mu się. Nie wiedział w jakiej ją umieścić towarzyskiej kategorji. Do warszawskiego świata nie należała, na należącą do sfer rzemieślniczych nie wyglądała również. Ubrana była modnie, z gustem nawet i kokieterją, mogła być córką kupca, właściciela sklepu wiktuałów lub galanterji, rodzaj jednak jej zachowania się temu zaprzeczał. Coś jakby „midinetka" paryska.

— Cóżeś to Boski przyjął wygląd tak szatański? — zwróciła się do Boskiego.

— Głupiaś Figo!

— Niech pan nic nie przypuszcza, — odpowiedziała na spojrzenie Znamierowskiego, — on zawsze taki. Nic mnie z nim nie łączy. Z takim impertynentem! Jeszcze czego!

Pułaski jednak miał owych lekkości dosyć i zagaił o rzeczach politycznych. Znamierowskiego uważał za swego. Istnienie rządu, dowodził, jest kwestją czasu, podobnie jak i hetmaństwo Skrzyneckiego. System rządu musiałby być zmieniony zupełnie,

dzisiejszy niema sensu, ustanowi się poprostu prezydenta i ministrów.

— Kogo ma ksiądz na kandydatów do nowego rządu, — zaciekawił się Znamierowski.

— Prezydent Lelewel, mówiłem panu.

— A inni?

— Ministrem wojny byłaby ona, — odparła za Pułaskiego Figa, wskazując na Dembińską, — wewnętrznych i policji Boski, ksiądz kapelan sprawiedliwości, bo jako duchownemu najbardziej mu to przystoi, Krempowiecki, szkoda, że go tu niema, oświaty.

— A pani? — zapytał Znamierowski, będąc pewny, że Figa żartuje.

Nie żartowała.

— Lista, jak pan widzi, jest prawie ustalona,— rzekł Pułaski, ludzi nie brak. Niechby Dembińska objęła wojnę, miałby się spyszna jenerał, któryby bitwę przegrał.

— Ba! — rzekła Dembińska.

Znamierowski popatrzył na Dembińską i choć bojaźliwy nie był, ciarki po nim przeszły. Pojął, do czego to monstrum, jak ją w myśli nazywał, było zdolne.

— Major dziwi się, że na takie stanowisko niewiastę desygnujemy. Płeć nic nie ma do rzeczy. Exemplum Joanna d'Arc. Jak więc major widzisz, główne stanowiska obsadzone. Skarb oddalibyśmy niejakiemu Majerowi, bankier tutejszy, bardzo godny człowiek, sprawy zagraniczne Mochnacki albo Gurowski — jak major myśli?

Znamierowski nie myślał nic.

— Krukowiecki wziąłby z powrotem gubernatorstwo stolicy.

— Czy po Grochowie godzi się powierzać mu jakie stanowisko?

— Pod Grochowem spisał się on nie najlepiej, nie przeczę, lecz jako gubernator był wyśmienity, zdrajcy gęsiej skóry przy nim dostawali.

— Ba! — rzekła Dembińska.

— Otóż, widzisz major, Krukowiecki nie będzie się wahał. Jeśli moskale staną pod Warszawą, to on jedyny będzie człowiek, który za jedno słowo „poddajmy się", pod mur postawić potrafi.

— Boski też potrafiłby, — wtrąciła Figa.

— Boski pokaże mu kogo będzie potrzeba, — odparł ksiądz, — na gubernatora Krukowiecki jedyny.

Silnie uderzony tem, co słyszał, wyszedł Znamierowski z Dziurki. Takie więc były plany rewolucji. Fanatyzm księdza Pułaskiego przejął go, na manifestacji przekonał się, że panuje on nad ludem. Jeśli ten lud istotnie wszystko poświęci, jeśli przysięgnie zwyciężyć lub zginąć, to może zwycięży. Kto wie, czy to nie jedyny już dziś ratunek. Obrona, o jakiej ksiądz myślał, nie z konspiracji by wynikła, nie byłaby dziełem podstępu garstki zrozpaczonych, lecz zrodziłaby się sama w sercu mas, nie wiedzących w tej dobie co czynić.

Tego samego zdania była Róża. Według niej jednak Towarzystwo patrjotyczne, zostawione samo sobie, doprowadziłoby do anarchji, połączone natomiast z twórcami rewolucji zdolne było przedsięwziąć obronę i ustanowić władzę do potrzeb i okoliczności przystosowaną. Postanowiła przeto uskutecznić zamiary księdza Pułaskiego.

IX.

Nazajutrz spotkał się Znamierowski z Figą. Szedł linją szańców, przyglądając się robotnikom,

gdy w oddali, wśród gromadki żołnierzy dojrzał kobiecą postać w jasnej sukience. Przystanął. Figa! Cóż ona tu robi? po chwili otrzymał odpowiedź. Figa rozdała żołnierzom jakieś papiery i poszła dalej. Odezwy rewolucyjne. Naturalnie! Szwendanie się w tem miejscu klubowego agenta w spódnicy nie podobało mu się wcale. Przyspieszył kroku i znowu spostrzegł to samo. Teraz, gdy Figa zmierzała do trzeciej grupy pracujących żołnierzy, zaszedł jej drogę.

— Pan major! Spotykamy się! — uśmiechnęła się zalotnie.

— Szczęśliwy jestem z tego niezmiernie. Może i mnie pani obdaruje temi poezjami, które tu pani rozdaje.

— Z przyjemnością!

Wydobyła z za gorsetu brudno zadrukowany świstek.

— Boski to układał — objaśniła.

Znamierowski przeczytał.

Pięćdziesiąt osiem pytań. Zagadnienia śpiesznego wyjaśnienia i rozwiązania, a następnie przedsięwzięcia zaradczych środków wymagające.

Większa ich część poświęcona była krytyce jenerałów i systemowi prowadzenia wojny.

— Brak tu pięćdziesiątego dziewiątego pytania, — rzekł Znamierowski.

— Jakiego?

— Jak należy postępować z osobami buntującemi wojsko?

— To jest, niby z kim?

— W danym wypadku, z panią.

— Odebrać odemnie pakuneczek i rozdać go samemu. Dobrze, że pana spotkałam, ale niechbym trafiła na jakiego „skrzyńczyka"! Nie wszyscy oficerowie są tacy jak pan major.

— To bardzo źle.
— Bardzo źle — nieprawda?
— Więc proszę o pakuneczek?
— Rozda pan?
— Proszę mi dać.

Figa uradowana wyjęła z za gorsetu całą rewolucyjną zawartość.

— Jaki pan szlachetny! To jabym może panu zawsze dostarczała nasze druczki, a pan zająłby się ich rozdzielaniem.

— Właściwie powinienem panią aresztować.
— Mój ty Boże!
— Lub kazać żołnierzom odprowadzić do rogatek.
— Co za parada!
— Ani jednego ani drugiego jednak nie zrobię...
— Bardzo pan łaskaw.
— Odprowadzi panią poprostu podoficer...

Figa wytrzeszczyła oczy.

— Też żarty!
— Nie żarty — tego robić nie wolno.
— Dlaczego?
— Bo niewolno.
—Także powód!
— Dla mnie wystarczający. Na drugi raz jak panią spotkam z takiemi odezwami, każę aresztować, z przykrością, ale każę. Proszę pamiętać.
— Więc pan nie żartuje?
— Nie.
— Każe mnie pan odstawić do rogatki?
— Odprowadzi panią podoficer, nie będzie wstydu.

Figa poczęła mrugać powiekami, fabrykując pośpiesznie łzy, aż potoczyły się jej po policzkach.

— Pan jest skrzyńczyk, a podaje się pan za rewolucjonistę!

— Za nikogo się nie podaję.

— Niech pan odda mi moje papiery, zabrał mi je pan podstępem.

— Inaczej musiałbym poddać panią rewizji i zabrać je siłą.

— Postępuje pan, jak moskal! Kuruta by lepiej nie potrafił!

— Niech pani nie porównuje moskiewskiej władzy do polskiej, polskiej należy być posłusznym, o jej panowanie przecież walczymy.

—Widać, że pan był adjutantem Konstantego! — rozpętała całą złość w sobie Figa.

Znamierowski zaczerwienił się i krzyknął na podoficera, aby przerwać scenę.

— Odprowadźcie panią do rogatki! — rozkazał.

— Otóż to są metody rewolucji, myślał zirytowany i pełen niesmaku. Wprowadza rozkład nie tylko w formy życia sobie nienawistne, ale i w te, które oszczędzić by chciała i uszanować. Pragnie zwyciężyć przez wojsko i czyni wojsko niezdolnem do boju.

Tymczasem Figa maszerowała do miasta. Była wściekła i upokorzona. Znamierowski wydał się jej taki miły, a postąpił jak ostatni brutal. A ona go idealizowała! Marzyła o nim od wczoraj, po rozstaniu się w kawiarni. Był szyk i miał śliczne, trochę naiwne spojrzenie. Mundur ułański leżał na nim jak ulany czyściuteńki, bez plamy, każdy guzik się świecił. Lubicz jest wciąż zapaćkany, a od Boskiego odwracać się trzeba, gdy prosto w nos mówi. Znamierowski pali tytoń dobry i zdrowe ma zęby. To są jednak tylko pozory, w duszy taki sam brutal jak ci wszyscy panowie i te wszystkie panie. „Musiałbym kazać poddać panią rewizji". Powiedziałby on tak jakiej „damie z towarzystwa?..." A te damy! Mało która, odbierając od niej robotę, powie „panno Klaro", każda

prawie odzywa się do niej „niech panna"... Nie lubiła tego świata Figa. Nie dlatego, że mieszkał w pałacach, że miał salony, że sypał pieniędzmi, ale dlatego, że mówiono jej tam „panno" i że Znamierowski kazał by ją poddać rewizji. Dlatego nienawidził tego świata Lubicz, który bywał guwernerem w wielkich domach, i Boski, o którym nie wiedziała co robił, ale którego wszystkie koncepcje nowego republikańskiego ustroju przeniknięte były jakby zemstą i ideją upokorzenia uprzywilejowanych.

Podoficer Figę już pożegnał. Skorzystała z okazji, aby go zaagitować i przedstawić w najgorszem świetle kierunek rządów i sama szła teraz do siebie na Leszno.

Czy będzie oczekiwał ją przed domem Lubicz, albo czy wyjdzie z sąsiedniej kawiarenki, niby przypadkiem?

Była tak zła na Znamierowskiego, że dziś gotowa była Lubiczowi ustąpić. Przez samą uprzejmość, że tak długo czeka.

Figa nie było niewinną, jak zapewniał nic nie rozumiejący się na tem ksiądz Pułaski. Córka ubogiego urzędnika, po śmierci rodziców mieszkała sama z bratem, studentem uniwersytetu, który nietylko opieki dać jej nie mógł, ale sam jej potrzebował. Aż do wybuchu wojny zarabiała na niego. Teraz był w wojsku, w korpusie Chrzanowskiego. Przez brata weszła w koła uczącej się młodzieży i otrzaskała się intellektualnie, stamtąd też poznała się z kołami rewolucyjnemi, najpierw przez rodzinę Mochnackich, brat jej bowiem należał do różnych związków studenckich, przez Maurycego Mochnackiego zakładanych, a potem dalszą drogą trafiła i do Towarzystwa patrjotycznego. Do sfer tych ciągnęła ją równość, koleżeńska atmosfera, nastrój swobody, odpoczynek duchowy jakiego tam doznawała. Poza nimi była „panną", wśród nich panną Klarą, panną Parzy-

chowską albo poprostu „Figą". W życiu tem nie ominęła jej sposobność przefrymarczenia swego panieńskiego stanu, zwłaszcza, że obcy jej był grzech cielesnej pychy, posiadła nawet doświadczenie, chroniące ją przed wdepnięciem w grubszą awanturę.

Po drodze wstąpiła do sklepiku po cukier, bułki i wędliny.

Gruba jejmość z pogardą obejrzała świeżo wypuszczoną, papierową dwuzłotówkę.

— To ma być pieniądz? Cóż to jutro będzie warte! Zachciało im się rewolucji, a ty człowieku haruj i krwawicę swoją trać!

Figa nie omyliła się, przed jej domem przechadzał się Lubicz. Podbiegł ku niej szybko na chudych nogach. Gdy go teraz ujrzała, odleciały od niej zdrożne myśli. Białe, anemiczne palce poplamione miał atramentem, guzik u surduta urwany i chustkę pod szyją zawiązaną tak, że węzeł się obsunął i ukazał rąbek niekoniecznie świeżej koszuli. Do wiązania chustki, w owych czasach głównej ozdoby męskiego stroju, Figa przykładała wielką wagę. Mochnacki umiał chustkę wiązać. Czynił to niby niedbale, a w tej właśnie niedbałości był prawdziwy romantyczny artyzm, był styl á la Byron. Byrona Figa nie czytała, nie znała tłumaczeń Maleckiej ani Ostrowskiego, należał on jednak do tych autorów, na których najbardziej lubiła się powoływać. Lubicz nie był nawet brzydki, owszem, owal miał pociągły, delikatny, nos prosty, czoło wysokie, myślące ale z tem wszystkiem był jakiś nie apetyczny.

— Byłem właśnie u pani i już wracałem do siebie, bo jestem strasznie zajęty, a mam pani powiedzieć coś bardzo ważnego.

Figa znała te ważne interesy.

— Może więc pan wejdzie?

— Muszę koniecznie pomówić z panią.

— No to proszę.

W dwupiętrowej oficynie Figa wraz z bratem zajmowała trzy pokoje, dość duże i schludnie utrzymane. W środkowym, do którego wprowadziła Lubicza, stał stół, otoczony wyplatanemi krzesłami, a na nim w wielkim wazonie bukiet czerwonych róż. W rogach dwa wyściełane fotele, przy ścianie kanapa, kredens i półka z książkami.

— Niech pan zaczeka, panie Guciu, zaraz wrócę.

Lubicz został sam i zaczął przeglądać książki. Były to ulubione książki Figi, same prawie poezje. Zamek Kaniowski, Marja, Dziady. Ustępy całe umiała z nich na pamięć. Nieraz, ślęcząc nad haftem, recytowała półgłosem:

Wypłyń, wypłyń z za obłoku!
Po błękitnem przeleć niebie!
Ja kochanka wzywam ciebie,
W lasów ciszy, w nocy mroku...

Poczesne miejsce w tej bibljotece zajmowało dzieło o Literaturze Polskiej w wieku XIX Maurycego Mochnackiego. Było bardzo głośne, rozważane i dyskutowane, a dla Figi miało jeszcze ten urok specjalny, że na pierwszej karcie charakterem energicznym i nerwowym stało napisane: „Pannie Klarze w darze, — Maurycy".

Z książki tej Figa rozumiała niewiele, jeden jednak ustęp budził w niej zajęcie, o Jasnowidzącej z Prevost i o dziele doktora Kernera, będącem „wywodem słownym, zamykaiącym opis ziawisk magnetyzmu i somnambulizmu, działany przez świadków godnych wiary, podczas słabości Fryderyki Hauffe, którą potem nazwano Jasnowidzącą z Prevost, od wioski tego nazwiska, gdzie się urodziła, gdzie oyciec

tej nadzwyczaynej ale nieszczęśliwey kobiety był leśniczym".

Owa Fryderyka Hauffe cierpiała na nieznośne kurcze żołądka, ustępujące tylko podczas snu magnetycznego. Wówczas wyjawiła tajemnice o działaniu na organizm ludzki kamieni i roślin, które zaginęło z tego względu, „że coraz bardziey odstępuiąc od natury, wyszliśmy z powinowactwa, iakie niegdyś łączyło ściśleiszym związkiem człowieka z innemi iestestwami organicznemi i nieorganicznemi".

Tak więc kryszał skalny miał dla jasnowidzącej zapach przyjemny, a przyłożony do serca sprawiał odrętwienie; rubin wielkości ziarna grochu czynił ją wielomówną i niespokojną, a dotknięcie listkiem wawrzynu wprawiało ją w sen magnetyczny.

Figa miała wielką ochotę wpaść w taki sen i ujrzeć podobne dziwy, jak Fryderyka Hauffe i kładąc się do snu nie jeden listek, ale całą gałązkę przyciskała do piersi i zawsze bez skutku.

Niewątpliwie „przez odstąpienie od przyrodzenia wygasł w niej instykt z wszystkiemi swemi cudownemi przymiotami, osłabła władza niegdyś tak dzielna przeczuwania, przenikania natury i zgadywania jej nawet zamiarów".

Lubicz przewracał kartki w Dziadach, gdy Figa powróciła. Bez kapelusza była jeszcze ładniejsza, co, jak wiadomo, rzadko u kobiet się zdarza, tylko mniej figlarna. Złoty mat włosów tworzył harmonijny kontrast z czarnemi oczami i łagodził wyzywający wyraz zadartego noska. W jasnej sukience, niosąc tacę z herbatą, wyglądała jak obrazek.

Aż lubość po nim przeszła, ale tembardziej przyjął pozór pogrążonego w rozmyślaniach literackich.

— Nad wszystko przenoszę Mickiewicza! Je-

mu nikt nie dorówna, niech pani posłucha, panno Klaro:

Pod pałac niewiadoma ciągnęła mnie władza,
Tysiąc ogniów północne rozpędza ciemnoty,
Słychać wrzaski pojezdnych i karet . turkoty.
Już jestem blizko ściany, skradam się pomału...

— To jest cała rewolucja socjalna!
— Niech pan usiądzie i napije się herbaty.
— Widzi pani...
— Może bułeczkę z masłem?
— Chciałem pani...
— Kawałeczek szyneczki.
— Do pani nie można przyjść, żeby nie usiąść za stołem.
— Wizyta bez herbaty nie jest kompletna.
— Kiedy ja nie z wizytą.
— Prawda, pan z czemś bardzo ważnem. No to jedno przy drugiem. Wziął pan cukier?
— Wziąłem.
— Bo ja jestem strasznie głodna. Zlatałam się, jak dziki osioł. Rozdawałam na szańcach te wasze pytania.
— Rozdała pani?
— Rozdałam — zataiła swoją przygodę.

Nie pojmowała dlaczego, bo przysięgała sobie, że to uczyni i ściągnie na „tego skrzyńczyka" zemstę klubu.

— Pani strasznie się naraża.
— Nic mi nie będzie.
— Jeszcze nie zwyciężyliśmy, jeszcze nie jesteśmy przy władzy. Pierwszy lepszy policjant może panią aresztować i nim panią uwolnimy!... Te rzeczy powinna robić Dembińska.
— Niewdzięczny pan.
— Dlaczego?

— Dembińska kocha się w panu, nie wie pan?

— Czyż ja jestem kobietą?

— Ja, gdybym była mężczyzną, to właśnie kochałabym się w Dembińskiej. Jak to musi być oryginalnie klęczeć przed niewiastą przepasaną szablą i w epoletach. No i odwaga! Jakby takiej pan się nie podobał, to zaraz ciach! wyjęłaby pałasz i odrazu ciach. Mogłaby panu uciąć ucho. Ładnieby pan wyglądał!

I Figa zaśmiała się, jakby już widziała Lubicza bez ucha.

— Ja takich kobiet nie uznaję. Kobieta musi być dla mnie...

— A co pan tak ważnego miał do powiedzenia?

— Chciałem poznać pani zdanie... co pani myśli... przyniosłem przemówienie na zwołany przez nas miting...

— Wyznanie miłosne — pomyślała, i rzekła...

— Słucham.

I rzeczywiście, choć rzecz szła o rewolucji socjalnej i nic wspólnego z erotyzmem nie miała, Lubicz w trakcie jej czytania wydawał się być rozpiętym na torturach, zgoła innych, niż polityczne i społeczne, udręczeń. Głos mu się łamał, przełykał ślinę, ręce, trzymające papier, dygotały, oczy zachodziły omdleniem. Poszczególne wyrazy i zdania opływały krwią, burzącą się od wiecznie niezaspokojonego hutliwego głodu. Styl miał prześliczny, fascynujący, budzący dreszcz.

Na jego publiczne przemówienia cisnęły się kobiety, przekonań jego nawet nie podzielające. Niektóre wpadały w istne delirjum, drżały pod gradem tych piekielnych pocałunków, zaklętych niewidocznie w lawinę słowa, i rozpętywały jakiś wewnętrzny szał w całem zgromadzeniu. Obok Tadeusza Krem-

powieckiego, Gustaw Lubicz był najlepszym mówcą klubu.

— Cudnie — szeptała Figa.

Zachwycił powietrza i oddychał szybko, nie wiedząc, co rzec. Najzwyklejszego „kocham cię" nie umiał wyrazić inaczej, jak obrazem gilotyny, grożącej światu.

Nagle zerwał się z krzesła i zaczął chodzić po pokoju. Nie, nie miał odwagi! Przeżywał w wyobraźni jak ją porwie w ramiona, miał ją całą w oczach, lecz nie śmiał nawet nachylić się i pocałować w karczek, wyłaniający się z pod koronkowego kołnierzyka. Wreszcie stanął za jej krzesłem i nadludzkim wysiłkiem woli dotknął końcami palców jej włosów, tak, aby nie poczuła.

Choć poczuła, udała, że nic nie dostrzega, bo nie była od tego, aby się trochę nie zagalopował, a ufała sobie, że w porę go powstrzyma. Jak taki wygląda kiedy... Aż ją kurcz chwytał z wewnętrznego śmiechu, przechyliła jednak na poręcz krzesła głowę, postawiła oczy w słup i siedziała nieruchoma.

On zaś znowu spacerował i zerkał na nią ukradkiem.

— Przeczytał mi na wabia mowę rewolucyjną i skacze teraz jak poparzony, myślała Figa.

Wiedziała, że seans taki może trwać w nieskończoność, jeśli nie zostanie przerwany, więc wstała, musiała zresztą naprawdę wyjść jeszcze na miasto.

— Niech mnie pan odprowadzi, panie Guciu, trzeba, żebym odniosła robotę. A mowa pana śliczna, franchement.

Wojska ruszyły z Pragi.

Skrzynecki, mimo tajonego głęboko postanowienia nie wydawania bitwy, aby na czele jaknajwiększej siły rozpocząć układy pod murami ufortyfikowanej stolicy, nie zdołał oprzeć się parciu ludności, nawoływaniu sejmu i nastawaniu rządu. Nadchodziły wiadomości o potężnych przygotowaniach rosjan w Toruniu, przez rząd pruski wspomaganych, o niezmiernych magazynach nad granicą, poza pruską stroną, o dowozach, przypływających morzem do Gdańska.

Nie dając się nakłonić do jakiegokolwiek przedsięwzięcia przeciw głównej armji, dowodzonej chwilowo, przed przybyciem Paskiewicza, przez jenerała Tolla, zdecydował się do działań przeciw korpusom podrzędnym, mniemając, że pozwoli mu to, bez straty i klęski, zająć pomyślnemi biuletynami uwagę powszechną.

Główna armja rosyjska stała nieporuszenie na północy, w okolicach Pułtuska, czekając na posiłki, na południu pod Siedlcami przebywał Kreutz, w Lubelskiem Rüdiger, pośrodku, na wyciągniętym wschodnim szpicu, w Brześciu Litewskim, Rosen, Pośredniczący miedzy północą a południem.

Ku rozbiciu Rüdigera i Kreutza zmierzał plan Prądzyńskiego, tym razem przyjęty przez naczelnego wodza. Jechali nawet razem do głównej kwatery, w Siennicy, aby kłam zadać przekonaniu, panującemu w wojsku, o nieporozumieniu między sobą istniejącem. Nie ustąpiło ono, przeciwnie, było jeszcze bardziej ponure i zawzięte. Prądzyński widział w Skrzyneckim nie dającą usunąć się zawadę dla pokazania swoich zdolności, dla zasłynięcia w bojach, dla odegrania roli europejskiej, Skrzynecki

w Prądzyńskim taką samą dla zrealizowania swej idei układów z dłonią na rękojeści niewyjętego miecza. Siedzieli koło siebie w powozie, jeden z uczuciem pogardy i lekceważenia, drugi urażonej pychy.

Znamierowski dostał się do korpusu obserwacyjnego Ambrożego Skarżyńskiego, mającego za zadanie strzeżenie Narwi i Bugu i śledzenie wszelkich ruchów, któreby się po tamtej stronie tych dwóch rzek na stanowiskach głównej rosyjskiej armji objawiały. Skarżyńskiemu wyznaczono na kwaterę miasteczko Radzymin, dokąd już przed nim podążył srogi i fantastyczny, o temperamencie partyzanta, pułkownik Wierusz.

Czerwcowa noc cicha była, ciepła i widna. Gwiazdy pokryły szafirowe niebo, maszerujące szeregi odrzynały się w świetle księżyca ruchomą wstęgą od przydrożnych drzew i zroszonych zbóż. Korpus płynął polami jak pieśń.

Żołnierz opuścił z ulgą obóz pod Pragą, gdzie frakcje polityczne narówni z fetorem, który, słowa Imć Bartosza Paprockiego stosując, „w czynszu przyrodzonym brzuch oddaje", hart mu psuły i zgniłym dymem zalegały umysł. Kąpał się teraz w powietrzu i animusz poza brzegi serca przelewał. Piękne to było wojsko, mimo nieudolnego prowadzenia wojny gotowe wciąż do czynów grochowskich i iganieckiej brawury. Znamierowski, jadąc na czele swego oddziału kołysał się na siodle w takt miarowego tupotu nóg i brzęku wędzideł. Na niego też naszło ukojenie. Myśli przycichły, jak znużone długim lotem ptaki zwinęły skrzydła.

Szli całą noc, ale też nad ranem widać było żołnierzy wychodzących z szeregów, aby położyć się na ziemi lub przysiąść na murawie. Wtedy nakazano postój. Przykładając do ust manierki pili gorzałkę i ustawiając broń w kozły rozbiegali się na

wszystkie strony, w najzabawniejszych pozycjach wiodąc rozmowy.

— Daleko do tego Radzymina?

— Duże to miasto?

— Nie byłem.

— Małe żydowskie.

— Żydowskie, gadasz?

— Same żydy!

— Psiakrew!

— Nie wydziwiałbyś, bywają żydówki jak marcepan.

— Też ci żydowski kawalir!

— Nie bałbyś się grzechu, krew swoją krześciańską w zastaw im dawać!

„Żydowski kawalir", łyk miejski, nie dał zbić się z tropu.

— Nie wiesz, że jeden polski król żydówkę miał za żonę?

— A jużci!

— Gdzieżeś to wyczytał?

Zaczęła się czysto narodowa, wszystkim polskim klasom najmilsza dyskusja o Izraelu, przeplatana konceptami sprośnymi i niewymyślnemi anegdotami.

— Patrzajta chłopcy! cygany idą!

Od Radzymina, pomiędzy żołnierstwem na obie strony drogi rozrzuconem, ciągnęły dwie wielkie bryki, zaprzęgnięte w tęgie, rosłe konie, pełne bab i dzieciaków. Czarne, kudłate chłopy śmigały batem, aby przedostać się jaknajprędzej, choć nikt im krzywdy nie czynił, doskwierano im tylko słowem i nakrzykiwaniem. Dobili tak aż do tyłów, gdzie o semickiej kwestji rozprawiano i tam natrafili na humory bardziej zaczepne. Na widok dwóch ślicznych cyganek, obwieszonych świecidłami, siedzących na pierwszej bryce, piechurom zaświeciły oczy.

— Zrewidować ich! Takie to z moskalami się wąchają, ekspedycje może jakie pod kieckami wiozą!

Cygan zaciął konie.

— Stój! Dokąd się śpieszysz, psiawiaro?!

Obstąpili bryki i wśród przeraźliwego jazgotania dzieciaków, bełkotu cyganów, ciągnęli wrzeszczące cyganki między siebie.

Na bryce podniosła się stara wiedźma, przeraźliwie pomarszczona i chuda i podniósłszy piszczele wymawiała jakieś zaklęcia.

— Przestań mamrotać, jędzo! nie bój się o swój wianuszek! Nikt ci go nie tknie! Starszyźnie dać by ją pod opiekę, aby się takiej matronie despekt jaki nie wydarzył!

Starszyzna pobłażliwie patrzała na tę zabawę. W tem zagrały trąbki, wskoczono na konie, rozebrano z kozłów karabiny, korpus w przygrzewającem słońcu ruszył dalej.

Kiedy zbliżano się do Radzymina, zastanowiła wszystkich wielka ilość pierza, unoszącego się w powietrzu. Z początku było tego mniej, ale w miarę jak szli osiadało na mundurach i czapkach tak, jakby pierzyna nad głowami się wytrzęsła. Fruwało w powietrzu, opadało na trawę i na liście drzew.

— Co u djabła, czy Wierusz żydowskie bety wypatroszył?

Przed samem miasteczkiem usłyszeli wielki krzyk, gwałt i lament. Leciały im do uszu rozpaczliwe zawodzenia, jęki i płacz.

— Pali się czy co?

Harmider się zwiększał, rósł w krzyk przeraźliwy, paleni ciekawością szli śpiesznie, aż oczom ich przedstawił się ponury i komiczny zarazem widok.

Wśród lamentującego żydowskiego tłumu, łamiących ręce i rwących peruki żydówek, żołnierze z oddziału Wierusza prowadzili dwa woły. Maści

tych wołów nie było znać, obsypane bowiem były całkowicie popiołem. Na każdym siedział obrócony przodem do ogona związany żyd z wyrazem niewypowiedzianej rozpaczy i męki.

W jednej chwili Skarżyński i wszyscy oficerowie obstąpieni zostali przez żydówki, żydów i ich bachory. Całowano ich po butach, szarpano za hajdawery.

— Panie jenerale, oni nie winne! Jaśnie wielmożny panie jenerale, one nie szpiegi, to omyłka! My w zakład całe miasto dajemy, my damy co pan jenerał każe! Sam rabin za nich poręczy!

Przed konia Znamierowskiego rzuciła się obstąpiona dzieciakami kobieta.

— Panie jenerale, to mój mąż, to ich ojciec! Jego mają powiesić! krzyknęła przeraźliwie. Ratuj nas panie jenerale! żeby na twoje dzieci takie nie przyszło nieszczęście!

Wtem tłum się rozstąpił, ucichł posępnie. Na spotkanie Skarżyńskiego w otoczeniu kilku oficerów cwałował Wierusz.

— Na gałąź posyłam tych dwóch! — raportował. — Wszystkie te żydy w konszachtach są z moskalami. Kazałem ich przetrzepać, ale tylko piernaty im wypruto. Ci dwaj stale jeżdżą za Narew z donosami. Przychodził do mnie żyd, aby mnie przekupić, abym za pieniądze ich uwolnił, wsadziłem go do składu z owsem między szczury.

— Czy aby dostatecznie udowodnione, że to szpiegi, — wmieszał się Znamierowski.

— Co mi major gadasz! — zaperzył się Wierusz, — gdyby nie było udowodnione, to takiego przykładu bym nie dawał. Przykład należy dac, rozumiesz major?!

— Cóż robić, szpiegów należy wieszać — mruknął niechętnie Skarżyński.

Znamierowski podzielał najzupełniej opinję Skarżyńskiego, ale miał wstręt do wieszania. Zły, że ulega słabości brnął jednak dalej.

— Jeśli chodzi o przykład, to strachu się najedli, dodać im może jeszcze po pięćdziesiąt kijów i zamknąć z tamtym trzecim.

— Dać im po pięćdziesiąt kijów! Dać im po pięćdziesiąt kijów! — wołali obstępujący ich i przysłuchujący się rozmowie żydzi. — Dlaczego by im nie dać po pięćdziesiąt kijów? Można dać!

— Cóż to major za szpiegami się wstawiasz?!— krzyknął zalewając się krwią Wierusz.

Znamierowski zaczerwienił się i ruszył koniem, jakby chciał najechać na apoplektycznego pułkownika.

Jenerał Skarżyński podniósł rękę do wąsów.

— Aleś nam dał pułkownik spektakl, niech cię nie znam!

— Co? prawda?!

— Póki żyć będę nie zapomnę! Te żydy na wołach! Że też rysownika jakiego niema, coby to uwiecznił! Do potomności byś pan przeszedł!

Wierusz zatrząsł się ze śmiechu na siodle.

— Popamiętają mnie oni!

— Wiesz, pułkownik — nachylił mu się Skarżyński do ucha, aby nie być słyszanym, — Znamierowski może ma rację. Ludność za nimi się ujmuje, nie można jej mieć przeciw sobie.

— Zawsze oni będą przeciwko nam.

— Lepiej może ustąpić, całe miasto, zdaje się, wyległo, dać im po pięćdziesiąt kijów i basta.

— Jeśli taki rozkaz jenerała, — zagryzł wargi Wierusz.

— Nie rozkaz, rada. Co pułkownik postanowisz będzie wykonane. Jeśli uważasz, że powiesić, to powiesić.

— Ano, niech poznają wspaniałomyślność jenerała, — zmienił nagle decyzję Wierusz i odwróciwszy się, z konia krzyknął do tłumu.

— Z łaski jenerała kara śmierci na szpiegów została zamieniona na pięćdziesiąt kijów!

— Możeby łaskę wielmożny pan jenerał okazał zupełnie. On ma taką chorobę, że nie może dostać pięćdziesiąt kijów.

— Jeśli nie może to będzie wisiał! — huknął Wierusz.

Zrobiło się nagle cicho, pojękiwania tylko było słychać.

Wierusz zarządził już kwaterunek. Skarżyński zatrzymać się miał u burmistrza, Znamierowski u wikarego...

Zajrzał do notesu.

— Nie, tam stanie kto inny, pan major zamieszka u doktora Krotowskiego. Tam będzie panu najlepiej — uśmiechnął się złośliwie i oczy przymrużył.

Znamierowski udał się na wyznaczoną kwaterę. Ładny domek w ogródku, cofnięty nieco od zaśmieconych i brudnych uliczek, miłe uczynił na nim wrażenie. Wyszła do niego doktorowa, przystojna, o czarnych oczach brunetka, o rękach drobnych, wypielęgnowanych.

Pochodzenie jej nie przedstawiało wątpliwości.

— Wierusz zasadził mnie pomiędzy żydów, pomyślał.

Przedstawił się i przeprosił za najście nie z swojej winy.

— Przeciwnie, jest nam bardzo przyjemnie. Męża w tej chwili niema, poszedł do chorych. Pokój dla pana przygotowany, może kazać podać herbatę.

— Jeśli pani łaskawa.

Poszedł zaraz do siebie, wypił szklankę herbaty ze struclą, ściągnął buty, rozpiął pas, zapuścił rolety, rzucił się w mundurze na łóżko, wtulił głowę w poduszki i zachrapał na cały dom. Spał ciężko, snem śmiertelnie znużonego człowieka, odpoczywającego i dręczącego się zarazem we śnie. Nie wiedział jak długo spał, powieki ciążyły mu jak ołów i zamykały się z powrotem gwałtownie, przeciągnął się, aż mu kości trzasnęły w stawach. Rozejrzał się po pokoju. Była miednica, dzban z wodą, mydło, ręcznik, rzeczy przyniesione z furgonu leżały na krześle.

Trzeba się przebrać.

Znamierowski dbał o zewnętrzny wygląd. W Paryżu nawet, żyjąc w biedzie, wywabiał swą bluzę robotniczą z plam i nosił beliznę śnieżnej czystości. Teraz powrócił do dawnych zamiłowań i woził z sobą przybory toaletowe. Był trochę jak waleczny, pod Ostrołęką poległy Kicki, który nawet przed bitwą skrapiał się wonnościami. Obnażył się zupełnie, zlał zimną wodą od głów do stóp i aż wstrząsnął się z rzeźkości. Gdy się dokumentnie wymył, wyczesał i ogolił, wyczyścił z pyłu pochwę u szabli, zmienił skórzany mundur na wyjęty z walizy, naciągnął niepokalanej białości grube, do konnej jazdy skórzane rękawiczki i zamierzał udać się do głównej kwatery, ostrożnie zapukano do drzwi.

— Proszę.

Do pokoju wszedł doktór Krotoski, człowiek już szpakowaty, starannie ogolony, niski i trochę otyły, o zaakcentowanym bardziej jeszcze niż u żony typie semickim. Miał na sobie tabaczkowy surdut, chustkę na szyi białą i nie sięgające do kolan półbuty z chwastami.

— Nie śmieliśmy pana budzić, po takiej drodze. Ale widzę, że pan się już wyspał. Jest tu do pana delegacja.

— Delegacja do mnie? jaka delegacja?
— Rabin.
— Rabin?!
— Rabin, — potwierdził doktór.
— Rabin do mnie? Czegóż on chce?
— Musi mieć jakąś potrzebę. Czeka w bawialni, są z nim jeszcze dwa żydki.

Rozweselony i zdumiony wszedł zamaszyście Znamierowski z Krotoskim do salonu.

Z fotelu podniósł się rozmawiający z Krotoską, trzymającą koło siebie kilkoletnią o kręcących się czarnych lokach dziewczynkę, chudy, ascetyczny żyd z długą siwą brodą, w jedwabnym chałacie, i stanął pomiędzy dwoma żydami w jarmułkach. Cała rodzina doktora spoglądała na Znamierowskiego prawie że z miłością.

— Czego życzy sobie pan rabin?

— My do pana pułkownika... zaczął, przebierając palcami brodę, rabin.

— Jestem major.

— Przepraszam... niema obrazy... my do pana majora z podziękowaniem za grzeczne obejście.

— A, to za tych szpiegów!

— Za pozwoleniem, one nie były szpiegi. One były kupcy. One chodziły do ruskiego obozu, ja temu nie przeczę, ale one chodziły tam z handlem. One nie powinny tam były chodzić. One może tam przytem co powiedziały, ale one mogą także powiedzieć co tam się dzieje.

— Bardzo panu rabinowi dziękuję za uprzejmość, lecz ona należy się jenerałowi Skarżyńskiemu.

— Myśmy już u jenerała byli, bardzo delikatna osoba pan jenerał, ale myśmy musieli przyjść także do pana pułko... przepraszam, do pana majora, bo gdyby nie pan major, toby ich pan pułkownik Zawierusz powiesił.

— Pułkownik Wierusz miał rację.

— Ja nie mówię, żeby nie miał racji, ale pan major miał większą rację, więc my dziękujemy za sprawiedliwość.

— Czyż to nie sprawiedliwie ukarać takiego, co wrogowi służy?

— Sprawiedliwie, ale sprawiedliwość sprawiedliwości nie równa. One mają dzieci. Jak powiesić takiego co nikogo nie ma na świecie, to tylko jego głowa o to boli co się dzieje. A tu to jakby pan major powiesił odrazu i żonę i dzieci i jeszcze gorzej jakby ich pan powiesił. No, a co one temu winne? Pan major to zrozumiał, i tego my żydzi z Radzymina panu majorowi nie zapomnimy. One i tak zostały ukarane — co one dostali!

— Spodziewam się, — zaśmiał się Znamierowski.

— Żydzi tym żołnierzom, co mieli bić, dali wódki, aby mocno nie bili, ale oni wypili wódkę i bili jeszcze mocniej, oni może nawet jeszcze coś przydali.

— Panie rabinie, ludność żydowska nie jest z nami, jak powinna być — ciągle ma konszachty z moskalami.

— Panie majorze, przepraszam, ale to nie jest zupełna prawda.

— Prawda! my wśród żydów nigdy nie jesteśmy pewni, największa ilość szpiegów z pośród was!

— Bo one są najbardziej śledzone i one się boją. One gadają każdemu, kto im każe, bo one wiedzą, że dla nich niema politowania. One mają także swoją duszę.

— Kto nie umie trzymać swojej duszy, jak młota w garści, to lepiej żeby jej wcale nie miał!

— To jest bardzo mądrze powiedziane, ja nic do dodania nie mam. To jest tak mądrze powiedziane. Rozum to jest największa rzecz. Rozum, to jest słoń-

ce, w którem rośnie serce, jak kwiat. My jeszcze raz dziękujemy panu majorowi, że pan tego słońca i tego kwiatu użył na poratowanie naszych żydków.

Znamierowski wzruszył się i podał rękę rabinowi.

— Bardzo przyjemny ten rabin, — rzekł po wyjściu delegacji, i gładząc po czarnych lokach dziewczynkę, spytał.

— Jakże na imię temu ślicznemu stworzeniu?

— Urszula, jak córeczce Jana z Czarnolasu, — odparł, uśmiechając się z zadowoleniem Krotoski.

— Do pani podobna.

Krotoska długiemi rzęsami zasłoniła oczy.

— Pan będzie u nas na kolacji — bardzo prosimy.

— Dziękuję. Jeśli mnie gdzie nie wyślą, skorzystam z gościnności.

— Jużby pana wysyłano?

—Służba nie drużba, łaskawa pani. — Skłonił się i odprowadzony aż do bramy ogródka, poszedł do Skarżyńskiego.

Narazie dano mu spokój, w nocy dopiero miał ruszyć ze szwadronem ułanów i posunąć się aż pod Narew. Skarżyński wysyłał patrole na wszystkie strony, lustrował okolice, obstawiał wioski, aby nikt podejrzany nie przedarł się od strony rozpoczynających się operacji i nie poruszył głównej rosyjskiej armji z legowisk. Od tej misternej ostrożności zależało powodzenie wyprawy.

Miasteczko bulgotało od żołnierskiego gwaru i żydowskiego rejwachu, widziało się stęsknione do mundurów dolcynele, spacerujące z ułanami albo kanonierami, nie mniej wprawione od kompanów do szybkiego zawierania i zapominania serdecznych znajomości.

— Co też pomiędzy wami naroiło się kogutów,— rzekł Znamierowski do przechodzącego wachmistrza.

— Więcej ich tu, niż kur, panie majorze.

Nieco dalej ujrzał pocieszny widok. Na samym środku rynku, wśród rzeszy dzieciaków i tłumu gapiów, siedzieli na wyniesionych krzesłach żołnierze. Każdego, gęsto namydlonego, skrobał brzytwą udający wielkomiejskiego fryzjera żydek, podkręcał mu wąsy, obracał podbródek, odstępował na krok, przyglądając się swemu dziełu, i ciachał dalej. Jednemu z elegantów mistrz taki rozczesywał czuprynę na dwie połowy, pocierał jakąś maścią i zawijał włosy na palcu, aby były jak rurkowane.

Ale gdy wrócił do siebie, pasja go ogarnęła. Na sztachetach od frontu wisiały jego spodnie, obok nierozłączna z niemi najintymniejsza część bielizny, wyprana, jak się patrzy, i mundur.

— To ten Malina, osioł! — zaklął w duchu i szarpnął furtkę.

Ordynans jego, nazwiskiem Malina, wietrzył rzeczy z drogi, wypucowane buty ustawił koło klombu, wyniósł balję i zakasawszy rękawy, oddawał się praniu w najlepsze.

— Czyś ty zwarjował, Malina?! Co ty wyrabiasz?

Malina podniósł się z nad balji, zadowolony ze swej gorliwości.

— Trza przeprać brudy, panie majorze.

Znamierowski pozieleniał.

— W cudzym domu?

— One chciały same wyprać na kuchni, ale nie dałem, bo pan major nie pozwolił turbacji robić.

— Zabieraj mi to!

Malina zaczął coś miarkować i sądząc, że Znamierowski nie zdaje sobie należytej sprawy z sytuacji, nachylił mu się konfidencjonalnie do ucha.

— To są żydy, panie majorze.

— Żydy, nie żydy, uprzątnij zaraz.

Nie wiedział, co począć. Przepraszać za tego rodzaju zdobiącą sztachety garderobę, było mu nijako, udać, że niczego nie spostrzegł, nie mógł, a że głód czuł, bo obiad przespał, zły był w dwójnasób.

Malina drapał się zakłopotany za ucho. Łatwo powiedzieć „zabieraj' — a gdzie schować mokrą bieliznę? Fanaberje, mruczał, aż wpadł na pomysł, zaniósł ją na drugą stronę ogrodu i rozwiesił na drzewach owocowych.

Krotoscy, mimo zachowanego fizycznego typu i pewnych właściwości, przejawiających się najczęściej w jakiemś powiedzeniu, wydawali się zupełnie zasymilowani. Znamierowski przypuszczał, że nie są ochrzczeni, obyczaju jednak nie zachowywali, kuchnia np. nie mogła być rytualna, gdyż służba była chrześcijańska.

Wątpliwości rozjaśnił mu sam Krotoski. Przy stole, jakby chcąc dowiedzieć się o rzeczy, która go korciła, rzekł nagle.

— Pobyt pana u siebie zawdzięczamy z pewnością pana wstawieniu się za żydkami.

— Tu mi naznaczył kwaterę Wierusz.

— Bo sobie pomyślał, że kiedy pan taki żydowski obrońca, to niech pan siedzi pomiędzy żydami — nieprawda?

Przez czoło Krotoskiej przeszła lekka chmura.

— Naturalnie, — rzekła.

— Wątpię, aby był tak głupi, w każdym razie nie zemściłby się, ale wynagrodził tę moją tak przecenioną zasługę, — odparł Znamierowski, skłoniwszy się lekko w stronę Krotoskiej.

Oczy Krotoskiego rozpromieniły się na chwilę.

— Ludzie są głupi, rzekł, i więcej nawet dziecinni, niż głupi, pan uważał, że dzieci są okrutne?

— Nie.

— Pan nie ma dzieci?

— Nie mam.
— Pan nie jest żonaty?
— Jestem.
— Dzieci są okrutne. Nawet dobre dzieci męczą zwierzęta, nie czując, że to boli. Widziałem chłopczyka, który zabawiał się obrywaniem skrzydeł muchom. Jak taki dorośnie, a nie zmądrzeje, to obrywa pejsy żydom. Dlaczego pan Wierusz wsadzał żydów na woły obsypane popiołem? Bo głupi, właśnie, jak to dziecko.

— Inaczej powieszeniby zostali, nimby Skarżyński przyszedł.

— Nie przeczę, że dobrze na tem wyszli, ale to inna rzecz. Ich powinno się było powiesić, albo puścić, tak, jak powiesiłoby się albo puściło katolików. Ja panu coś powiem, bo mi się zdaje, że już pana trochę znam — jeśliby pan ich nie zobaczył na tych wołach, to panu do głowyby nie przyszło ich ratować. Wojna wojną, prawo prawem. Ale jak pan tak ich zobaczył, to pana zdjęła obrzydliwość nad niepotrzebnemi figlami z człowiekiem przed śmiercią, i pan się zlitował.

— Może.

— Bardzo niebezpieczny jest ten dziecinny stosunek. On może doprowadzić do tego, że żyd w Polsce na wszystko sobie pozwoli, licząc, że nic mu się nie stanie, bo zawsze znajdzie polaka, który za nim się ujmie. Ten polak nie będzie wiedział, dlaczego się ujmuje i ten żyd nie będzie wiedział, dlaczego się za nim ujmują, a przecież to jasne.

— Dlaczego?

— Bo ten polak gdzieś widział, jak żydom płatano takie właśnie nieprzyjemne figle.

— Więc ja dzisiaj przedstawiałem ten niebezpieczny stosunek?

— Nie pan, pan Wierusz. Pan postąpił normal-

nie, uczucia ludzkie są normalne, lecz nie jest normalne, kiedy pułkownik, mężczyzna z wąsami, zachowuje się, jak dziecko. Ja jestem żyd, ale jestem polak, polak mojżeszowego wyznania, więc patrzę na te rzeczy zdrowo.

— Czy pan doktór rzeczywiście wyznaje mozaim?

— Pan się dziwi, że ja, człowiek inteligentny?... To ja panu powiem tylko tyle. Człowiekiem bez religji może być albo człowiek zupełnie głupi, albo zupełne moralne zwierzę. Tu nie chodzi o formę, formy mogą być różne, według mnie najlepiej, gdy każdy pozostaje w swojem wyznaniu, mogą być nawet całkiem indywidualne, lecz dziki murzyn tańcujący koło ognia, mądrzejszy jest od takiego uczonego filozofa, który wykrył, że ma tylko brzuch i komórki mózgowe.

— I pan, jako doktór?...

— Właśnie jako doktór wciąż patrzę na śmierć i życie, wciąż widzę, jak jedno przechodzi w drugie. Gdy się raz zobaczy ostatnie tchnienie i nad tem się zastanowi, to nowe otwierają się światy. Czasem tęskni się nawet wówczas za śmiercią.

— Pan właściwie kieruje się swemi osobistemi poglądami.

— Osobiste poglądy nie wykluczają spólności wierzenia. W samym mozaizmie są różne poglądy. Inaczej zapatrywali się na życie Faryzeusze, a inaczej Sadyceusze, wielkie istnieją różnice między talmudystami a chasydami, istnieją szkoły teologiczne o wysokim naturalnie poziomie, które uważają Chrystusa za jednego z największych proroków...

— Nieznany, a jednak duży jest wpływ myśli chrześcijańskiej na żydowską i odwrotnie, hebrajskich myślicieli, nie mówiąc już o Spinozie, na myślicieli chrześcijańskich, — rzekła Krotoska.

Znamierowski spojrzał na nią ciekawie.

— Powiedz, powiedz, — uśmiechnął się z ukontentowaniem doktór. — Moja żona, trzeba panu wiedzieć, jest bardzo uczona, choć nie lubi się z tem wydawać.

— Jestem taki ignorant, że nic nie wiedziałem o istnieniu żydowskiej literatury.

— Była niezmiernie bogata, zwłaszcza w wiekach średnich w Hiszpanji. Do kabały, jest to zbiór różnych hebrajskich pism religijnych — wyjaśniła — obudziło się dziś zainteresowanie. Jeśli pan zna Paryż, to spotykał tam pan może dzieła autora, podpisującego się *Philosophe inconnu?*

— Znam, ale nie spotykałem. Żyd?

— Francuz.

— Jak pan będzie znowu w Paryżu, niech je pan odnajdzie i mojej żonie przyśle. Ona marzy, aby je wszystkie posiadać.

Nie przypuszczał Znamierowski, aby w małem polskiem miasteczku można było spotkać żydów tak wykształconych, jak Krotoscy. Dowiedział się po raz pierwszy, że dręczące go zagadnienia, któremi, zdawało mu się, nikt się nie zajmował, roztrząsane były przez wielu myślicieli. Przez chwilę poczuł się złączony z jakimś wielkim, nieznanym sobie dotychczas, światem ludzkiego ducha. Notował w pamięci nazwiska Böhmego i Swedenborga, aż usłyszał tętent koni... to o naznaczonej godzinie ułani jego przybyli.

Miał sobie poruczone zlustrować kawał okolicy, przekonać się, czy poza Narew nie zapuszczają się rosyjskie patrole i furaże. Naokół zalegała cisza, przerywana jedynie, gdy zbliżali się do śpiących wiosek, ujadaniem psów. Jechali wolno dla ostrożności i z powodu piachu, tworzącego miejscami istne wzgórza, tak zwane tutaj białe góry.

Po długiem błądzeniu, już kiedy noc się przesi-

lała, horyzont w dali się zaczerwienił. Ruszyli w tę stronę. Łuna stawała się coraz tęższa. Wachmistrz zbliżył się do Znamierowskiego.

— Kozacy, panie majorze.

— Gadasz?

— Ani chybi, kozacy — i wciągnął powietrze nozdrzami, jak pies.

Konie chrapały, strzygąc uszami, wachmistrz poklepał swojego po karku.

— Poczuły ich konie.

Ułani próbowali w pochwach pałaszy, czy lekko siedzą.

— Trza się przekonać.

Już zbliżyli się o kilka stai, już widzieli płonącą wieś, gdy napotkali stojącą i wpatrującą się posępnie w ogień gromadę chłopów, kobiet i dzieci.

— Co to, ludzie, się dzieje?

— Kozaki, panie.

Wachmistrz musnął wąsa z tryumfem.

— Spalili wieś?

— A spalili, — jęknął chłop.

— Kiedy przyszli?

— Wczora na wieczór. Gwałtowali, rabusiowali i spalili.

— Dużo ich?

— Nie dużo, będzie z pół sotni.

— Ludzie uciekli?

— Nie wszyćcy. Myśmy se pośli, bo co robić... Som ta i tacy, co zostali.

— Co w koniach tchu! — krzyknął Znamierowski.

Chłop przypadł mu do siodła.

— A dobrze ich tam, panocku, tych sukisynów, a dobrze ich tam! — zaklinał.

Położyli się na grzbietach końskich, pognali jak huragan. Wpadli w żar i w dym, konie stawały dęba.

Wśród pożaru najspokojniej snuli się kozacy. Ujrzawszy ułanów, poczęli zmiatać, wrzeszcząc

— Wrag idiot!!

Niektórzy wyskakiwali z palących się chałup, gdzie ich zagnała żądza szczegółowego rabunku. Dojeżdżano ich, rozciągając uderzeniami szabel. Ci, co znaleźli się na początku — zaledwie kilku — nie ocaleli, ale reszta dopadła koni i już miała się do ucieczki, gdy drogę zastąpiła im ćma chłopów. Szli ławą, zajadli w zemście za zmarnowany dobytek, zbrojni w siekiery, widły, kłonice. Kozacy z krótkich swych karabinków dali ognia. Rozłożywszy ręce, padł, jak krzyż, na wznak, niosący widły wielki chłop.

— Bij psubratów!!

Siekiery wznoszone oburącz świsnęły niby w lesie.

I w tejże chwili na karki kozaków, usiłujących przedrzeć się przez tłum, wsiedli ułani. Kręcąc się beznadziejnie w siekącej obręczy, dawali rabusie gardło.

— Żywcem brać! żywcem brać!—wołał Znamierowski.

Głos jego tonął w nieludzkiem wyciu, krzyku, jęku i wizgu koni. Chłopi łupili toporami, brocząc w chlustającej strumieniami krwi, dziurawili widłami plecy, rozszarpywali brzuchy. Świt się zaczął i słońce zatoczyło się nad tym przerażającym widokiem.

— Wyrżnąć do nogi! Żeby nasienia nie zostało!

Uprowadzono wreszcie kilku jeńców, reszta pokotem legła. Ułani oddzielili ich szablami od rozjuszonego tłumu.

— Straszną sprawiliśmy rzeźbę, panie majorze, — rzekł wachmistrz, — ale nie straciliśmy języka, jest tam pomiędzy nimi i oficer.

— Oficer! — zakipiał Znamierowski i jednym skokiem był przy jeńcach.

— Jest tu oficer?! Tyś oficer?!

— Ja. Proszę nie mówić do mnie „ty".

— Dam ja ci ceremonje, zbirze! — zamachnął się pięścią, tym zamachem, co bije w zęby, lecz ostatnim wysiłkiem ustępującej przed szalejącą burzą woli, wstrzymał się, aby nie uderzyć bezbronnego.

— Ja ci dam, kundlu! — ryczał.

Piana mu osiadła koło ust, rozgotowana krew uderzyła w skronie. Nie czuł w sobie nic, prócz odejmującego przytomność gniewu.

— Tak prowadzisz wojnę podpalaczu! opryszku! psie! Twoje to dobro, żebyś je niszczył, twoja to wieś, żebyś ją palił? Pod drzewo go! tam! rozstrzelać!

Stała się rzecz niebywała. Jeńców nie rozstrzeliwano, ale Znamierowski widział przed sobą tylko obcego żołdaka, mordującego pod zasłoną bezkarności polskich chłopów. Ułani przywiązali napół martwego oficera do drzewa. Rozstrzelać go jednak nie mogli, nie mieli karabinów.

Wtedy Znamierowski wskazał go palcem ujętym kozakom.

Zrozumieli. Podnieśli pokornie karabiny, odwiedli kurki.

— Ognia! — skomenderował.

Huknęły strzały, trup zwisł.

— Sprawiedliwie! — rozległo się w tłumie.

— Sprawiedliwie!!

Dymiło się jeszcze z luf, gdy Znamierowski począł ich badać. Trzymając broń u nogi, opisywali, o ile umieli najdokładniej, stanowiska i ilość sił stojących poza Narwią, wymieniali nazwiska dowodzących jenerałów. Armja z głównego obozu nie ruszała się, oczekiwano na przybycie mianowanego już nowego wodza, kniazia Paskiewicza, za rzekę wychodziły patrole rzadko, oni zapuścili się zadaleko, nie

wiedzieli o pobycie tu polskich wojsk. Znamierowskiego tytułowali „prewoschaditielstwem" i wodzili za nim oczyma z lękiem i posłuchem. Spełniwszy rozrozkaz zastrzelenia swego własnego oficera, stracili wszelką samotność, poddali się nowej władzy z konieczności i z instynktu. Ale i ułani patrzyli na swego majora z podniesionym respektem i chłopi, gdy zwrócił się do nich, zdjęli trwożliwie czapki.

W legendzie wioski pozostał długo ten polski „jenerοł", co za spaloną chałupę ruskich naczelników pod drzewem stawiał i ruskim sołdatom strzelać do nich przykazował. A kacapy słuchały, tak bały się polskiego jenerała.

Pochwycono kozackie konie, założono do dostarczonego wozu, na którym złożono broń, wzięto jeńców w środek. Znamierowski nakazał powrót.

Pasja go odeszła, ale dzika, mściwa zaciekłość wyrosła z korzeni duszy i ogarnęła mu całe jestestwo. Ani po Grochowie, ani po wołyńskich potyczkach, nie miał w sobie takiej groźnej, sentyment wszelki kruszącej mocy, jak teraz. Czuli ją ułani i jechali w milczeniu, bez słowa. Mijali przebudzone wioski, nie oglądając się nawet za dziewczętami, ani kobietami, co bose stawały na przyzbach, przysłaniając na piersiach rękami koszule.

Znamierowski miał spiekę w gardle.

— Nie dostałby tu gdzie wody? — skinął na wachmistrza.

— Dostanie ,panie majorze. Duchem lecę!

Stali w opłotkach, pośrodku wsi. Wachmistrz wpadł do pierwszego z brzegu podwórza i wrócił, prowadząc z sobą kobietę z dzbankiem mleka.

— Jest mleko, prosto od krowy, panie majorze.

Znamierowski wychylił spory garnuszek trącącego oborą mleka i sięgnął do kieszeni.

— E, niechta będzie bez pieniędzy! — wstrzymała go wieśniaczka.

— Bóg zapłać, gosposiu! A i żołnierzom trzebaby dać także, ale za zapłatę. Może i chleb się znajdzie?

— Dla wszystkich nie starczy — trzebaby po chałupach poszukać.

— Poszukajcie, matko, bo nam z koni złazić nijako.

Niebawem wyniesiono z chat mleko i chleb czarny, mielony na żarnach. Ułani, otoczeni wieńcem chłopstwa, jedli łapczywie.

— Moskalom także? — spytała jedna z bab, patrząc ciekawie na kozaków.

— Także, ino z jenszego zbanka — odparł wachmistrz.

Znamierowski spojrzał na niego pytająco.

— A bo, że to niby oni tak swojego, to to z nimi nie idzie... — jąkał się wachmistrz.

Ruszyli raźniej i na południe byli w Radzyminie. Kozacy wzbudzili sensację. Bachory żydowskie leciały przed nimi, drąc się, jak opętani. Nim Znamierowski wszedł na główną kwaterę, Skarżyński wiedział już o jego powrocie i prowadzonych jeńcach.

— Srogą masz major fantazję, — rzekł, wysłuchawszy jego raportu, — anim myślał!

Znamierowski poczuł, że któryś z oficerów, stojących za nim, obejmuje go silnie ramieniem. Odwrócił się.

— Dajże mi pyska! — uścisnął go znowu Wierusz.

XI.

Usiłowania Róży połączenia dawnych spiskowców z Towarzystwem patrjotycznem napotykały na

nieprzewidziane uprzedzenia i trudności. Mochnacki, dochodzący do zdrowia po ranie, otrzymanej w bitwie ostrołęckiej, nie cierpiał większości klubu i roił coś o proklamowaniu króla, w którego imię dalsza walka byłaby prowadzona. Gurowski skłaniał się ku terrorowi, któremu znowu sprzeciwiał się Nabielak, Wysocki zwątpił o wszystkiem i marzył tylko, jakby w pierwszym boju głowę położyć. Ksiądz Pułaski nie tracił jednak nadziei i dowiadywał się gorliwie o przebiegu narad, odbywających się u Róży. Wyobrażając sobie, że z kobietami najlepiej porozumiewają się kobiety, wysłał do niej Figę. Figa wykrzywiła buzię, ale polecenie wypełniła skwapliwie. Wystroiła się, ufryzowała loczki, skropiła się pachnidłami i niesiona ciekawością, pobiegła do Róży. Nienawidziła ona Róży z całej duszy, choć znała ją tylko ze słyszenia. Każda usłyszana o Róży pochwała doprowadzała ją do irytacji, a już do zupełnej pasji zachwyty nad jej urodą. Chciałaby się z nią zmierzyć i porównać. Czekając na Różę w salonie, spoglądała z niepokojem w lustro. Nigdy nie pragnęła być piękniejszą i ponętniejszą, jak teraz.

Róża na mgnienie oka zatrzymała się w progu, przyglądając się Fidze. Przez tę chwilę Figa obrzuciła ją wzrokiem kobiecym, tym wzrokiem, który dojrzy najmniejszy defekt w tualecie, najlżejszą skazę na urodzie, pochwyci szczegóły, jakich nie dostrzeże najwprawniejszy mężczyzna.

— Jestem Klara Parzychowska — rzekła uśmiechając się słodko.

Siedząc naprzeciw Róży i tłumacząc cel swego przybycia, analizowała ją jednocześnie w myśli.

— Trochę za wąska w biodrach i za wysoka; nie ma figury. Nie brzydka, profil ujdzie i oczy także. Kto tak się dziś czesze? Na Wenus pozuje, czy co? Może podobać się malarzowi do obrazu, ale z czego

podoba się innym? Żadnego niema pieprzyku. Dobra od wielkich okazji, raz do roku. Nic dziwnego, że Znamierowski taki sztywny. Cnotliwe to musi być małżeństwo!

— Więc pani należy do klubu? — pytała Róża.

— Należę.

— Taka pani młodziutka i już zajmuję się pani polityką.

— Ładnie wyglądałaby rewolucja, jeśliby zajmowały się nią same matrony!

Róży nie wydało się właściwem roztaczać przed Figą obrazu skomplikowanych sytuacji i spiętrzonych trudności. Postanowiła zbyć ją w dwóch słowach.

— Niech pani powie księdzu kapelanowi — że czekamy wszyscy na zakończenie wyprawy lubelskiej, dziś nie można siać nieufności nawet do najmniej godnych zaufania.

— Patrzcie ją, królowa Saba! — pomyślała Figa i spytała. Pani mąż, — miała wielką ochotę powiedzieć „pan Zdzisław", lecz nie przeszło jej przez gardło, — pan major jest na tej wyprawie?

— Jest, odparła ze zdziwieniem Róża. — Pani zna mego męża?

— Och, doskonale!

— Nie wiedziałam.

I nie zdradzając większej ciekawości, mówiła dalej:

— Chwila jest taka, że wzburzenie rewolucyjne trzeba hamować raczej, niż podsycać. Gdyby, co nie daj Boże, to się zmieniło, moi przyjaciele wstąpią do klubu.

Figa była zła, że urwała się nić rozmowy o Znamierowskimm, kołowała więc, aż udało się jej powiedzieć:

—Że pan major wyszedł z wojskami wiem, ale

doprawdy nie mam pojęcia w którym znajduje się korpusie.

— W korpusie Skarżyńskiego — odparła sucho Róża.

— Pyszna i zła, — pomyślała Figa i wtrąciła od niechcenia

— Strasznie nudziło mu się w Warszawie, mówił że rozrywa się jedynie wówczas, gdy przychodzi do Dziurki, wie pani, ta nasza kawiarnia, — ale i w tem jako oficer musi się krępować.

Róży oczy spochmurniały, Fidze serce podskoczyło z radości.

Trafiła dobrze. „Królowa Saba" nie pyta o nic, aby się nie zdradzić, że mąż ma przed nią tajemnice. Gdy wróci, zrobi mu scenę, on zaprzeczy, lecz ona mu nie uwierzy i jeszcze bardziej utwierdzi się w podejrzeniach.

Żeby ukryć wewnętrzną radość, Figa westchnęła melancholijnie i udając, że przez naiwność brnie w kabałę, dalsze czyniła zwierzenia.

— Nieraz mi mówił jak nudzi się w Warszawie, zwyczajnie jak wojskowi — łagodziła chytrze rewelacje o nudach Znamierowskiego. — Spotykałam go prawie codziennie w fortach.

Róża milczała, a Figa paplała dalej.

— Raz chciał mnie aresztować, czy pani uwierzy?

— Chciał panią aresztować?

— Rozdawałam odezwy żołnierzom. Aż tu on podchodzi zmarszczony i powiada „muszę panią aresztować". Tak doskonale udał, że zdębiałam, tembardziej, że byłam tam pod jego opieką. „Odstawię panią pod strażą do samego domu". Pod jaką strażą? „Zobaczy pani". Roześmiał się i odprowadził mnie do domu, bo ja mieszkam na Lesznie.

— Z rodzicami pani mieszka?

— Nie, rodzice nie żyją, mieszkam z bratem, który teraz jest na wojnie.

Figa posmutniała i twarzyczka jej stała się ładniejsza.

Róża popatrzyła na nią z spółczuciem.

— Przez brata pewnie przystąpiła pani do rewolucji?

— Zgadła pani, przez brata. Mój brat bardzo jest inteligentny. Student uniwersytetu, przyjaciel pana Mochnackiego.

— Zna pani pana Mochnackiego?

— Jeszcze by też! Rodzice nasi się przyjaźnili: Mój ojciec służył w tem samem biurze, co stary Mochnacki, tylko był od niego niżej. Wielki był patrjota, nie doczekał się!

Otarła łzy.

Różę zdjęło rozczulenie.

Biedna dziewczyna. Przestrzegłaby tę niedoświadczoną istotę, ale nie chciała mięszać się w amory Znamierowskiego. Gniew przeciw niemu w niej rósł. Poznawała go z dawnych czasów.

— Bardzo pani tęskni za bratem?

— Cóż robić! Przy pracy wszystko przechodzi.

— Tak panią pochłaniają zajęcia klubowe?

— E, to najmniejsza! Ja haftuję.

— Haftuje pani?

— Przyjmuję robotę do domu.

—To może, może... — Róża zawahała się, — może jabym panią poprosiła...

Fala zimnej złości napłynęła do serca Figi.

— Nie mogę brać nowych obstalunków. Roboty mam po same uszy. A jak mój brat wróci i uniwersytet skończy, to i haftować nie będę, — i Figa wstała.

Po jej odejściu niesmak i zniechęcenie ogarnęło Różę. Jasnem się stało, że Znamierowski uwodził tę dziewczynę. Znała go dobrze. Nie zmienił się. Te sa-

me sposoby i ta sama lekkość, o której wiedziała zdawna. Tylko, że dawniej niczego nie pokrywał pozorami surowości. Te pozory wydały się jej teraz najprzykrzejsze. Oczywiście nie ma prawa mięszać się do niego, utraciła je raz nazawsze, — dla niego lepiej, że pozostał takim, jakim był. Niepotrzebnie wyolbrzymiała wyrządzoną mu przez siebie krzywdę. Umiał się pocieszać. Ale dlaczego udawał, dlaczego przywdziewał togę powagi, którą zrzucał skoro wyszedł z domu! Odprowadzał tę szwaczuszkę, a później wracał z marsem na czole. Dawniej nie było w nim takiego fałszu.

Róża rozżaliła się nad sobą.

Życie swoje widziała złamanem i zniszczonem. Przykuta wewnętrznym ślubem do trupa, nad którym wieko więziennej trumny może nigdy się nie odemknie, a prawem i pozorem do pozującego na bajronowskiego bohatera lamparta. Zerwać to wszystko! Zapomnieć o Krzyżanowskim i przestać łudzić się co do Znamierowskiego! Wzdrygnęła się. Dreszcz wstrętu przebiegł ją, że myśl podobna w niej powstała. Krzyżaonwski przyjął mękę dla jej honoru, odejść od niego nie mogła, bez uczucia pogardy dla siebie. Człowiek może unieść pogardę dla całego świata, ale pogardy dla samego siebie nie przetrzyma. Byłaby wolna, gdyby od żaru rewolucji pękły mury petersburskiej kaźni, gdyby Krzyżanowski powrócił dzięki zwycięstwu swego dzieła, którego, po uwięzieniu jego, ona nie zaniedbała. Wtedy byłaby wolna, wtedy spłaciłaby dług, życie zakwitłoby przed nią nanowo. Lecz jeśli to się nie stanie? Róża wiedziała, co wówczas uczyni. Straszna myśl, powzięta dawno, roztoczyła nad nią swoje czarne skrzydła.

Powinna była iść dziś do Mochnackich, zobaczyć Maurycego, taką jednak czuła bezwładność i obojęt-

ność, że ruszyć jej się nie chciało. Na nic nie przydadzą się te wszystkie narady i konspiracje.

Naokół dziwnie cicho było i spokojnie. Słońce wdzierało się przez rolety i jasnem światłem padało na posadzkę, z drugiego pokoju dochodziło cykanie zegara.

— Trzeba jednak iść — pomyślała.

Zaledwie wyszła na ulicę, ujrzała ciągnący oddział piechoty w rynsztunku bojowym, szary od kurzu, jakby z długiego powracający marszu. Ludzie przystawali, przyglądając się zmęczonym żołnierzom. Na ulicy panowało nerwowe, nieuchwytne poruszenie.

Na schodach do mieszkania Mochnackich spotkała wychodzącego stamtąd Krukowieckiego. Zdziwiła się, nic bowiem o stosunkach między Mochnackim a Krukowieckim nie wiedziała. Chciała przejść, odpowiedziawszy niemem pochyleniem głowy na jego wojskowy ukłon, ale Krukowiecki, choć znał ją mało, zatrzymał się.

— Mąż już wrócił? — zapytał.

Zimne, wyblakłe oczy niebieskie z pod siwych, krzaczastych brwi, zaśmiały mu się szyderczo.

— Nie, jakżeż miał wrócić?

— Widzę, że pan Skrzynecki wyprzedził wszystkich oficerów.

— Co się stało?!

— Pani nic nie wie?

— Nie.

— Nie wie pani, że Skrzynecki drapnął?

Róża oparła się o rampę schodów, zdało jej się, że usłyszy o nowej Ostrołęce.

— Bez krwi rozlewu, — śmiał się Krukowiecki. — Niech pani nie oburza się, że się śmieję.. To taki śmiech, co kiszki rozrywa i zalewa żółcią. Jak Boga kocham, jestem stary, dyscyplinowany wojskowy,

a takiemu żołnierzowi, któryby mu w łeb strzelił, order bym dał!

— Lecz co się stało? co się stało?

— Skrzynecki wrócił dziś rano, w humorze przednim. Jeno słuchać, jak dzwony zaczną bić na jego powrót. Dokazał swego. Nie bił się. Nawet z karabinu nie wypalił! Niech pani sobie wyobrazi, patrole nasze dostrzegły gdzieś kręcących się moskiewskich dragonów i usłyszały huk siekier, tak, jakby roboty koło mostu. Zaraportowano naczelnemu wodzowi, a naczelny wódz za czapkę i w nogi! Główna armja, powiada, na nas rusza. W godzinę nadszedł drugi raport, że armja stoi na miejscu, ale już o naczelnym wodzu ani słychu, ani dychu. Rozkazy tylko zostawił, aby wszystkie wojska ściągać do Warszawy. Mam doskonałe, niezaprzeczone wiadomości!

— Więc cała wyprawa na nic?

— Na nic! Ja nie miałem złudzeń, że się głupstwem jakiemś skończy, wyznaję jednak, że ten epilog przeszedł moją imaginację. Skrzynecki szerzy podanie, jakoby uczynił to z umysłu. Nowy genjalny krok! Czartoryski coś tam bąknął, lecz sklął go, na czem świat stoi, że na dyplomacji się nie rozumie. Nieledwo ustanowienia nowego specjalnego krzyża za męstwo dla siebie wymagał. Tak się pyszni tem swojem powodzeniem, że fetę dla wojska w ogrodzie Saskim urządza. Mają wszyscy pić i tańczyć z uciechy, że drogocenne swe kości przywiózł bez szwanku.

— Pan jenerał żartuje.

— Słowo honoru, prawda! Byłem właśnie u pana Mochnackiego, inspirując go, aby komedję napisał p. t. *„Zadowolony wódz"*. *Sujet* wyśmienity. Tylko, że komedja ta, łaskawa pani, skończy się w grobie.

— Niech pan jenerał tego nie mówi.

— Nie chciałbym, ale muszę. Pogrążeni jesteśmy w nieczynności, wróg zaś nie śpi, jak to czyni pan het-

man, gdy lula się w cesarskiej kolasie, wyruszając w pole. Moskale przysposabiają się potężnie, prusacy im pomagają. Dowozy do Gdańska idą morzem, po drugiej stronie granicy pruskiej zakładają się magazyny. — Jaką ma teraz rangę mąż?

— Jest majorem.

— Zawsze?

— Zawsze.

— Nie podoba się widać naczelnemu wodzowi, dobrze o nim to mówi.

— Mój mąż o wyższą rangę nie zabiega.

— Ale pan Skrzynecki pamiętać powinien o wynoszeniu zdolności i męstwa. Postępuje wprost przeciwnie. Na wierzchu sama miernota. Znamierowski majorem, a ja w dymisji. Obraził się na mnie Skrzynecki, że kiedy w jednym rozkazie dziennym litanję do wszystkich świętych ułożył — napisałem mu, że religję czczę, jednak uważam, jak on, a nie święta Zuzanna z córkami, regimentom naszym przewodzić powinien. List ten w *Nowej Polsce* kiedyś ogłoszę. Obraził się i dymisję mi dał. Chciał mi zakazać noszenia munduru, ale się przeląkł, że dam mu po pysku na ulicy — przepraszam za wyrażenie — i dałbym, jak tu żywy stoję! Walor żołnierski jest dla niego bez znaczenia — w sztabie otoczony hrabiątkami. Jak kto od Katarzyny II tytuł otrzymał, to w specjalnej jest u niego estymie.

— To przynajmniej nie tyczy się pana jenerała, — rzekła złośliwie Róża.

— Proszę mi tytułu mego nie wypominać, bo go nie używam. Jeśli władzę kiedy obejmę, tytułów nosić zakażę, lub obdarzę nimi wszystkich notorycznych podleców, tych właśnie, których trzymamy dziś w więzieniach za zdradę stanu. Wtedy nadam hrabiostwo i Skrzyneckiemu — spełnią się marzenia jego paniusi.

No, ale nie zatrzymuję pani, proszę pozdrowić męża, zawsze go wielce cenię i poważam.

— Jeśli obejmie władzę — zastanawiała się Róża. Czy po to tu przyszedł? — myślała, pociągając taśmę dzwonka u drzwi Mochnackich.

Otworzył jej służący Wojciech, wielki Maurycego adorator. Wiadomo było, że Mochnacki odczytywał mu swoje, przeznaczone do druku artykuły, wsłuchując się w ten sposób w nieomylny głos ludu. Wojciech żadnego wprawdzie głosu przy tych lekturach nie wydawał, ale tembardziej podziw jego był wymowniejszy. Zgadując, że Róża z Maurycym tylko mówić pragnie i nikogo innego wolałaby nie widzieć, prowadził ją odrazu do jego, osobne wejście mającego gabinetu, gdy z drzwi obok wyjrzał dwudziestoletni wyrostek i na jej widok szurgnął nogami.

— Jak się pan ma, panie Tymoleonie, — powitała go Róża i chciała iść dalej, gdy za Tymoleonem ukazała się wysoka, bardzo piękna panna i rzuciła się jej na szyję.

— Nareszcie zjawiłaś się, Różo.

Była to siostra Maurycego, Olimpja.

— Jakże dawno pani u nas nie była, — usłyszała teraz Róża przed sobą głos starej Mochnackiej.

Nie było sposobu wydostać się z pośród tej licznej familji. A nie była jeszcze w komplecie, bo trzeci syn, major Kamil, był w wojsku, druga zaś córka, zamężna już, Klementyna, nie mieszkała przy rodzicach.

Rada nie rada, musiała Róża zdjąć kapelusz i okrycie i ledwo to uczyniła usiąść przy wspólnym stole z herbatą. Wyszedł ją powitać i ojciec Maurycego, stary pan Bazyli. Zajmował on się po wybuchu rewolucji pisaniem wielkiej monografji o szpiegostwie za czasów Konstantego, której część już wydał, a resztę w rękopisie odczytywał wszystkim, kto słuchać

musiał. O pracy tej wszczął zaraz rozmowę. Tylko stara Mochnacka miała typ polski w tej rodzinie, mąż, synowie i córki wyglądali na przybyszów ze wschodu lub południa. Nosy mieli orle, włosy i oczy czarne.

— Czy jest pan Maurycy? — spytała Róża.

— Jest, ale pisze, — odrzekła Mochnacka takim tonem, jakby Maurycy sprawował jakiś religijny obrzęd, którego świętokradczo przerwać mu nie można było.

Maurycy, uprzedzony przez Wojciecha, rzucił pióro i przyszedł sam, wnosząc odór fajczanego dymu, zmieszanego z zapachem czarnej kawy. Był bardzo blady, podkrążone oczy biegały mu niespokojnie, środkowy palec u prawej ręki powalany był atramentem. Róża opowiedziała o spotkaniu na schodach z Krukowieckim.

— Ja nie podzielam jego zdania o naczelnym wodzu, — oświadczył pan Bazyli.

— Ani ja, — zgodziła się z mężem Mochnacka. — Napoleon także cofał się i także przegrywał. Niepotrzebnie pozwalasz sobie Maurycy montować Krukowieckiemu głowę. Jestem pewna, że naczelny wódz poznałby się na tobie, gdybyś do niego się zbliżył — sprawie na dobreby to tylko wyszło.

Róża znała ten respekt starych Mochnackich dla stanowiska i ich żądzę wpływów.

— Krukowiecki mści się, bo dostał dymisję, zawsze i wszędzie u nas prywata, — wywodził Bazyli.

— Mścić się może, i rację może mieć także, — odparł Maurycy.

— Dojdzie on jeszcze do władzy, — rzekła Róża.

Bazyli spojrzał na nią niespokojnie.

— Nie twierdzę ja, aby jenerał Krukowiecki pozbawiony był męstwa i zdolności, choć różnie o nim mówią. Jako gubernator okazał wielką sprężystość, trudno temu przeczyć — ale za naczelnym wodzem

sprawiedliwość każe się ująć. Robi on, co może i ja z swej strony ufam mu całkowicie.

— Bo w wejrzeniu Skrzyneckiego jest coś, co mu jedna ufność poczciwych ludzi, — rzekł Maurycy. — Wielu on łudzi swą postawą. Dobry to jest jenerał dywizji, lecz nie wódz i nie polityk.

Mochnacka podniosła oczy w górę żałośnie. Róża nie wiedziała, co począć. Straciła nadzieję zamienienia swobodnie paru słów z Mochnackim, on jednak również zdał sobie z tego sprawę i gdy się żegnała, powstał, aby ją odprowadzić.

— Niech mama się nie boi, nic mi się nie stanie, przecież ja już wychodzę, — rzekł do protestującej przeciwko temu matki.

— Więc co pan sądzi, — spytała Róża, gdy wyszli, — o wstąpieniu do Towarzystwa patrjotycznego?

— Myślę ja o tem, — odpowiedział, — trzebaby jednak było tak to urządzić, żeby ich opanować, a samym nie dać się pociągnąć.

— Mnie się zdaje, — rzekła Róża, — że musimy dojść z nimi do porozumienia. Jedyna to dziś organizacja rewolucyjna.

— Oni też mają niebylejaki interes, aby połączyć się z nami. Tam niema ludzi budzących szacunek. Lud mają za sobą i w tem ich siła — ale menerzy najgorszej zażywają opinji. Wychrzty jak Krempowiecki i Czyński, pomieszani z księżmi, kobiety budzące obrzydzenie.

— Znam jedną która wcale obrzydzenia nie wzbudza.

— Kogo?

— Parzychowską.

— Znam ją także. Dobra dziewczyna, ale z nią robić nie będziemy polityki. Są tam i inne. Oto widzi pani, chcą mieć nas między sobą, aby zyskać auto-

rytet. My zaś autorytetu tego dać nie możemy, jeśli nie zapewnimy sobie możności decyzji i kierunku.

— Prezesem przecież jest tam Lelewel.

— Tyle znaczy co i panna Parzychowska albo mój Wojciech, który jest także między nimi. Otóż ja bym się decydował, gdyby nam dano dwie wiceprezesury — z naszej strony nie jest to wymaganie za duże — i jeślibyśmy ponadto między sobą ustanowili towarzystwo tajne, któreby Klubu używało dla swoich spraw. Takie towarzystwo wydaje mi się konieczne, bo inaczej nikt Skrzynieckiego z dowództwa nie strąci.

— Kogo pan wyniesie na jego miejsce?

— Prądzyńskiego naturalnie. Lecz to nie koniec, od góry do dołu wszystko należy zmienić. Prezesa rządu także.

— Któż zamieni Czartoryskiego?

— Cóż by pani powiedziała, jeślibym wymienił Krukowieckiego?

— Intrygant.

— Intrygant on jest, ale hart ma i byle czego się nie ulęknie.

— A pod Grochowem?

— Pod Grochowem nie uląkł się, tylko nie posłuchał. Nie jest on do słuchania. Wbrew przekonaniu, że rozkazywać umie tylko ten, kto słuchać potrafi, sądzę, że to nie jest regułą. Krukowiecki jest z tych, którzy rozkazywać potrafią, a słuchać ani rusz. Chłopicki też by słuchać nie potrafił.

— Ojciec pana ma rację, że prywata przez niego mówi.

— Nie ma to znaczenia. Jeśliby rankoru do Skrzyneckiego nie czuł, a mówił to samo, nikt by szczerości jego w wątpliwość nie podawał. Ludzie nie są aniołami. Są tacy, którym nienawiść oczy

otwiera. Dla mnie wystarczy, że Krukowiecki widzi dobrze, a co mu dało to jasne patrzenie, nie dbam!

— Niewątpliwie ma pan rację, skoro jednak Krukowiecki przez prywatę działa, to kto zaręczy, że władzy dla prywaty nie użyje?

— Ja wiem dobrze. Patrzę na tych naszych jenerałów i czuję ich, macam im serca poprzez krzyże i ordery. Jedni marzą jakby grube szlify w rewolucji uzyskane na wypadek klęski zachować, drudzy jakby sobie stanowiska przez układy zapewnić. Na palcach da się policzyć tych, którzyby o niczem innem, jak o sprawie nie myśleli.

— Widzi pan!

— Wiem ja to dobrze. To też gdyby z Krukowieckim razem pójść przyszło, to pod kontrolę należałoby wziąć go czujną i warunkami obwarować.

— Jakiemi?

— My bylibyśmy w rządzie.

— Panie Maurycy — rzekła Róża — pan pamięta, jak dwudziestego dziewiątego listopada wołałam wraz z panem o ustanowienie z was złożonego rządu. Dziś bym tego nie mówiła.

— Czemu?

— Bo wy nie jesteście ludźmi rządu. Przekonałam się gruntownie. Zrobić rewolucję co innego, a rządzić co innego. Czartoryski, jak Wysocki, na koszary by nie napadł, a przecież pan nie zaprzeczy, że Czartoryski od Wysockiego na prezydenta rządu lepszy.

— Ja nic nie mam przeciwko Czartoryskiemu. Lepszy on wprawdzie na czas pokoju, podczas rewolucji nie jest na swojem miejscu, ale ma zalety i konneksje, które można wyzyskać, jego samego trzymając na uboczu.

— Jak można pogodzić jedno z drugiem?

— No, a gdyby ogłosić go królem?

— Wiem ja o tych pana idejach, ale do głowy mi nie przychodziło, że pańskim kandydatem jest Czartoryski.

— Innego kandydata pani dziś nie znajdzie. Któżby chciał w naszem obecnem położeniu Rosji się narazić? A ideja monarchji to rzecz wielka, dałaby ruchowi nową siłę, zapaliłaby wyobraźnie.

— Nic by w tem nie były nowego, sejm przecież monarchję konstutycyjną ogłosił.

— W powietrzu ona wisi, z żywem imieniem złączona stałaby się żywa. Kto wie czy dla ludu nie byłaby zrozumialsza, niż debaty w Izbie o uwłaszczeniu. Wiedziałby, kto mu ma ziemię dać.

— Ja wstrętu do monarchji nie mam, ale pan poetyzuje.

— Rewolucja jest poezją — jak się o tem nie wie, to nic się w rewolucji nie zrobi.

— To zresztą rzecz dalsza.

— Nie, bo jeślibyśmy wejść mieli do Towarzystwa Patrjotycznego, to pierwszą byłoby rzeczą ideję o koronie tam ugruntować.

— Co pan mówi?! Czy pan sądzi, że na to zgodzi się Lelewel, Pułaski, Krempowiecki?

— O nich mi chodzi najmniej. Chodzi mi o lud uczęszczający na ich zebrania. Niechby z niego wyszła myśl o koronie — to korona taka byłaby naprawdę ludowa, naprawdę rewolucyjna.

— Takiej Czartoryski na głowę nie włoży.

— Niech pani nie obawia się — włoży on każdą. Innej mu zresztą nie damy. Przeciw koronie, którą arystokracja chciałaby mu dać, pierwszy będę oponował. Dla nas tylko ta ma wartość, która rękami ludu została podniesiona.

— Czy pan mówił o tem z Krukowieckim?

— Nie, i Boże zachowaj mówić mu dziś o tem. On na prezesa rządu.

— A Lelewel?

— Dosyć mam tego Lelewela! On na prezesa rządu — dla złożenia Skrzyneckiego z dowództwa. My, którzyśmy noc dwudziestego dziewiątego zrobili, rządu członkami, z rewolucją ludową ściśle związani i stamtąd ideje dla nowego ustroju czerpiący. Jeśli to będzie ideja monarchiczna!

— Czy pan mówił już o jakichkolwiek warunkach z Krukowieckim?

— Nie.

— To dobrze, niech pan z tem się nie spieszy.

— Okoliczności mogą do rozmowy tej przynaglić. Ale co pani ma do Krukowieckiego?

— Brak zaufania.

— A do kogo ma pani zaufanie?

Nie odpowiedziała.

— W polityce, nie w prywatnem życiu?

— Nie wiem.

— Ja pani powiem.

— No?

— W polityce powinno mieć się zaufanie do tych, do których nie ma się go w życiu prywatnem, a w życiu prywatnem do tych, do których nie ma się w polityce.

I roześmiawszy się sarkastycznie tłumaczył dalej.

— Nie mówmy o rewolucjonistach, o naszych przyjaciołach: Wysockich, Goszczyńskich i t. d. To nie są politycy, to są nabite karabiny, które ktoś pociąga za cyngiel — czy człowiek, czy naród, czy ideja. To są ludzie, którzy idą na całopalenie z zamkniętemi oczami, myśląc tylko, aby ich prochy święte kiedyś były. Taką dziwną mają ambicję! Polityk, prawdziwy polityk, odznacza się brakiem skrupułów. *Conditio sine qua non.* Pani nie ma zaufania do Krukowieckiego, bo podejrzewa go pani o brak skrupułów, a ja właśnie dlatego mam do niego zaufanie. Nie

jako do człowieka prywatnego, nie jako do swego przyjaciela — takie mam do Lelewela, ale pani widzi kim jest Lelewel. I niech pani przyjrzy się tym wszystkim, których poczciwość, cnota i szlachetność wątpliwości nie ulega. Pierwszy Czartoryski. Szlachetność chodząca, w ciągłej obawie, aby komuś niesprawiedliwości nie wyrządzić. I co z niego? Dobry na króla — na nic więcej! Drugi Niemcewicz — no, dajmy na to, że ten jest już śpiewem historycznym, ale Radziwiłł, ale Pac, ale Lach Szyrma, który mnie chciał podczas dyktatury na czele swoich akademików rozstrzelać. Nie mam do niego pretensji, bo przez poczciwość po całej Warszawie mnie szukał. Rozumiał przez moją śmierć ocalić dyktatora. Ludzie pełni prywatnych zalet, a w polityce zera! zera! i zera!

— Gdzie pan widzi liczby?

— Nie ukazały się. Naród nie pozwolił im się ukazać. Naród polski rozumuje podobnie, jak pani. Ma zaufanie do cnót osobistych, do ofiarności, do serca. Ładnie na tem wyszedł. Nie zapomnę nigdy i da Bóg kiedyś opiszę, jak przez Plac Saski toczyła się Rada Administracyjna dla objęcia swego urzędowania. Na czele w czapce czerwonej Pac na koniu, koło niego Wąsowicz z francuską ładownicą z kampanji napoleońskich, za nimi cała Rada, na samym ostatku wlókł się z rozwianemi siwemi włosami Niemcewicz. Przecież ci ludzie szli tłumić rewolucję, — nie było nad nich występniejszych w narodzie. Nie kłamali, mówili otwarcie po co idą i czego chcą! Słowa ich niczyich nie przewierciły uszów, w niczyj nie zapadły rozum. Nie ich słowom wierzono, ale ich poczciwości. Nie ich słowom, ale czapce czerwonej Paca, ładownicy Wąsowicza, siwej głowie Ursyna. „Kiedy tam jest Niemcewicz, to wszystko pójdzie dobrze", mówiono. I wszystko poszło dobrze, za-

prawdę! — Nie poczciwości nam trzeba, ale rozumu.

— A jeśli ani rozumu ani poczciwości ktoś nie posiada?

— Takiego na suchą gałąź.

— Kiedyś pan mówił, że potrzebny nam jest Cromwell z cnotą Kościuszki.

— Nie chodzi to w parze. Dziś wolę Cromwella bez cnoty Kościuszki, jak Kościuszkę bez Cromwella siły.

— Nie zawsze pan tak mówił.

— Bo nie miałem sposobności widzieć tego, na co przez te pół roku się napatrzyłem.

— A czy pan jest polityk? — uśmiechnęła się.

— Jak pani widzi nie mam skrupułów proklamować monarchji, choć jestem republikaninem.

— Będzie pan odosobniony.

— Nieprawda! Naród polski wierzy w króla. Może to i nasze nieszczęście, że dla tej wiary ołtarzaśmy mu nie wznieśli. Przeciw duchowi narodu nie można iść tak, jak i przeciw naturze. Lubię pomarańcze, ale w Polsce bym ich nie hodował.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.